

BENTE PEDERSEN

Nadzieja

Róża znad fiordów 07

1

- Roza! - wyszeptała pobielełymi wargami. - Roza! - powtórzyła z naciskiem, z uporem chorej.

Zielone oczy jarzyły się jak szlachetne kamienie w migotliwym żółtoczerwonym blasku jedynej lampy, którą pozwoliła zostawić zapaloną w sypialni. Na więcej światła nie chciała się zgodzić. Nie życzyła sobie, by inni ludzie oglądali ją w tak nędznym stanie. David musiał zabrać oba lustra, które wisiały w tym pokoju, bo nie chciała już się w nich przeglądać. Nie chciała wiedzieć, jak z nią jest. Gardziła własną słabością.

- Chcę, żeby Roza przyszła!

- Ona ma swoje własne sprawy, najdroższa - łagodź David ostrożnie. - Nie możemy ot, tak, po prostu żądać, żeby ta czy inna osoba zgodziła się do nas na służbę, moja kochana. Z pewnością są inne młode kobiety, które moglibyśmy zatrudnić w domu...

Wypowiedział te uspokajające słowa, ale pomyślał, że wcale nie tak znów wiele młodych dziewcząt znad Kafjorden miałyby ochotę przyjść do nich na służbę. Dotychczas każdej służącej, która pojawiała się w ich domu, Margaret miała coś do zarzucenia. W ogóle bardzo pilnowała, kogo wpuszczają pod swój dach, i nawet jeśli na kogoś się zdecydowała, to i tak nie było żadnej pewności, że ta osoba zostanie.

Margaret natychmiast pozbywała się służących, któ-

rych nie lubiła. David wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że jego młoda żona jest do tego stopnia rozpieszczona i kapryśna, jak okazało się tej zimy. Nie lubił histeryczek, zresztą nigdy dotychczas nie odbierał zachowania Margaret jako histeryczne. Dopiero teraz się to odmieniło.

- Słyszałam, co mówił lekarz - ciągnęła Margaret, a jej twarz na tle poduszek wydawała się jeszcze bledsza. - Będę leżeć w tym łóżku, dopóki dziecko się nie urodzi. Nigdzie nie wyjdę. Doktor powiedział, że pod żadnym pozorem nie powinnam się denerwować, prawda? Tyle zdołałam zrozumieć. Posłuchaj więc, Davidzie. Jeśli Roza tu nie przyjdzie, bardzo się zdenerwuję. Chyba nie chcesz, żeby się tak stało, to dla mnie niebezpieczne. I może być niebezpieczne dla naszego dziecka, Davidzie! Pamiętałeś o tym, żeby przesłać wiadomość Maxwellowi? Nie rozumiem, dlaczego nie przyjeżdża. Powinien był przybyć jeszcze przed Bożym Narodzeniem...

David Warren westchnął i otarł pot. Nie miał łatwego życia, odkąd do Kafjord przyjechała jego żona. Przebywała tu od pół roku, a całe jego życie się odmieniło. Niewiele w nim było teraz spokoju. Zdarzały się chwile, w których inżynier Warren pragnął, by Margaret powróciła do Anglii.

Brat Margaret, Maxwell, starszy od niej o dwa lata, miał przyjechać do Kafjord przed Bożym Narodzeniem minionego roku, rodzeństwo tak się umówiło. Tymczasem zainteresowanie Maxwella botaniką sprawiło, że odłożył tę wizytę, wolał odwiedzić ów obcy kraj, kiedy już się zazieleni, nie zaś w porze, gdy wszędzie zalegał śnieg warstwą grubą na metr. Inną przyczyną opóźnienia jego przyjazdu stała się ciąża Margaret. Siostra Maxwella nie była teraz w stanie podołać

obowiązkom gospodyni, a działało się tak właściwie już od jesieni.

W ciągu tych miesięcy nerwy zarówno Margaret, jak i Davida zostały wystawione na ciężką próbę. Ciężarnej od października dokuczały niewielkie krwawienia, teraz był koniec stycznia 1840 roku, a dziecka spodziewano się dopiero w marcu.

- Musisz mi obiecać, że z nią pomówisz, Davidzie! Musisz jeszcze raz do niej pójść. Poproś ją przynajmniej, żeby mnie odwiedziła, abym mogła z nią porozmawiać. Jestem pewna, że zdołam ją nakłonić...

- Ona ma kalekiego ojca, Daisy. Jest za niego odpowiedzialna. Nie mamy prawa niczego od niej żądać. Nie mamy prawa wymagać, żeby zapomniała o swoich obowiązkach po to, by zająć się tobą. Wiem, że z takiego czy innego niezrozumiałego powodu lubisz ją, lecz równie dobrze możesz od razu z tego zrezygnować, kochana. Roza Samuelsdatter nie szuka służby.

- Ty jej nie lubisz! - stwierdziła Margaret, wyraźnie wzburzona. David poznawał to po rumieńcach, które wykwitły jej na policzkach. Pojawiały się niczym ślad uderzeń, a on nie chciał, by ktokolwiek oglądał jego żonę w takim stanie. Ludzie mogliby pomyśleć, że ją bije.

Nie lubił Rozy Samuelsdatter. W jakiś chorobliwy sposób pożądał jej, ale nie lubił.

- Ze względu na ciebie i dla dobra dziecka pójdę do niej - obiecał i pocałował żonę.

Dopiero teraz Margaret pozwoliła sobie na uśmiech, a właściwie na leciutki uśmieszek, i gdyby David nie wiedział, że jest inaczej, sądziłby, że jest to uśmiech triumfalny. Miał jednak pewność, że Margaret nie jest taka. Ona po prostu się cieszyła. Nie zaliczała się do

osób, które okazują radość w sposób przesadny. Uśmiech jednak rozjaśnił jej drobną twarzyczkę w kształcie serca, a zielone oczy rozbłysły jeszcze głębszym blaskiem.

- Wyślesz też wiadomość Maxwellowi...

Oczywiście, że napisze do jej brata! Gotów byłby poradzić się samego diabła, jeśliby tylko Margaret miało się od tego poprawić. Najchętniej po prostu odesłałby ją do domu, lecz teraz było już na to za późno. Termin porodu zanadto się zbliżył, a chora Margaret nie miała sił na długą podróż.

Gdyby umiał zachować się jak prawdziwy mężczyzna, to wówczas, gdy powiedziała mu, że spodziewa się dziecka, natychmiast odesłałby ją do domu, do matki.

Teraz mógł jedynie słuchać wskazówek lekarza, a jednocześnie spełniać zachcianki Margaret. Rzeczywiście nie powinna się denerwować. W istocie to, co podsłuchiwała, było prawdą. David zdawał sobie sprawę, że żona w przyszłości jeszcze nieraz wykorzysta sytuację. Miała w sobie przynajmniej tyle kobiecej przebiegłości, chociaż w przeważającej mierze gra uprawiana zwykle przez kobiety była Margaret najzupełniej obca.

Teraz również nie pozwoliła mu na żadną zwłokę.

- Przez pewien czas dam sobie radę sama - oświadczyła i zamknęła oczy, jak gdyby była zmęczona i miała ochotę się przespać. - A ty idź pomówić z Rozą!

Mattias śmiał się cicho, bo wieczór był jeszcze wczesny. Nie zanieśli nawet wieczerzy Wielkiemu Samuelowi, ojcu Rozy. Za wcześnie też było, żeby zaciągnąć zasłony i zamknąć drzwi na klucz.

Pełna śmiechu zabawa zaczęła się, gdy pomagał jej

w oborze. Wśród zwierząt panował przytulny półmrok, który ich zbliżył, kazał im się o siebie ocierać. Rozę ogarnęła ochota na pieszczoty, śmiech, chociaż jej dłonie stale próbowały odsunąć jego ręce. Mattias wiedział, że Roza nie ma nic przeciwko jego natarczywości, ale do reguł tej gry należało stawianie pewnego oporu.

Od żartobliwego siłowania się w mroku obory oboje się rozgrzali. Nawet chłód niebieskawego zmierzchu nie przegonił z ich ciał chęci do zabawy i pieszczot.

Popołudnie nie zdążyło jeszcze zmienić się w wieczór. Przyzwoici ludzie o tej porze nie zabawiali się pod wełnianymi kocami. Przyzwoici ludzie być może w ogóle się nie bawili, gdy szukali zaspokojenia dla swoich żądz w lędźwiach drugiej osoby.

Dla nich to była zabawa. Coś potajemnego i jednocześnie nabrzmiałego pożądaniem. Śmiech i rozpalony niepokój.

- Czy ty się zawsze śmiejesz, jak leżysz w łóżku z kobietą? - zagadnęła Roza, kładąc między nimi poduszkę.

Była bosa, a włosy, ułożone wcześniej w węzeł, dawno się już rozluźniły. Wstążka, którą obwiązywała głowę, zaplątała się w jej niesforne loki i zwisała z jednej strony głowy.

- Śmieję się wtedy, kiedy mam pewność, że coś upoluję - oznajmił Mattias z błyskiem w piwnych oczach. Zwęziły się teraz, a brwi przypominały orły nurkujące ku nasadzie nosa.

Mattias miał wysokie czoło, zaczesywał na nie ciemne włosy. Mógłby być księciem.

- A co ty chcesz upolować w babskim łóżku, mój panie myśliwy? - spytała Roza, podsuwając się wyżej ku wezglowiu. Bez żadnego ostrzeżenia rzuciła nagle

w Mattiasa poduszką, lecz on nie dał się zaskoczyć. Złapał poduszkę obydwoma rękami. Trzymał ją, jak gdyby uznał, że jest odpowiednią tarczą. Jak gdyby uważał, że powinien się bronić przed Rozą.

- Bardzo różne rzeczy, moja pani - odparł, podciągając w górę kącik ust. Blizna na lewym policzku zrobiła się wyraźna pomimo braku ostrego światła.

- Na ogół służą one jednak zadowoleniu mojego pana? - upewniała się Roza, obciągając spódnice aż do kostek niemal równie szczupłych jak nadgarstki. Roza była delikatnej budowy, bardzo drobna.

- Z tym również bywa różnie - odrzekł Mattias, nie pozwalając, by uśmiech na pełnych, zmysłowych wargach zgasł.

- Wydaje mi się, że ktoś cię rozpieścił - stwierdziła Roza. - Zrobiłeś się okropnie wymagający...

- W każdym razie nie dostaję mniej, niż wymagam - odpowiedział Mattias wesoło. - Człowiek, który przyjmuje tylko to, co najlepsze, również tylko najlepsze dostaje.

Zbliżył się do niej. Przeszedł na kolanach, aż łóżko zaskrzypiało. Na moment oboje znieruchomieli, wpatrzeni w ścianę. Przez chwilę wstrzymywali oddech, czekając na głos ojca Rozy. Na kilka gorzkich słów, które wyraźnie powiedzą im, że Samuel doskonale potrafi sobie wyobrazić, jak się zabawiają, i że ani trochę nie podoba mu się, że robią to o tej porze. Tymczasem jednak nie rozległo się żadne surowe upomnienie.

- Może śpi - szepnął Mattias.

Ogarnął ich niezwykły nastrój. Iskra rozbawienia zgasła, gdy niemal z lękiem nasłuchiwali łajana Wielkiego Samuela.

Mattias, ciężko dysząc, odłożył poduszkę pomiędzy

ich ciała. Zdawało się, że nagle urosła, zmieniła się w górę, stała przeszkodą nie do pokonania. Mattias przeczeszał włosy palcami, podniósł się, stanął na podłodze i stamtąd obserwował Rozę. Z jego piwnego spojrzenia biło wiele czułości. Czułości dla niej.

- Rzeczywiście nie pora na takie zabawy - uśmiechnął się, szczupłymi palcami wyplątując wstążkę z rudych włosów Rozy.

Roza siedziała nieruchomo i pozwalała mu na to. Rzadko kiedy zgadzała się na czyjąkolwiek pomoc, lecz Mattias różnił się od innych ludzi. Jemu niczego nie musiała udowadniać. Teraz, poprawiając jej fryzurę, ani razu nie pociągnął jej za włosy, a jego dotyk był taki miły. Kryło się w nim ciepło, od którego Rozę na chwilę ogarnęła słabość. Przymknęła oczy, czując, jak ciepło przelewa się przez jej ciało. Napawała się tą chwilą, ale nigdy nie zamierzała powiedzieć Mattiasowi, dlaczego tak jest.

Poza tym on i tak nigdy by o to nie spytał. To inny powód, dla którego Roza na swój sposób go kochała. Mattias nie wypytywał zanadto, pozostawał jej bliski, lecz nie chciał przy tym wiedzieć o niej wszystkiego i nie zmuszał jej do poznania całej prawdy o sobie samym.

Taki układ był cudownie niezobowiązujący. Roza ufała Mattiasowi i czuła, że nie jest mu nic winna. Miło należeć do siebie samej, a jednocześnie powierzać całe swoje życie innemu człowiekowi bez żadnych zobowiązań.

Roza miała świadomość, że te dwie myśli są ze sobą sprzeczne, lecz właśnie tak postrzegała swój związek z Mattiasem. Nigdy go nie pytała, jak on traktuje ich przyjaźń. Żyli ze sobą, byli kochankami. Mattias wchodził w jej życie i wychodził z niego, na całe dni i noce,

wprowadzał się i wyprowadzał. Wiele razy wracał do swojego baraku w Kopalni dopiero o wczesnym poranku, lecz Roza i tak wciąż nazywała ich związek przyjaźnią.

Tak samo jak niekiedy nazywała samą siebie cnotką.

Dotyk jego palców na włosach był taki przyjemny. Znów rozrzuciły tłący się jeszcze żar, mówiąc jej, że ogień nie całkiem jeszcze zgasł, żar zbladł tylko, zszarzał na wierzchu, lecz wciąż jeszcze miał w sobie parzące gorąco.

Wystarczyło tchnąć w niego życie...

Roza wysunęła rękę i objęła Mattiasa w pasie. Zaraz potem dołączyła drugą rękę. Trzymała go za mocne, szczupłe biodra, świadoma, jak bardzo lubi to twarde ciało. Przeniknął ją dreszcz zadowolenia, jak zawsze, gdy czuła bliskość sprężystego ciała Mattiasa. Jego ścięgna pod gładką, ciemną skórą były jak postronki. Roza o tym wiedziała. Nauczyła się tego w czasie, gdy trwała ta ich przyjaźń, mająca wiele różnych stron. Jej ręce znały każdy skrawek jego skóry.

Teraz ciepłem własnego oddechu ogrzała mu brzuch pod koszulą. Chuchała na cały napięty brzuch, który krył się pod spranym płótnem. Jej oddech przenikał przez koszulę i pozostawiał gorące ślady na skórze Mattiasa. Roza trzymała go mocno, bardzo mocno, a on jakby opierał się dłońmi o jej włosy, pieścił je w roztargnieniu i z czułością. Rozie sprawiało to ogromną przyjemność.

Zębami leciutko pochwyciła materiał koszuli, musiała kilkakrotnie próbować, żeby złapać również za skórę. Mattias jęknął cicho, trochę z bólu, a trochę z rozkoszy.

Piersiami wyraźnie wyczuwała, jak bardzo podoba mu się to, co z nim robi. Wyczuwała jego wzbierającą

męskość, a jej naprężonym sutkom sam dotyk płótna bluzki sprawiał ból. Materiał wydał się nagle gruby i szorstki.

Puściła Mattiasa, a palcom zaczęło się spieszyć z uwalnianiem pasa ze sprzączki. Skóra paska była taka gruba. Gruba i brązowa, lecz zużyta już i posłuszna jej rękóm. Roza tylko trochę za bardzo się spieszyła, za bardzo chciała dotrzeć do jego ciepłego ciała, do pulsującego, rosnącego pożądanía.

Mattias jej nie pomagał. Chłonał to, co z nim robiła, nie odzywając się ani słowem. Palcami pieścił jej skronie, wsuwał je w gęste, rude, jedwabiste włosy, przesiewał przez grzebień palców. Stał z zamkniętymi oczyma, z głową nachyloną w przód i przyjmował wszystko, co tylko ona chciała mu dać.

Guziki na ogół nie stawiały oporu, ale tym razem palce Rozy były wyjątkowo sztywne. Nie pamiętała, by kiedykolwiek poruszały się równie niezdarnie. Tej chwili nic nie powinno zepsuć. Nie powinno się stać nic, co doprowadziłoby do tego, by żar znikł, jak woda zbyt długo gotująca się na piecu znika i zmienia się w nicość. Nic nie powinno powstrzymać tego, co ich czekało...

Roza czuła, że jej skóra płonie, jakby zaraz miała się roztopić, rozplynać, zespolić w jedno z jego skórą. Tęskniła, by znaleźć się jak najbliżej Mattiasa i nie wiedzieć już, gdzie kończy się jej ciało, a jego zaczyna. Tęskniła za chwilą, kiedy przestanie istnieć stała rama otaczająca ją samą. Gdy pozostaną w niej jedynie myśli i nie będzie już miała pewności, czy i one nie przenikają w niego i w równym stopniu należą do niego, jak i do niej.

Jedna ręka rozpięła bluzkę aż do brzucha, rozsznurowała skrzyżowane tasiemki tak, by rozpalone łono

mogło się schłodzić powietrzem, by mogła przycisnąć nagą skórę do jego lędźwi, do twardych bioder, do sterczącej męskości, którą druga ręka uwolniła z samodziałowych spodni.

Pieściła go dłońmi i piersiami. Twardymi, różowymi koralami żartobliwie ocierała się o jego gładką, suchą, jedwabistą skórę, a Mattias odchylił głowę do tyłu i przygryzł dolną wargę, by nie wykrzyczeć rozkoszy. Palcami wczepił się w potop jedwabistych włosów. Zaciskał palce niemal kurczowo, bezradnie, niczym w bólu.

Bo ona sprawiała mu ból. Bolesną przyjemność. Mattias, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ciągnął Rozę za włosy tak mocno, że w pewnej chwili z oczu trysnęły jej łzy, lecz nie powiedziała mu, że ją boli. Nie dała mu znać żadnym grymasem, jękiem ani gestem.

To był nie tylko ból. W tym bólu istniała również radość. Taka radość, o jaką kiedy indziej nie mogła go prosić, Mattias bowiem zawsze pragnął być czuły, ostrożny i delikatny. Pragnął jej dotykać leciutko i pieszczotliwie.

Obnażyła jego brzuch i całowała go, całowała małą zabawną pętelkę pępka, ścieżkę włosów wznoszącą się od niego ku piersiom, muskała skórę wargami jak maleńkimi ptasimi skrzydłami. Przesuwając się w dół, ledwie dotykała brunatnoczarnej dróżki, leciutko, delikatnie, raz po raz wargi opadały na gorącą skórę.

Potem powiodła ustami wzdłuż ścieżki w dół, rozchyliła mu spodnie na boki, szarpała się z nimi, aż zrobiło się dość miejsca dla niej, by mogła znaleźć to, czego szukała.

Słyszała cichutkie westchnienia, od których Mattias nie mógł się powstrzymać. Uśmiechnęła się jeszcze mocniej, rozgrzewając go oddechem. Uśmiechała się,

widząc, jak jego ciało reaguje na tę delikatną pieśczo-
tę, i znów stwierdziła, że nigdy nie przestanie się dzi-
wić mocy, jaką mogą mieć czułe gesty.

Mocy, jaką ona może mieć...

Wargami dotknęła jego członka. Wiedziała, że to dla
Mattiasa ból i rozkosz jednocześnie.

Odsunęła wargi i usłyszała cichutki jęk zawodu. Nie
potrafił przed nią ukryć tego uczucia, bo nie był w sta-
nie niczego udawać.

Cały jej się oddał...

Roza schyliła głowę i rozbawionym wilgotnym ko-
niuszkiem języka wodziła po jego stromych liniach.
Szkicowała językiem kontury jego męskości, śmiała się
w to wilgotne ciepło, a potem obejmujące go palce
stwardniały, ścisnęły, aż Mattias jęknął, lecz nie odpy-
chał jej od siebie. Przesunął dłonie za głowę Rozy i tyl-
ko mocniej ją do siebie przycisnął.

Serca waliły jak młotem. Roza miała wrażenie, że
czuje gorąco niczym w kuźni. W uszach jej szumiało,
pragnęła mieć go bez słów, bez dotyku łagodnych pal-
ców na ciele. Pragnęła mieć Mattiasa prędko, twardo,
bez jednego słowa.

Palce Mattiasa na jej głowie były bezwzględne. Ro-
zie przez moment zabrakło tchu. Wargi nabrzmiały.
W uszach szumiało i dźwięczało. W całym ciele dudni-
ło, waliło i pulsowało. Była dla niego miękka i gorąca.

Otoczyła Mattiasa rękami. Przesunęła dłonie po
twardych biodrach, w których pod napiętymi mięśnia-
mi wyczuwała kości. Dłonie kierowały się ku spręży-
stym pośladkom, ale wargi, zęby i język nie przestawa-
ły go pieścić, nakryły go całego.

Ból i radość...

- *My Lord!* - rozległ się nagle jakiś głos, a oni jednocześnie poczuli na ciałach chłodny powiew.

Roza szeroko otworzyła oczy, przełykając ślinę. Jej pieszczące dłonie znieruchomiały. Niebieskie oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Patrzyła gdzieś ponad biodrem Mattiasa. Wypuściła powietrze z płuc, lecz nie potrafiła go znów zaczerpnąć. Miała wrażenie, że się dusi. Mattias nie dostrzegł tego, co Roza widziała, stał obrócony twarzą do ściany. Ona zaś nie mogła oderwać wzroku od tego jednego punktu.

Od ciemnookiego Anglika w ciemnym ubraniu...

On też nie był w stanie się poruszyć...

Mattias jęknął gdzieś nad jej głową. Naparł na nią mocno, a jego ciałem wstrząsnęło spełnienie. Roza poczuła, że nie może oddychać.

Ugryzła.

W ustach zrobiło jej się ciepło. Poczuła słony, gorący smak. I wreszcie udało jej się zamknąć oczy, by nie musiała już dłużej patrzeć w niedowierzającą twarz Davida Warrena. Opuściwszy powieki, raz po raz zadawała sobie w duchu pytanie, dlaczego po skończonym obrzędku w oborze nie zamknęła drzwi na klucz.

Wydawało jej się, że to zrobiła...

Trwała nieruchomo, nie mogąc zrozumieć, kto tak strasznie krzyczy.

Ocuciło ją dopiero trzaśnięcie wejściowych drzwi. Wolno otworzyła oczy i zrozumiała, że wciąż zaciska szczęki. Zęby wbijały się w miękkie ciało, przecięły cienką skórę. Kiedy je rozwarła, Mattias szarpnięciem odchylił jej głowę w tył. Roza miała wrażenie, że wyrwie jej przy tym wszystkie włosy.

Mattias, chwając się na nogach, cofnął się na środek

izby. Obie ręce przyciskał do podbrzusza, Roza widziała, że między palcami ścieka mu krew. Patrzyła na czerwone krople skapujące na podłogę.

W zdumieniu koniuszkami palców musnęła wargi, gdy podniosła je do oczu, zobaczyła, że i one całe są zakrwawione. Prędko przesunęła po ustach językiem, nie wiedziała, dlaczego to robi.

Mattias, nie dowierzając bólowi, jęknął i osunął się na ławę przy stole.

Wciąż nie wiedział nic o Davidzie. Nie wiedział o niczym. Nie spytał nawet, dlaczego nagle zrobiło się tak chłodno. Może wcale tego nie poczuł? Może ból był tak wielki, że zagłuszał wszystkie inne zmysły?

- Co się dzieje? - zawołał Samuel z przylegającego alkierza.

- Nic! - odparła Roza.

Zdumiało ją, że jej głos brzmi tak czysto, tak wyraźnie. Że nie musi nawet odchrząknąć.

Na bosaka przebiegła po podłodze do Mattiasa. Bronił się przed nią. Obie dłonie przyciskał do podbrzusza, ale odpychał ją łokciami.

- Nie dotykaj mnie! - wydusił z siebie przenikliwym szeptem.

- Myślisz, że krew sama przestanie płynąć? - odsyknęła.

Nie pojmowała, jak może być tak spokojna. Ale była. Spokojna i rozpalona.

- Wiesz, coś ty zrobiła?

- To był wypadek - powiedziała cicho, nie patrząc mu w oczy. Jej usta potrafiły wytłumaczyć to w ten sposób, tak naprawdę jednak nie wiedziała, co właściwie się stało.

Mattias w końcu opuścił ręce. Teraz zaciskał je na krawędzi ławy. Mięśnie mocnych ud drżały jak lina napięta do ostatnich granic wytrzymałości. Roza nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, jak wielki odczuwa ból.

Rana ciągnęła się niemal wokół całej nasady członka. Jedynie po bokach skóra była nienaruszona. Rozcięcie przypominało płatki kwiatu, każdy ząb zostawił wyraźny ślad. Smak jego krwi wciąż miała w ustach i w gardle.

Rozciągnęła wargi w czymś w rodzaju uśmiechu. Nie podniosła jednak twarzy, żeby Mattias przypadkiem nic nie zobaczył. Wszystko w niej mówiło, że zrozumiałaby to opacznie.

Krwawił jak nacięta nożem ryba. Roza koniuszkami palców pogładziła ranę. Pragnęła, by Mattias wydobrzeał. By to, co się stało, nie miało żadnych następstw. Nie chciała jednak, by zagoiło się zbyt prędko. Przez jakiś czas powinno boleć...

David Warren nie wrócił prosto do domu. Stopy same zniosły go na krawędź pomostu. Stał tam wśród podmuchów wieczornego wiatru. Musiał ochłodzić rozpalone policzki, ostudzić ten nieprzyzwoity żar.

Gdy tylko zamknął oczy, widział dwa ciała przy prostym łóżku. Jej twarz przy spodniach mężczyzny, jej usta pełne jego męskości.

Jej niebieskie oczy, które odnalazły jego spojrzenie.

Potem usłyszał krzyk.

Zobaczył krew...

I nie miał pojęcia, jak zdoła wytłumaczyć Margaret, że Roza Samuelsdatter nie chciała wstąpić do nich na

2

- Tak to już jest - rzekł ze złością Wielki Samuel i zbladł. - Nikt mi o niczym nie mówi!

Kiwnął głową w stronę drzwi do kuchni. Były uchylone dostatecznie szeroko, by Roza mogła go słyszeć.

- Przynajmniej ona nic mi nie chce powiedzieć. Mówi tylko to, co jej odpowiada. Słyszałem jakąś piekielną awanturę, nie oszukacie mnie!

Zadrżał tak, że aż to było słychać, i ze współczuciem popatrzył na młodszego mężczyznę.

Mattias skrzywił się. Leżał w łóżku pod przeciwległą krótszą ścianą.

Każdy bardziej zamaszysty ruch sprawiał mu ból.

- Później zrobiła wszystko, co w jej mocy - odparł Samuelowi. - To się stało niechcący.

- Tak, pozostaje tylko mieć nadzieję, że właśnie tak było - burknął ojciec Rozy. - Co za baby się teraz rodzą! Za moich czasów nie wyprawiało się takich brewerii! O czymś podobnym w ogóle nie mogło być mowy!

Nie przestawał kręcić głową i ani trochę nie chciał się zastanawiać, w jaki sposób doszło do tego wypadku i jaki udział miała w nim jego córka.

- Czy wy, młodzi, w ogóle już nie macie oleju w głowie? Są pewne rzeczy, o które mężczyzna powinien dbać ponad wszystko!

- Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ona może się

okazać aż tak niebezpieczna - tłumaczył się Mattias.

- Młodzięz myśli wyłącznie o chwilowych radościach - orzekł Wielki Samuel, wciąż wstrząśnięty do głębi duszy.

- Przypuszczam, że wy wcale tak bardzo się od nas nie różniliście - odparł Mattias, zgrzytając zębami.

- Możesz sobie wyobrażać, co ci się podoba - stwierdził Samuel - ale ja ci przysięgam, że nigdy nie dopuściłem do siebie kobiety w taki sposób. Nigdy nawet nie pomyślałem o czymś takim!

- Żałujesz, że coś cię ominęło? - spytał Mattias, zastanawiając się, czy przypadkiem w istocie nie postąpił nieobliczalnie. Nie mógł pojąć, jak może pleść o tym nieludzkim bólu, a nawet z niego żartować, tak jakby wcale nie jemu przytrafiła się ta historia. A jednak jakimś dziwnym sposobem potrafił śmiać się i rozmawiać z Samuelem o łóżkowych doświadczeniach jak mężczyzna z mężczyzną.

- Żadna kobieta nigdy by mi czegoś takiego nie zrobiła! - zaklinał się Wielki Samuel, a potem, ścigając brwi, spytał o to, co bardzo mu leżało na sercu: - Chyba się w niej nie zakochałeś, Mattias? W mojej córce? Tak naprawdę? Zdaje mi się, że gotów jesteś wiele od niej przyjąć...

Mattias stwierdził w duchu, że w tym względzie Samuel ma sporo racji. Rzeczywiście zachował się nie jak człowiek przy zdrowych zmysłach, lecz raczej jak głupek opętany szaleństwem.

- Jak na mężczyznę, który prawie stracił całe swoje urządzenie, jesteś dziwnie ugodowy - stwierdził Wielki Samuel i znów zadrżał, wyobrażając sobie, do czego tak naprawdę mogło dojść. - A właśnie zakochani męż-

czyźni uginają się pod najłżejszym podmuchem wiatru. Stąd właśnie moje podejrzenia.

- Zostałem tu teraz - odparł Mattias - bo nie mam innego wyjścia. Diabli wiedzą, ile czasu upłynie, zanim będę mógł przynajmniej normalnie chodzić. Ale nie położę się z nią do jednego łóżka, na tyle ugodowy nie jestem!

Wielki Samuel nie mógł powstrzymać się od śmiechu, bez względu na to, jak bardzo tragiczna była cała ta historia.

- To cholerna baba, prawda? - spytał, a z głosu wręcz biła mu ojcowska duma.

Mattias nic na to nie powiedział.

- Moja matka była z tego samego rodzaju - ciągnął Wielki Samuel z uśmiechem rozmarzenia na twarzy. - Była tak piękną kobietą, że nie przestawali gadać o niej we wszystkich parafiach, do których tylko dosięgły plotki. Te śmiechy, że jak dla jej męża ma w sobie wręcz za dużo z kobiety. Chichoty, kiedy ludzie mówili, że jest prawdziwą... - Samuel roześmiał się ze smutkiem. - Mówili o niej, że za dużo jej dla mego ojca. Nanna zawsze twierdziła, że Roza wdała się w jej rodzinę, ale nie wiedziała, po kim jeszcze może dziedziczyć jej córka. Tak zresztą było najlepiej. Bo widzisz, Roza przypomina także moją matkę. Dostała po niej bystre spojrzenie i lekki śmiech. Śmiech Laury - mojej matki. Róży z Takalankyla. Tak nazywali ją ludzie. Pławiła się w czymś w rodzaju blasku, w świetle, w którym rosła. I im bardziej piękniała, tym bardziej marniał mój ojciec. Śmiechy i ludzkie gadanie przyginały mu kark, aż w końcu stał się innym człowiekiem niż ten, którego poślubiła. Używał na nas pasa, ale nie widziałem, żeby podniósł rękę na nią.

Mattias nie śmiał się odezwać. Wielki Samuel nigdy dotychczas nie powiedział tak wiele o sobie.

- Nie było piękniejszej od mojej matki - ciągnął Samuel rozmarzonym głosem z uśmiechem, który momentami przypominał Rozę. - Ale tak uważałem jako młody chłopak, bo potem spotkałem Nannę, a Nanna miała w oczach blask wszystkich gwiazd na niebie. Jeszcze później zaś urodziła się Roza.

Samuel westchnął ciężko i umilkł. Otarł ręką oczy i z całą gwałtownością, na jaką było go stać, obrócił się do Mattiasa plecami. Wydawało się, że płacze.

Wciąż mam w ustach smak jego soków. Gorący, słodki i słony. Jego krew zmyłam już z twarzy. Wydaje mi się, że nie ugryzłabym, gdyby inżynier nie pojawił się tak nagle. Dla Davida Warrena nie ma miejsca w mojej izbie. Nie powinien tu być. To jego wina.

Chciałabym spojrzeć na to jego oczami.

Ciekawa jestem, jakie wspomnienie zachowa. Chciałabym zobaczyć jego oczami samą siebie. Chciałabym poczuć jego zdziwienie i popatrzeć na siebie tak, jak on mnie widział. Przekonać się, ile on wie. Jest taki mądry. Nie rozumiem sposobu, w jaki myśli. Nie pojmuję, co się kryje za jego spojrzeniami. Nie mam pojęcia, jakie myśli kryły się za tym jednym pocałunkiem. To już tak dawno temu, lecz zdarzyło się naprawdę.

Ten inżynier mnie pocałował. Ten Anglik. Mąż Margaret. Pocałował mnie, a jego oczy powiedziały coś, czego wówczas nie zrozumiałam. Coś, czego wciąż nie pojmuję.

Jego miejsce nie jest tutaj, w Samuelsborg. To dlatego czubki moich butów zwracają się teraz ku Kopalni. To dlatego tam idę. Tam gdzie mieszkają inżynierowie.

Muszę mu powiedzieć, że nie ma dla niego miejsca tam, gdzie jestem ja.

- Co ty tu robisz?

David Warren pobladł na widok Rozy. Wyszedł aż na schody i zamknął za sobą drzwi. Stał w samej koszuli, ale na szyi wciąż miał fular. Mrok skrywał ich prawie całkowicie, a Roza wiedziała, że inżynier Warren chce, by tak było. Nikt nie powinien zobaczyć, że tu przyszła. Nikt nie powinien też dociekać, z jaką sprawą.

Bał się jej. Z takiego czy innego powodu. On także się jej bał.

Roza utkwiała spojrzenie w jego białych zębach. To one były w tej chwili najlepiej widoczne, pomimo iż jej oczy miały dość czasu, by przyzwyczać się do wieczornego mroku.

- Przyszedłeś - wyjaśniła. - Z pewnością nie bez powodu.

- Sądziłem, że mnie nie zauważyłaś - odparł inżynier Warren po dłuższej przerwie. W ciszy to, co wtedy zobaczył, znów stanęło mu przed oczami. Poczł się zakłopotany i nie chciał o tym myśleć, lecz niemożliwe było oderwanie się od tamtych zdarzeń. Niektóre obrazy pozostają w głowie jak gdyby przyklepione gęstym kłajstrem. - Byłaś zajęta - wyrwało mu się.

Mówiąc to, nie patrzył na nią. Nawet po ciemku niemożliwe było zatrzymanie spojrzenia na Rozie Samuelsdatter. Widział ją oczami pamięci, nie zaś taką jak teraz, kiedy stała przed nim.

- Widziałam cię - odrzekła krótko. - Inaczej bym nie ugryzła.

Nic na to nie powiedział. Nie wziął na siebie winy.

Żołądek wciąż mu się wywracał, gdy przed oczyma przelatywały obrazy, widok jej twarzy, krew i krzyk, który wciąż nie przestawał dźwięczeć mu w uszach.

To był ból, który niemalże odczuwał na własnym ciele. Jego ciało spinało się i odgradzało od niej na samą myśl. David nie potrafił pojąć, jak mogła zrobić coś tak strasznego. Zadawał sobie w duchu pytanie, gdzie jest teraz Mattias i co mu się płacze po głowie. Zastanawiał się, jak wygląda ich współżycie. Zdażył już usnuć na ten temat wiele różnych myśli.

Myśli, które go przerażały i od których żołądek ścisnął się w twardą kulę. Myśli, które drażniły. Proste, grzeszne myśli. Lubieżne, takie, do których nie chciał się przyznać. To ona je w nim zasiała.

Roza Samuelsdatter.

Roza.

Wkradła się w jego umysł i stała czymś znajomym, bliskim, grzesznie rozpalonym i podniecającym w marzeniach, które David uczynił swoimi. Nieprzyzwoite obrazy igrały z nim dniem i nocą, a gdyby nie ona, nigdy nie wszedłby w ten mroczny las niebezpiecznego pożądania.

- Twoje miejsce nie jest tam - oznajmiła Roza krótko. - Nie tam, nad samym fiordem.

Nic sobie nie robiła z tego, że zwraca się do niego na ty. Nie był niczym więcej niż tylko człowiekiem. Tytuły i nazwiska nigdy jej nie obchodziły. One również nie mieściły się w rzeczywistości nad Kafjorden.

Anglicy byli obcymi ptakami budującymi tu gniazda na pewien czas. Szybko się przekonają, że nie ma tu dla nich życia. Wówczas zabiorą swoje tytuły i swoje skomplikowane nazwiska, całą swoją pozłotę i blask, a zostaną tu tylko ci, którzy naprawdę należą do tego miejsca.

Zostaną tu tylko te ptaki, które stapiają się w jedno z krajobrazem. Niepozorne i szaropióre, lecz stworzone, by uwić gniazdo właśnie tutaj. Stworzone, by czuć się tu dobrze.

Takim właśnie ptakiem była Roza. Ptakiem, który nigdy nie poleci w świat, który nie musi rozpościerać skrzydeł, by poczuć niebo zarówno nad sobą, jak i pod sobą.

Natomiast David Warren, inżynier, i jego Margaret polecać dalej, niż Roza jest w stanie sobie wyobrazić. Oni bowiem są ptakami, którym przeznaczone jest inne miejsce pod słońcem.

- Ludzie mogliby zacząć gadać - stwierdziła Roza krótko, czując, że zmarzła w nogi. Włożyła sznurowane buty, nie kumagi. Pomyślała teraz z goryczą, że chciała się ładnie zaprezentować, bez względu na to, co się dzieje. To niemądre z jej strony, lecz kiedyś ten mężczyzna patrzył na nią tak, jak patrzył na innych. Tak jak się patrzy na człowieka. Pozostał od tego ślad w jej duszy. David Warren stał się przez to dla niej kimś ważnym i nie mogła przyjść do niego w kumagach. Roza nie potrafiła pokazać przed nim swojej nędzy.

- Twoja żona na to nie zasługuje - dodała. - Sam wiesz, o czym ludzie gadają. Ja nie chciałabym o tym słuchać. Nie chciałabym, żeby ona o tym usłyszała. Nic w tym nawet nie ma...

Zdania stały się niemożliwe. Mieszały się w głowie. Roza zawsze, gdy rozmawiała z Anglikami, musiała dobrze się zastanawiać, co powie. Tak łatwo było poczuć się przy nich głupio. Oni tyle widzieli i tyle wiedzieli. Choć nie nazywali tego słowami, mówiły to ich oczy. Roza zbyt często potrafiła w nich wyczytać, że nudzą się z ludźmi takimi jak ona. Pojawiała się w nich jakaś

pogarda. Gdy przed nimi stawała, traciła swoją wartość.

Zmieniała się wtedy w osobę tak niepozorną, jak oni chcieli ją widzieć.

- Twoje miejsce nie jest w Krecie - powiedziała Roza i odwróciła się, żeby odejść. Nie mogła tu dłużej zostać teraz, gdy jej oczy na nowo przyzwyczały się do ciemności po tym, jak oślepiło ją światło bijące ze środka, kiedy inżynier do niej wyszedł. Gdy wyszedł na chłód.

Teraz widziała jego twarz aż zanadto wyraźnie i czuła, że zbyt trudno jej zostać. W spojrzeniach, które jej słał, była jakaś dobitność. David Warren chciał od niej czegoś więcej, niż Roza mogła zaakceptować. Tak to rozumiała. Oczywiście jego spojrzenia przyprawiały ją o znajome ukłucia na skórze, lecz wiedziała, że nie jest to coś, dla czego chciała żyć. To nie było dla dziewcząt, pochodzących z takich domów jak ona. Owszem, mogło wydawać się łatwe i proste, lecz rzadko okazywało się takie w rzeczywistości.

Roza już tam była.

Nie zamierzała tam wracać.

- *Don't!* - powiedział. - Nie odchodź!

Złapał ją za ramię, za to pokryte poparzoną skórą. Nie mógł jednak o tym wiedzieć, zresztą puścił ją zaraz, kiedy jęknęła. Kiedy miał pewność, że nie odejdzie.

David górował nad nią. Wciąż stał na samym szczycie schodów, plecami zwrócony do drzwi. Roza na zawsze miała zapamiętać szefów Kopalni jako malowidła, jako obrazy otoczone pięknymi ramami. Futryna drzwi inżyniera była malowana. U niej w domu, w Krecie, pokryto ją smołą. W The House ozdobiły ją rzeźbienia.

Ramy potrafiły tak wiele powiedzieć o ludziach.

- Ona o ciebie pytała - oznajmił David niechętnie.

Miękkie męskie dłonie wsunęły się do kieszeni spodni. Angielski inżynier oparł się łopatkami o drzwi i wolał nawet nie patrzeć na Rozę. - Ona się nie najlepiej czuje - dodał, nie będąc w stanie ukryć dręczącej go bezsilności. Ogarnęła go już w chwili, kiedy Margaret oznajmiła mu, że oczekuje dziecka. Oczywiście pragnął mieć dzieci tak samo jak Maggie, lecz zawsze wyobrażał sobie, że to dziecko przyjdzie na świat w Wielkiej Brytanii.

Jego syn powinien urodzić się na angielskiej ziemi, a nie nad zapomnianą przez Boga odnogą fiordu, gdzieś niemalże pod biegunem północnym. Przecież tutaj wszystko może się zdarzyć!

- Nie zostało jej już chyba dużo czasu - stwierdziła Roza, uważnie licząc w głowie.

Przypominała sobie rozmowę z żoną Davida. Z Margaret, której drobną twarzyczkę okalała burza loków. Daisy, żona Davida Warrena, miała w sobie jakąś bezbronność. Przynajmniej gdy się na nią patrzyło, wydawało się, że ma niewiele sił. Lecz może jednak była jak górską turzycą, która tak pięknie ugina się pod naporem wiatru i podnosi się, gdy tylko wichur ucichnie. Łamię się ci, którzy sztywno się opierają. Ktoś, kto potrafi miękko się zgiąć, będzie w stanie później się podnieść.

- Dwa miesiące - odparł. - Ona nie wstaje. Przeleżała niemal cały czas. Krwawi. I już ma bóle porodowe. Lekarz mówi, że wszystko w rękach Boga.

Roza ściągnęła kącik ust. Był to raczej grymas niż uśmiech. Wyglądało na to, że dobry doktor chce zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność. Już zaczął przygotowywać tych dwoje na najgorsze. Ogromnie ją to rozżłościło.

- I ona pyta o mnie?

- Chce, żebyś przyszła do nas na służbę.

Roza bez pytania wiedziała, że on sobie tego nie życzy. Teraz jeszcze bardziej niż dawniej. I tak samo dobrze zdawała sobie sprawę, że nigdy nie będzie mógł powiedzieć swojej żonie o tym, co zobaczył. Zaliczał się do tych mężczyzn, którzy nie potrafią ubrać podobnych przeżyć w słowa. W ich świecie, być może, nie zdarzało się to, czego był świadkiem. Być może brakło na to słów.

Roza również nie zamierzała go o nic pytać, chociaż mały diabełek szeptał jej do ucha, że przyjemnie byłoby się przekonać, jak naprawdę przyjął to ów pan o prostych plecach. Coś przecież musiały jej odpowiedzieć, wszak chyba na tyle był mężczyzną!

- Nie przekazałeś jej, co ci mówiłam tamtym razem, gdy mnie pytałeś o to samo?

Roza nie potrafiła zrozumieć, jak może tak zwyczajnie, bez wysiłku rozmawiać z człowiekiem, który stał o tyle wyżej od niej. Zwracała się do niego niemal dokładnie tak samo, jak wtedy gdy rozmawiała z Mattiasem czy którymkolwiek ze swoich braci. Z szacunkiem, lecz nie uniżenie, a także bez pogardy.

On był innym człowiekiem.

- Margaret wie, że wtedy nie chciałaś - odparł David Warren. Ręce w kieszeniach spodni zacisnęły się w pięści. Na nogach miał domowe pantofle. Również jemu było zimno. Kilkakrotnie wędrował spojrzeniem w stronę drogi. Omiatał nim domy położone w pobliżu. Ważne było, aby nikt nie zobaczył tu Rozy Samuelsdatter. Ktoś być może już widział go, jak szedł w stronę Krety. Gdyby Rozę zobaczono na schodach jego domu, zaczęłoby się gadanie, którego za nic sobie nie życzył. Zarówno ze względu na Margaret, jak i na

siebie samego. Takie rzeczy nie powinny dotrzeć do uszu kierownictwa ani też do znajomych pań.

- Ona teraz śpi - powiedział prędko. - Może powinnaś wejść do środka. Moglibyśmy o tym porozmawiać...

- A o czym tu rozmawiać? - spytała Roza ostro, ale nie ruszyła się z miejsca, jakby przymarzła do stopnia. Styczniowe noce potrafiły być niezwykle zimne.

David odrobinę uchylił drzwi. Ze szpary wypłynęła smuga światła, wąska i głodna rozproszyła się w mroku. Trzymał rękę na klamce. Cień i światło go odmieniły. Ukazały na jego twarzy linie, których Roza nie dostrzegła wcześniej. Był tak innym człowiekiem...

Drzwi zmieniły się w szyb, w który mogła wejść. W sztolnię. W kopalniany korytarz. Ale po drugiej stronie czekało na nią światło, a nie bezdenne, wilgotna otchłań, jaką była ciemność panująca we wnętrzu skały. Czekało na nią światło pięknych lamp, poustawianych na małych stolikach i komodach, mosiężnych żyrandoli zwisających z sufitu, które przyciągały do siebie wzrok i sprawiały, że tchu brakowało w piersiach. To światło, przytulne, bezpieczne, niemalże obce, kusiło ją, a Roza zdawała sobie sprawę, że nigdy nie potrafiła oprzeć się zagrożeniu.

Oczywiście, że weszła do środka.

David Warren uchylił drzwi zaledwie na tyle, by mogła przemknąć się bokiem, i nawet teraz otarła się piersiami o futrynę. Roza wiedziała, że jego oczy to zauważyły, lecz nie obróciła się do niego, żeby ujrzeć wyraz jego twarzy. Wystarczyło jej, że wychwyciła uczucie, które nim owładnęło.

Zamknął za nimi drzwi na klucz.

To zdziwiło Rozę.

Do domu takiego jak ten powinna wchodzić wyłącznie jako służąca. Tylko do tego nadawały się osoby z jej pozycją. Tymczasem bywała tu wielokrotnie jako ktoś w rodzaju gościa i chyba również gościem była teraz. Traktowali się jak na równej stopie, oboje o wielu rzeczach zapominali, aby stało się to możliwe, lecz czuła, że właśnie tak jest. Osiągnęli coś w rodzaju równowagi.

David poprosił, żeby usiadła, a Roza usłuchała. Przycupnęła na brzeżku fotela, który był dla niej zbyt głęboki, kolana dziwnie sterczały w górę. Czuła się nieswojo, siedząc tak, nie pojmowała, jak komukolwiek może być wygodnie w takiej pozycji, lecz być może to kolejny z dziwacznych angielskich obyczajów. Zaczynała już rozumieć, jak bardzo odmienny jest tamten kraj.

- Znam twoją sławę - odezwał się wreszcie David, nabijając fajkę.

Roza przymrużonymi oczyma śledziła ruchy jego palców. Nigdy by się przed nim nie przyznała, zresztą nigdy nie będzie to konieczne, ale David miał w sobie coś, co sprawiało, że często po prostu przyjemnie było na niego patrzeć.

- Znam wszystkie jej strony - ciągnął, widząc, że Roza nie chce ani słowem komentować jego stwierdzenia. Sprawiała wrażenie, jakby ani trochę nie obchodziło ją, co on o niej myśli.

- I co z tego? - spytała w końcu. - Wszyscy znają moją sławę. Wszystkie jej strony. Ale nikt nie zna mnie, wszystkich moich stron...

Nie wiedziała, dlaczego wypowiedziała to ostatnie zdanie, ale David Warren skłaniał ją do robienia pewnych rzeczy i nad tym nie potrafiła zapanować. Miała wrażenie, jak gdyby ją prowadził. To było przerażające,

dziwne. Od tak dawna jej to nie spotkało. Roza przestała już wierzyć, że może się to komukolwiek udać.

Jens odszedł...

- Którą ze stron mojej sławy masz na myśli przede wszystkim? - spytała ze świadomością, że mówi zachrypniętym głosem.

Jeśli ten Anglik chciał się z nią bawić, to powinien wiedzieć, że ona zna reguły większości gier, jakie mogą mu przyjść do głowy.

David wciąż ubijał tytoń w fajce, choć nie było to już wcale potrzebne. Palcami przesuwiał wzdłuż cybucha. Ciemne drewno pochodziło gdzieś ze Wschodu, miło dotykało się go kciukiem. Uświadomił sobie własne gesty, z których dotychczas nie zdawał sobie sprawy. Teraz je poznawał, a to dlatego, że przykuły one niebieskie oczy Rozy.

Ona nie powinna wiedzieć, o czym on myśli przede wszystkim...

A może jednak...

- Sama o tym wspominałaś - powiedział, żałując, że nie może się do niej zwracać w swym ojczyństym języku. Z o wiele większą łatwością przychodziło mu wyrażanie myśli po angielsku. O wiele łatwiej ukryć się za słowami, które dobrze się zna. Utkany z nich płaszcz ma zupełnie inną grubość.

- O tym, że być może potrafisz więcej niż inni ludzie...

To stwierdzenie zawisło między nimi jak dym fajki, którą zapalił. Ręce mu nie zadrżały. To było zwycięstwo, które David skrzętnie zachował w pamięci.

- O tym, że nazywają mnie czarownicą? - spytała Roza z godnością i oparła się wygodniej.

Fotel okazał się wcale nie aż taki miękki. Gdy przy-

sunęła się do samego oparcia, wygodnie podtrzymał jej plecy. A siedzenie kończyło się tuż za zagłębieniami kolan. Ten fotel był jakby dla niej stworzony. Dłonie ułożyły się na poręczach, otwały się i jęły delikatnie gładzić haftowane wełną róże, kwiaty z innego świata niż ten, który znała. Ogrzewały jej ręce, zdawały się żyć pod jej skórą, gładziły ją i pieściły, pokazując jej, że istnieje i że tyle w sobie ma.

Tyle tego, czego ludzie się bali, a być może potrzebowali...

- O tym, że być może jestem czarownicą? - powtórzyła, chwytając przelotnie jego piwne spojrzenie. Ciemne, prawie czarne, jak węgiel i ciepło w jednym. Nie płonący węgiel, lecz zupełnie inny. David Warren miał oczy jak węgiel i blask słońca jednocześnie, złocisty węgiel albo czarna miedź.

Jak coś, co nie istnieje...

Zaciągnął się dymem i smakował go, nim znów wypuścił go z ust. Dym zawisł między nimi w powietrzu jak mgła, sprawił, że byli dla siebie niewyraźni.

David stał się niemal piękny. Roza doskonale wiedziała, że potrzeba znacznie więcej dymu, aby i ją dało się uznać za piękną. Do tego trzeba pożaru wrzosów w górach.

Jakby musiała być dla kogoś piękną...

A już zwłaszcza dla tego Anglika...

- Czy naprawdę tak jest? - spytał David wreszcie. - Mówiąc między nami, naprawdę jesteś czarownicą, Rozo?

Zwracał się do niej tylko po imieniu. Nie nazywał jej Rozą Samuelsdatter, jak by wypadało, lecz tylko Rozą. Mówił tak, jak mawiało się w rodzinach lub między ludźmi, którzy są sobie pod tym czy owym względem bliscy.

Wypowiadał jej imię w zupełnie inny sposób. Wy-

mawiał je inaczej, niż brzmiało wypowiedane przez innych ludzi. Roza nie wiedziała, czy jej się to podoba. Po prostu brzmiało inaczej...

- Możesz coś zrobić dla Margaret?

Roza przekrzywiła głowę.

- Nie wiem, czy jestem czarownicą - wyznała szczerze. - Nie wiem, czy chcę nią być.

- A czy o tym można decydować? - spytał lekko.

To była dziwna rozmowa, lecz prowadzili ją swobodnie. Znów pojawiło się między nimi coś na kształt szacunku.

Roza wyraźnie czuła, że Anglik już się jej nie boi.

- Nie wiem - odparła. - Jestem wybrana. Otrzymałam dar. Nie wiem, czy go chcę. Nie wiem, czy chcę go wykorzystywać. Nie wiem, dlaczego miałabym to robić. Nie wiem, w jaki sposób miałabym go użyć. I nie wiem, jak mogłabym go odrzucić.

- Ale być może mogłabyś pomóc Margaret.

- Powiedziała mi, że mówią na nią Daisy...

David uśmiechnął się. Od razu wyglądał młodziej. Miał taki niespieszny uśmiech. Właśnie takie uśmiechy były najgroźniejsze.

- Ona naprawdę pragnie tego dziecka. Żyje wyłącznie dla niego. Wydaje mi się, że przyjechała tutaj tylko po to, by je mieć. Mam wrażenie, że kocha je bardziej niż mnie. Bardziej niż kiedykolwiek mnie kochała...

Roza rzadko miała okazję słyszeć, jak ktoś mówi o miłości. Nie przypuszczała, że mężczyźni takich jak inżynier Warren obchodzą podobne uczucia. W ich życiu było tyle innych ważnych rzeczy. Uczucia stawały się takie niepozorne. Zmieniały się we mgłę albo w dym, który i tak rozplynie się w powietrzu.

- Nie wiem, czy mogę cokolwiek zrobić - odparła Roza krótko. Starła się nie słyszeć jasnego głosu, który dręczył ją, wydobywając się gdzieś spoza myśli. Tego, który mówił jej, że oto otwierają się drzwi, przez które powinna przejść.

Ze to stanowi część jej losu...

- Ludzie z Kopalni mówią co innego.

- Ludzie wygadują mnóstwo różnych rzeczy - stwierdziła Roza.

Natalia tłumaczyła jej, że nie jest ważne, co mówią ludzie. Natalia twierdziła, że Roza powinna wyciągnąć ręce i to pochwycić. Natalia szeptała jej, że on, ten Anglik, jest ważny. Jasny głos mówił, że on być może istnieje dla Rozy...

- Niczego nie mogę obiecać - rozległ się głos Rozy, lecz może był to głos Natalii? W każdym razie wargi Rozy się poruszyły. David uważał, że to ona wypowiedziała słowa.

- Zgodzisz się zostać służącą w naszym domu?

- Nie - odrzekła Roza z całą dumą, jaką w sobie miała. - Ale zajrzę do twojej żony i będę tu przychodzić, gdy po mnie pośle.

- Zajrzysz do niej teraz? - spytał, wstrzymując oddech.

Roza Samuelsdatter zwróciła na to uwagę, uśmiechnęła się leciutko, tak jak tylko ona potrafiła się uśmiechać. Przelotnie, ledwie dostrzegalnie, jak ryś, który odsłania zęby.

- Teraz - oznajmiła, wstając z haftowanego fotela. Nie miała już żadnych wątpliwości. A tamten głos ucichł. Być może była to jej własna decyzja...

3

- *You came...* Przychodzisz. Przychodzisz. Mówiłam, że ty przychodzisz - uśmiechnęła się Margaret, łapiąc Rozę za rękę obiema dłońmi. Roza czuła, że niewiele w nich siły. Napotkała w tej drugiej kobiecie niezwykłą ufność, która wprawiła ją w zmieszanie. Wiedziała, że niczym sobie na nią nie zasłużyła. Jediną rzeczą, jaką zrobiła, to pozwoliła się nakłonić do wejścia do tego pokoju. Nie było w tym żadnego bohaterstwa.

- Ty zostaniesz tu - powiedziała Margaret Warren, wdychając z ulgą. Wciąż trzymała Rozę za rękę, ale teraz ułożyła się z powrotem na poduszkach i wyglądała na prawie szczęśliwą.

- / *toldyou she would come* - zwróciła się do męża. - *I told you she would stay, didn 't i?*

David ostrzegawczo mrugnął do Rozy. Bardzo ściszym głosem pospiesznie przetłumaczył słowa żony.

- Powiedziała, że mi o tym mówiła. Że ty przyjdiesz i że zostaniesz.

- Możesz jej wszystko wytłumaczyć? - spytała Roza równie cicho.

- Tłumaczę jej to za każdy razem, kiedy prosi, żebym cię sprowadził - odparł David, nie patrząc na Rozę.

- Zostajesz? - upewniła się Margaret Warren. Ścisnęła Rozę za rękę tak mocno, jak tylko mogła.

Roza popatrzyła na inżynierową. Margaret ubrana

była w nocną koszulę, która sięgała jej aż pod brodę. Guziczki przy koszuli były maleńkie jak pączki kwiatów, żółtych jaskrów rosnących latem na polu przy Samuelsborg. Trudno musi być je zapinać, ale żona inżyniera miała takie szczupłe, delikatne palce, zapewne też ludzie w tym kraju, z którego pochodziła, uczyli się takich czynności już od dzieciństwa.

Materiał koszuli miał zielonkawy kolor, przypominający bardziej morze niż las. I Roza nie mogła nic poradzić na to, że uznała tę barwę za piękną. Sądziła, że ona sama również dobrze wyglądałaby w tym kolorze, lecz na cóż jej takie nocne koszule?

Drobna twarzyczka w kształcie serca była blada, na szczupłych policzkach pani inżynierowej nie rysował się nawet cień rumieńca. Wargi, które, jak Roza pamiętała, kiedyś przypominały czerwone kwiaty, teraz pobielaly, a włosy Margaret, przepocone, rozsypały się na poduszkach i Roza, widząc to, uznała, że inżynier powinien mieć przynajmniej tyle rozumu w głowie, żeby znaleźć kobietę, która by je zaplotła. Margaret sprawiała wrażenie zmęczonej i zrezygnowanej. I wystraszonej.

Roza wiedziała, że ta drobna Angielka jest tutaj zupełnie sama, jeśli wyłączyło się męża, a zresztą w tej sytuacji mężczyzna niewielką mógł służyć pomocą. Przydałaby się tu kobieta, mówiła sobie Roza w duchu. Margaret Warren nie miała jednak obok siebie ani matki, ani siostry, do której mogłaby się zwrócić. Znalazła się w obcym kraju, oczekiwała swego pierwszego dziecka, a niestety, nie wszystko układało się jak należy.

To oczywiste, że się bała!

Tak łatwo byłoby się zgodzić. Ustąpić temu błagalnemu spojrzeniu zielonych oczu. Odbijały się w nich

ból i samotność, które Roza doskonale potrafiła rozpoznać. Wystarczyło jedynie otworzyć usta i powiedzieć, że oczywiście, zostanie, że będzie służącą inżynierowej.

Roza nabrała powietrza i zerknęła na Davida Warrena. W jego ciemnych oczach wciąż krył się ujarzmiony ogień. Mięśnie pod skórą lekko drżały, twarz miał napiętą. Nawet w żółtoczerwonym świetle pojedynczej lampy w pokoju widać było, że wyraźnie pobladł. Nosił w sobie tak wiele, że Roza się przestraszyła i dzięki temu wrócił jej rozsądek.

Ona nie może się w to wplątać. Zbyt wiele się tu kryje pod powierzchnią. Trudno, urazi tę delikatną panią, lecz tak naprawdę nie była odpowiedzialna za żadne z nich. Żadne z nich nie porzuciłoby własnego życia dla niej. Oni pochodzili z innego świata. Roza nie może się z nimi mieszać.

Jest przecież tylko Rozą z Krety.

Nie tutaj jej miejsce.

- Będę cię odwiedzać - oświadczyła Roza z mocą teraz, gdy już podjęła decyzję. - Będę przychodzić, gdy po mnie pošlesz. Przyjdę, gdy tylko źle się poczujesz. Ale nie mogę zostawić ojca samego. Jestem za niego odpowiedzialna. On się mną zajmował, kiedy byłam dzieckiem, a teraz ja muszę zająć się nim. To mój obowiązek. On jest moją rodziną. Mam nadzieję, że to rozumiesz...

Margaret nic nie odpowiedziała. Zamknęła oczy. Rzęsy wyglądały jak wachlarze na tle białych policzków, na delikatnej skórze, miękkiej jak jedwabne chustki. Roza poczuła ich miękkość, gdy jakby w geście pocieszenia powiodła palcami po policzku pani.

Na twarzy Margaret odmalowało się rozczarowanie, kąciki ust się ściągnęły, z wysiłkiem obróciła się do

Rozy plecami. Uścisk jej ręki na dłoni Rozy zelżał w momencie, gdy Roza wypowiedziała słowa oznaczające odmowę.

Roza nie ruszyła się z miejsca. Gładziła tę drugą kobietę po barku i ramieniu. Materiał nocnej koszuli był niemal równie miękki jak skóra Angielki. Roza Samuelsdatter nigdy wcześniej nie miała okazji dotykać takiego materiału. Być może dziewczęta służące w The House widziały już coś podobnego, ale Roza mogła oglądać suknie eleganckich pań jedynie z daleka, nigdy nie dotykała ich dłońmi. Była wszak jedynie podkuchenną.

Tu mogłaby służyć jako pokojówka, jako osobista służąca pani. To prawie to samo co powiernica. Margaret prosiła, by Roza została kimś w rodzaju przyjaciółki.

- Nie mogę - powtórzyła cicho. - Ogromnie mi przykro, lecz naprawdę nie mogę...

Inżynierowa nie dawała się przeprosić. Wciąż leżała obrócona do Rozy tyłem, kark wyginał się w ostry, odpychający łuk.

Roza rozejrzała się dokoła bezradnie. Niemądrze było tak myśleć, lecz Roza miała przed oczami tamtą życzliwą panią, która rozmawiała z nią tak zwyczajnie. Ze wspomnień Rozy wynurzyła się Margaret Warren, która mówiła, że nazywają ją Daisy, która uśmiechała się, ponieważ obydwóm nadano imiona od kwiatu, ponieważ obie były tak różnymi roślinami. Być może obie bardziej przypominały turzycę, górską turzycę, która ugina się na wietrze i która daje sobie radę sama na pustkowiu, o wiele bardziej soczysta, silniejsza i całkiem inna od tej trawy wokół The House, którą koszone, gdy tylko zaczynała sięgać ponad kostki.

Roza dostrzegła szczotkę do włosów leżącą na noc-

nym stoliku. Jej ręka sięgnęła po nią, jeszcze nim ona sama zdążyła się zastanowić. Był to niezwykle piękny przedmiot. Roza nigdy nie widziała czegoś podobnego. Spojrzenie na moment objęło szczotkę. W dotyku wydawała się taka chłodna. Wyglądało na to, że jest ze srebra. I Roza wystraszyła się, że zostawi na niej brzydkie ślady palców, lecz nie mogła też wypuścić jej z dłoni.

Zacisnęła wargi i dotknęła kędziorów Margaret Warren. Chociaż inżynierowa leżała obrócona do Rozy plecami, Roza wciąż mogła ją przekonać, że rozumie jej samotność. Mogła pokazać, że nie żywi żadnej urazy, że mówiła prawdę, zapewniając, że będzie do niej przychodziła - chciała pokazać, że może jej świadczyć usługi, które nic nie kosztują.

Prawie tak samo jak świadczą sobie przysługi przyjaciele...

Margaret poruszyła się ostrożnie, gdy Roza powolnymi ruchami zaczęła szczotkować wilgotne loki. Te jasne włosy powinno się umyć. Roza domyślała się, że David Warren tego nie dostrzegał, a jego młodzianka żona nie chciała go tym kłopotać. Roza wyczuwała tkwiącą w Margaret siłę, Angielka chciała dawać sobie radę sama, a gdy już musiała się poddać, postanowiła obywać się bez tego, bez czego można się obyć.

Margaret nade wszystko pragnęła poczucia bezpieczeństwa. Bała się do tego stopnia, że popadła w historię. Krzykiem domagała się tego, do czego była przyzwyczajona. Chciała mieć służącą.

Roza spostrzegła, że na nocnym stoliku leżą jedwabne wstążki. Były trochę pogniecione, lecz to być może nie miało takiego wielkiego znaczenia. Domyślała się, że niewiele osób jest wpuszczanych do sypialni inżynie-

rostwa. Margaret Warren nie była z tych, którzy chcą, by wszyscy ich oglądali, gdy nie prezentują się korzystnie. Wolała pokazywać ludziom swoje lepsze strony.

Roza nie wiedziała, jak to się dzieje, że tak dobrze zna tę drugą kobietę. Niewiele ze sobą rozmawiały. Ani słowa nie zamieniły o tym, co w życiu ważne. Nie były najlepszymi przyjaciółkami.

Najlepsze przyjaciółki są niebezpieczne.

Bliskość jest niebezpieczna...

Intymność jest niebezpieczna...

Roza zręcznymi palcami prędko splotła jasne loki. Ani trochę nie ciągnęła Margaret za włosy. Nigdy wprawdzie nie miała młodszej siostry, na której mogłaby się wprawiać, ale splatała własne warkocze. Ledwie odrosła od ziemi, a już nie pozwalała Nannie się czesać.

Roza również była z tych, którzy wolą radzić sobie ze wszystkim samodzielnie.

David czuł, że w gardle rośnie mu kula. Nie mógł na to patrzeć. Zrozumienie i czułość, jakie Roza okazywała Margaret, przebiły się przez jego mur obronny. Mur runęły w pył i wiedział, że nic już nie będzie takie jak przed tą chwilą. Nie mógł otrząsnąć się z mrocznego pożądanego, lecz teraz na dodatek zaczynał darzyć sympatią tę dziwną, kruchą dziewczynę, którą nazywano Rallar-Rozą.

Może to złudzenie, lecz wydało mu się, że Margaret się uspokoiła. Człowiek obcy by tego po niej nie poznał, lecz obcy nie zorientowałby się również, w jak wielkie wzburzenie wprawiła jego żonę odmowa Rozy. Dobre wychowanie nie pozwalało Maggie okazywać uczuć wobec nieznanym. Dobre wychowanie było w domu Hartów jak religia. Moira, teściowa Davida, czuwała

nad wszystkim niczym skrupulatny zarządca. Margaret wyrosła na angielską różę, lecz David podejrzewał, że byłaby zupełnie inną osobą, gdyby dane jej było rozwinąć się w tych kierunkach, które by sama wybrała. Niekiedy zastanawiał się, kim byłaby wtedy Margaret, i tęsknił za tą obcą osobą, jaką się nigdy nie stała. Głównie jednak cieszył się, że Moira tak doskonale się spisała.

Margaret oddychała teraz spokojnie. Ramiona jej się rozluźniły i David też wreszcie ośmielił się odetchnąć. Roza gładziła Angielkę po włosach. Zaplotła warkocz do końca, wplotła w niego wstążki. Udało jej się sprawić, że Margaret wyglądała pięknie, niemal zbyt młodo. W nieoczekiwany sposób wzruszyło to Davida. Przypomniał sobie młodzieńką Daisy i niemalże na nowo się w niej zakochał, w jej przekorze i w żółtych lokach, które nade wszystko pragnęły uwolnić się od tasiemek czy wstążek i układać tak, jak same chciały.

Roza w końcu się wycofała. Bezszelestnie wyminęła Davida Warrena i wyszła z sypialni. Bez niej w pokoju od razu zrobiło się pusto. David zerknął na Daisy. Spała z uśmiechem na białych wargach. Odprężona. Dawno już jej takiej nie widział. W rysach twarzy malował się spokój, którego trudno było doszukać się przez całą zimę.

Nie śmiał jej dotknąć, bał się, że zakłóci jej sen, że ją zbudzi, a bogowie przecież wiedzieli, jak bardzo Margaret potrzebowała każdej, najkrótszej bodaj chwili odpoczynku. Na ogół walczyła ze snem. Będzie musiał podziękować za to Rozie Samuelsdatter, będzie musiał porozmawiać z nią i ustalić bardziej regularny plan, nakłonić, by przychodziła codziennie, nawet jeśli naprawdę nie zechce zamieszkać z nimi i na stałe zostać służącą Margaret.

Gdy jednak David Warren wrócił do salonu, okazało się, że Roza już sobie poszła. Zamknęła go w środku, pozostawiając po sobie pustkę dostatecznie dużą, by wypełnić nią krzyk.

Mattias już prawie zasnął, gdy ojciec Rozy w ciemności chrząknął i oświadczył:

- Przeszkadzam Rozie. Leżę tutaj jak kłoda i tylko sprawiam kłopot. Nie ma ze mnie żadnego pożytku. Jestem jej kulą u nogi. Tak właśnie jest.

Nie było to dalekie od prawdy, lecz mogło zostać powiedziane w sposób mniej bezpośredni.

- Ty dobrze wiesz, że mam rację, dlatego się nie odzywasz - stwierdził Wielki Samuel.

- Jesteś jej ojcem - odparł Mattias. - Członkowie rodziny zajmują się sobą nawzajem.

- Mogłaby iść zarabiać pieniądze.

Mattias zapatrzył się w ciemność, myśląc o tym, że Roza mogłaby wyjść za mąż i mieć dom, który zapełniłyby się dziećmi. Przez moment ujrzał męzczyznę przy stole w tym domu i stwierdził, że ten męzczyzna podobny jest do niego. Dzieci, które biegały na bosaka wokół drewnianych ścian, miały rysy twarzy przypominające jego własne.

Obraz ten trwał ledwie przez moment, był bardziej ulotny aniżeli podmuch wiatru. Co za bzdury!

Roza była mężatką, a jedyne dziecko, jakie urodziła, on sam własnoręcznie pomógł jej pochować.

Nie było w tym ani trochę winy Wielkiego Samuela. Roza sama sobie tak pościeliła.

- Jestem brzemieniem dla własnej rodziny - ciągnął Samuel. - Wcześniej nigdy nikomu nie byłem ciężarem. Od-

szedłem z domu, gdy ujrzałem ten spłachetek ziemi, który miał przypaść mnie. Kiedy wyjechałem, reszcie pozostało do podziału odrobinę więcej. Nie aż tyle, by mogli udawać wielkich gospodarzy, lecz przynajmniej na granicy tego, żeby utrzymać z ziemi niedużą rodzinę. Wierzę, że moim braciom nie zabrakło rozumu, by na tym poprzestać. Na małych rodzinach. Jeśli szczęście odrobinę im dopisało, rodziły im się głównie córki. Córki to błogosławieństwo, Mattias. Nie muszą dostawać ziemi i mogą się tobą zająć, gdybyś nagle zrobił się zbyt nędzny i słaby, żeby samemu dawać sobie radę. Dobrze jest mieć piękne córki, które można wydać za mąż za kogoś lepszego, które wejdą w rodzinę posiadającą dużo ziemi. Twoje wnuki mogą wówczas nosić nazwiska godne wymawiania, i zdobyć pozycję w świecie. Ale jak masz tylko jedną córkę, to lepiej, żeby nie rzucała się w oczy...

Mattiasa przeszedł dreszcz chłodu, gdy usłyszał spokojny głos rozprawiający po ciemku. Czym innym było wiedzieć, co się wydarzyło wówczas, przed laty, kiedy Roza przestała być piękna, a czym innym w pełni zdać sobie sprawę, że kryło się za tym celowe działanie. Wyrażna myśl, którą wciąż można było ubrać w słowa.

- Mój ojciec nigdy nie przyłapał matki z żadnym innym - rozprawiał dalej Samuel, jak gdyby rozmawiał sam ze sobą. Dobrze wiedział, że pod sąsiednią ścianą leży Mattias, że nie mówi wcale do ciemności i pustki. Wydawało się, jakby i to było dla niego ważne, chociaż udawał, że mówi do siebie.

- Wcale nie dlatego, że nie próbował. Śledził ją, a ona o tym wiedziała. Niedobrze jest, kiedy piękne kobiety wychodzą za mąż za kogoś z własnej rodziny. Zdaje mi się, że byli też zbyt blisko spokrewnieni. Tak, ojciec

i matka to cioteczne rodzeństwo. On też był niczego sobie, wcale niebrzydki. Zbyt podobni na wierzchu, z nadto różnili się od siebie w środku. Ona miała w sobie dużo śmiechu, a on wielkie milczenie. - Samuel westchnął. - Są ludzie, którzy powiedzieliby, że jestem do niego podobny. Nie chciałem, żeby tak było. Bo ją kochałem bardziej. Któż nie kochałby takiej pogodnej i ślicznej matki? On laniem wbijał we mnie dobre wychowanie i porządne obyczaje. Czasami ją też próbował wychowywać, lecz to nigdy mu się nie udało. Nigdy nie stała się taka, jak on chciał. Wciąż się śmiała, wciąż śpiewała. Miała taki piękny głos. Róża z Takalankyla. I gdy tylko zniknęły siniaki, na powrót stawała się piękna. Tak było aż do czasu, gdy złamał jej szczękę. Od tamtej pory zaczęła niewyraźnie mówić. Szczęka zrosła się krzywo, chociaż próbowali ją nastawić. Chodziła z podwiązaną brodą jak trup, nawet jej śmiech brzmiał inaczej niż kiedyś. I uśmiechała się już nie tak samo...

Mattias nie chciał tego słuchać.

- Chciałem być taki sam jak ona - ciągnął starszy mężczyzna.

Głos drżał mu tak, jakby płakał. Mattias nie wsłuchiwał się, żeby się przekonać, czy tak jest naprawdę. Leżał nieruchomo na tyle, na ile mógł. Może ojciec Rozy zapomni, że ma do kogo mówić? Ciężko było znosić tę narzuconą bliskość, lecz poproszenie Samuela, aby umilkł, byłoby straszniejsze niż obraza. Czegoś podobnego Mattias nigdy nie byłby w stanie uczynić. Chociaż z czasem dowiedział się bardzo złych rzeczy o tym człowieku, nie nie mógł poradzić na to, że wciąż jeszcze żywił dla niego pewien szacunek.

- Widać nie było we mnie dość z niej - westchnął Sa-

muel. - Byłem bardziej podobny do niego. W niego się wdałem. Z każdym rokiem stawało się to coraz bardziej widoczne. Zrozumiałem to, gdy pasem wpajałem dobre wychowanie swoim własnym dzieciom. Rozpoznawałem jego twarz w swojej twarzy, ale moje dzieci wrodziły się w rodzinę Nanny. Jedynie Roza, o której wszyscy mówili, że taka jest podobna do Nanny, Lei i do tych kobiet, które żyły przed nimi, jedynie Roza była podobna do mojej matki. Ale o tym wiedziałem tylko ja. Roza przypominała Laurę z Takalankyla, która poślubiła ciotecznego brata, ponieważ w tamtych okolicach nie znalazła nikogo, kto by jej się bardziej spodobał. Może była tak młoda, że patrzyła jedynie na to, co na wierzchu? Co ja o tym wiem? Chyba wszyscy szukają czegoś z siebie w człowieku, z którym mają żyć. A oni na wierzchu byli do siebie bardzo podobni, ale w środku za mało. Mówiłem to już wcześniej?

- Tak - odparł Mattias, ponieważ go spytano. Ponieważ Samuel wiedział, że on tu jest, i wiedział, że mówi do niego, a nie do ścian, do ciemności czy do siebie samego.

- Może kiedyś opowiesz o tym Rozie - powiedział Samuel.

- Sam powinieneś jej opowiedzieć.

- Nie potrafię rozmawiać z kobietami - wykręcał się Samuel. - A jeszcze trudniej będzie rozmawiać z własnym dzieckiem. Z kobietą własnej krwi. A ona jest taka, jaka jest. Nigdy się z nią łatwo nie rozmawiało...

- Roza nie jest gorsza od innych.

- Ty patrzysz na nią inaczej - stwierdził Samuel. - Tobie rozmowa z ludźmi tak czy owak przychodzi łatwo, Mattias. To również swego rodzaju dar. A moją Rozę pokochałeś. Wtedy wszystko się odmienia. Ja

również rozmawiałem z Nanną. Dopóki było o czym rozmawiać. Ale za bardzo wrodziłem się w ojca, z czasem nie było na co trwonić słów. Za dobrze się poznaliśmy z Nanną. Na początku ofiarowaliśmy sobie wszystko, nic nie było obce temu drugiemu. Pewnie robiliśmy źle. Każdy powinien dbać o to, by zachować jakąś część siebie. Nie należy oddawać wszystkiego. Wydaje mi się, że człowiek kocha dalej tylko taką osobę, którą nie do końca rozumie. Jeśli oddasz wszystko, to nic ci nie zostanie...

Odetchnął drżąco.

- Nikogo bardziej nie kochałem niż Rozę. Była moim pierwszym dzieckiem, tym, któremu oddałem całe serce. Ona o tym nie wie, lecz jest właśnie tak. Nie mogę o tym mówić głośno, ale to wiem. A teraz ty również się o tym dowiedziałeś.

Mattias nie prosił o taką wiedzę. Ciężyła mu teraz jak obowiązek. Samuel zwracał się do niego tak, jak gdyby Roza miała się o wszystkim dowiedzieć. Nie prosił wcale Mattiasa, by przekazał jego słowa córce, lecz najzwyczajniej zakładał, że tak się stanie.

- Uważam, że sam powinieneś powiedzieć jej o tym, co ci leży na sercu, Samuelu. Ona nie jest aż tak zła, żeby cię nie wysłuchać. Jeśli nie zrobi tego z innego powodu, to przynajmniej z szacunku dla ciebie.

W ciemności pod drugą z krótszych ścian rozległ się śmiech. Potem dobiegł szelest, który oznajmił Mattiasowi, że Samuel zaciągnął swoją niebieską zasłonę.

- Ty jej zawsze bronisz - podśmiewał się Samuel. - Nawet wtedy, kiedy prawie odgryza ci to, co ci najmilsze, człowieku, i tak bierzesz ją w obronę! Mówisz jej jeszcze mniej niż ja, a ona i tak nie chce o tym słuchać,

dlatego nie wie, co czujesz. Ale ja nie mam nic innego do roboty, jak się wsłuchiwać, dlatego wszystko dobrze wiem. Będziecie mieć piękne dzieci.

- Sam diabeł tylko wie, czy w ogóle kiedykolwiek będę miał dzieci - jęknął Mattias. - Po tym, co zrobiła twoja córka! Czy to w twojej rodzinie ludzie mają takie mocne, diabelnie ostre zęby, Samuelu? Czy to też dziedzictwo z tej drugiej strony?

- Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to się brało od nich - zachichotał Samuel. - Niewiele masz teraz do powiedzenia, Mattiasie, bo moja córka już cię naznaczyła.

- Twoja córka prawie mnie wykastrowała!

- Jakieś resztki chyba ocalałeś? - odpowiedział ojciec Rozy, który sprawiał wrażenie bardziej ożywionego niż zazwyczaj.

Mattias nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Sam nie bardzo potrafił dostrzec zabawną stronę tego, co tak rozbawiło ojca Rozy. Być może jednak sytuacja spod przeciwległej ściany wydawała się inna. Chyba również w ciemności można różnie spoglądać na te same sprawy.

- Widać Rozie przyszedł do głowy zupełnie inny pomysł - stwierdził Mattias, krzywiąc się.

- Przekonasz się, że i ona myślała o pięknych dzieciach - drażnił się z nim Samuel.

Mattias zastanawiał się, jak często w Samuelsborg rozmawiali o pięknie. W tym domu więcej było ciszy i milczenia niż w innych domach, uznał Mattias. Musiał jednak przyznać, że gdy już zaczynali wypowiadać tu słowa, właśnie słowo „piękno” pojawiał się częściej niż inne...

- Roza ma męża - przypomniał Samuelowi. - Roza wciąż jest żoną Pedera Johansena. I dopóki nie zyska-

my pewności, że gdzieś tam jest jego grób, pozostanie żoną Pedera.

- To był błąd - stwierdził Samuel. - Niech mnie wszyscy diabli, że okazałem się tak słaby i zgodziłem się na to małżeństwo. Zawsze jednak pozostawałem ślepy na poczynania tej dziewczyny. Zawsze dostawała to, czego chciała, a tego mężczyzny chciała, pozwoliłem jej więc na ten ślub. Los pokarał nas za tę bezmyślność.

Przez chwilę milczał.

- Gdzie ty wtedy byłeś?

- Stałem z samego tyłu - odparł Mattias. - I przysięgałem sobie, że nigdy nie dotknę twojej córki. Nawet szczypcami.

- Widać nie tylko ja się pomyliłem - Samuel zaśmiał się pod nosem. - Wielu trosk i zmartwień byłoby mi oszczędzone, gdybym wiedział, że się z nią ożeniłeś, Mattiasie. Mam do ciebie zaufanie. Wprawdzie pozwalasz kobietom na różne przedziwne rzeczy, lecz ja i tak ci ufam. Mężczyzna może mieć taką czy inną wadę, byle nie z tych znaczących. Ty być może pozwalasz, żeby ten twój mały popychał cię do nierozumnego działania, lecz to można wybaczyć. Potrafisz myśleć jasno, kiedy trzeba. Jesteś takim mężczyzną, jakiego potrzeba Rozie. Ona nosi w sobie tyle różnego dziedzictwa, że chciałbym mieć pewność, że ktoś się nią zaopiekuje. Że ktoś zajmie się moją Rożą. Bo to ona była zawsze moim ukochanym dzieckiem.

- Roza sobie poradzi - oświadczył Mattias. Niewiele rzeczy był równie pewien jak tego. - A jak coś się jej nie ułoży, to zawsze może ciebie spytać o radę - dodał. - To jeszcze jedna rzecz, jaką ma w sobie twoja rodzina, Samuelu. Założę się, że jesteście twardzi i nieugięci jak stara końska skóra.

- Może i tak - przyznał Samuel cicho. - Ale ja już niedługo pożyję.

- Do diaska! - zawołał Mattias. - Uważam, że posuwasz się już w tych bredniach za daleko! I powiem ci jedno, żebyś wiedział: Nie mamy tu ochoty na żadne dodatkowe brudy, Samuelu. Nie zabawiaj się przypadkiem nożem. Przynajmniej tyle jesteś winien Rozie. Jeśli to zrobisz, obiecuję, że prędzej czy później cię znajdę, nawet na tamtym świecie, i ukarzę cię za to, co zrobiłeś. Nie zostawiaj Rozy samej!

- Nie użyję noża - wyjaśnił Wielki Samuel. - Nie potrzebuję go. A Roza nie zostanie sama. Słyszę, co mówisz, chłopcze. Słyszę wyraźnie, czym ona dla ciebie jest. Nie musisz mi tego tłumaczyć, bo ja i tak to wiem. Roza nie zostanie sama, dopóki będzie miała ciebie, Mattiasie. Jesteś wierniejszy niż jakikolwiek fiński pies, które oglądałem za moich czasów.

Mattias obyłby się bez tego porównania, lecz zawie-rało ono, zdaje się, sporo prawdy. Samuel wiedział o tym na tyle dobrze, że nie musiał tego więcej komentować.

- Nie czujesz się chyba chory? Chyba nie leżysz i nie słabujesz, nic nam o tym nie mówiąc? - spytał starszego człowieka zatroskany Mattias.

- Przez całe życie nie chorowałem nawet jeden dzień - odparł Samuel nie bez dumy. - Nie jestem chory, chłopcze. Ale postanowiłem umrzeć.

4

Mattias wyszedł z alkierza o własnych siłach. Sam dotarł do wygodki. Wiatr wpadał tu przez nieszczelne ściany i Mattias zmarzł, nim załatwił potrzebę, z którą przyszedł. Gdy już gotów był wracać, zrobiło mu się słabo i musiał przysiąść z głową zwieszoną między kolanami. Inaczej by zemdlał.

Nie podobało mu się, że popłynęła z niego krew. Bał się krwi wypływającej z wnętrza ciała. W uszach mu szumiało, a myśli krążące po głowie niczym wiatr wirujący nad powierzchnią morza zataczały kręgi wokół Rozy.

Wciąż był wczesny poranek. Roza poszła do obory. W izbie panowało przytulne ciepło, a podłoga niemal grzała pod stopami, gdy wychodził, co oznaczało, że Roza musiała nie spać już od pewnego czasu. Rozsuwane łóżko było złożone do pojedynczej szerokości. Roza nakryła je wełnianym kocem, zostawiła po sobie porządek.

Ale życie razem z nią było nieobliczalne. Niebezpieczne. Mattias nie myślał tu wyłącznie o bólu, o który przyprawiła jego najszlachetniejszą część ciała. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek mówił jej, że zawsze będzie z nią. W chwilach namiętności mówił jej tak wiele. Czasami powtarzał, że zostawił tyle powietrza pomiędzy nią a sobą, ile tylko możliwe. Innym razem, że Rozie potrzeba kogoś, kto by się nią zajął i że właśnie on jest odpowiednim człowiekiem. Chyba głównie to ów jasny

głos nakłaniał go do wszystkich tych decyzji, przy których tak się upierał, gdy już je podjął. Wydawały się wtedy takie ważne.

Ty będziesz siłą Rozy...

Za kogo one uważały Rożę? Mattias usiłował wyobrazić sobie, jacy byli ci ludzie, którzy istnieli przed nim. Przed Rożą. Zapewne myśleli inaczej, żyli w innych czasach. Być może co innego wówczas uznawano za dobre, a co innego za złe.

Kopalnia różniła się od otaczającego ją świata. Wszystkie zakłady, w których mieszkał, były takie jak ten. Stanowiły niewielkie odrębne miasteczka, nie przypominające niczego, co istniało poza nimi.

Głos, który przedzierał się poprzez jego myśli, należał do osoby żyjącej w innych czasach. Mógł mówić prawdę, jeśliby Mattias przyjął, że ten jasny głos to coś innego niż tylko jego własne myśli.

- Wy nic nie wiecie o Rozie! - rzucił w powietrze, sądząc, że tak naprawdę nikt go nie słyszy. Nie wiedział zresztą, czy chce, żeby ktoś słuchał go, gdy siedzi w wygódce. Istniały miejsca, w których człowiek powinien być sam, a to było właśnie jedno z nich. Zdziwiłby się, gdyby nagle usłyszał tutaj perlisty kobiecy śmiech.

Być może najwyższy czas zacząć myśleć rozsądnie. Myśleć głową, a nie tą częścią ciała, która, jak na razie, doprowadziła go do związku z Rożą.

Zniszczy samego siebie w tej próbie bycia siłą Rozy. Mattias obawiał się, że za bardzo się do tej roli przywiąże. W przypływie jasnowidzenia zrozumiał, że nie chce, by jego imię przez całe życie wymawiano jednym tchem z imieniem Rozy Samuelsdatter. Nie chciał prze-

żyć życia jako ktoś, kto jest tylko do niej dodatkiem. A tak właśnie się stało.

Zgodził się ogrzewać łóżko Rozie Samuelsdatter. Ludzie o tym gadali. To upokarzające. Nie tak to sobie wyobrażał. I fakt, że ją kochał, nie zmieniał ciężaru brzemienia, jakim się to kładło na jego grzbiecie. Człowiek musi w życiu wiele udźwignąć, lecz to wcale nie znaczy, że należy obciążać się bardziej niż to konieczne.

On mnie unika. Boję się tego, co zamyśla Mattias. Jakby coś we mnie szarpał. Nie chodzi tylko o to, co stało się wczoraj. To się dzieje już od dawna. Mattias dawno już się zmienił. Być może to moja wina.

- Powinnaś porozmawiać ze swoim ojcem - oświadczył Mattias krótko, próbując usiąść jak zwykle przy stole. Nie była to nadzwyczajna czynność, lecz w jego sytuacji nawet drobiazgi stały się trudne. Siedział teraz niemal w połowie na plecach, a w spodniach piekło go tak, jakby szarpało nim jednocześnie tysiąc diablików. Diablików, które zamiast paznokci miały szpony. Starzał się nie patrząc na Rozę

- On się nie odzywa - odparła Roza równie zwięźle, lecz ona przynajmniej wcale nie odwracała od Mattiasa wzroku. - Schował się za swoją zasłoną. Udaje, że śpi. Jak tylko otwieram drzwi, udaje, że zaczyna chrapać. Dobrze słyszę, że udaje.

Westchnęła i wykonała ręką przelotny gest, który chyba miał go uspokoić. Mattias dostrzegł na jej twarzy cień uśmiechu.

- To już nie pierwszy raz - powiedziała Roza lekko. - Zaciąga zasłonę i mówi mi, że nie ma po co żyć, że jest

krzyżem, który muszę dźwigać, i że powinnam nasłać na niego duchy i w ten sposób się go pozbyć.

Jeden kącik ust w uśmiechu podsunął się w górę na dostatecznie długo, by Mattias mógł to zobaczyć.

- Gdyby był w stanie chodzić, sam poszedłby na cmentarz i przyniósł cmentarnej ziemi, by za jej pomocą zaklęciami zwabić do siebie duchy.

Mattias pytająco uniósł brwi i zapomniał, że ma nie patrzeć jej w oczy. Zapomniał, że ma jej do siebie nie dopuszczać.

- Nie znasz tych spraw? - spytała Roza miękko, przyciskając ciało do krawędzi stołu, lecz do Mattiasa się nie zbliżała. - Wobec tego może nie ma nic dziwnego w tym, że twój pradziadek nie miał żadnych szans. Widać w twojej rodzinie jesteście wyjątkowo naiwni, Mattiasie. Są pewne rzeczy, o których człowiek powinien wiedzieć i których powinien się wystrzegać... - Zniżyła głos, oczy jej się zwęziły. - Cmentarna ziemia ze spirytusem, mój Mattiasie. Musisz uważać na to, co ci ktoś będzie proponował po ciemku. Nie ma pewniejszego sposobu na zesłanie na kogoś duchów. Oczywiście innym wyjściem jest zostawienie butelki alkoholu na cmentarzu na całą noc. Wszystkie nieczyste dusze zbiorą się wtedy w spirytusie i mogą nieźle się zabawiać z osobą, o którą ci chodzi...

Mattias słuchał, wzruszając ramionami. Wiedział, że Roza opowiada te historie wyłącznie po to, by go nastraszyć. Nie wierzyła w nie wcale mocniej niż on.

- Ale gdyby mógł chodzić, to nie musiałyby też snuć takich czarnych myśli za tą zasłoną - stwierdziła Roza, stawiając przed Mattiasem talerz z owsianką. - Jak będziesz jadł, to już niedługo staniesz na nogi. To nie wygląda dobrze...

- Ty wiesz o tym najlepiej - mruknął Mattias, dmuchając na kożuch, który utworzył się na powierzchni owsianki. - Dlaczego, u diabła, to zrobiłaś?

Roze w pamięci odżyły szeroko otwarte oczy Davida Warrena. Brązowoczarne, tajemnicze. Nieprzewidywalne. Zobaczyła go przy drzwiach w momencie, gdy tylko przekroczył próg. Przeszył ją dreszcz, jak gdyby ktoś wrzucił jej za kołnierz garść śniegu, który przesunął się po gołych plecach.

- Nie wiem - odparła, lecz nie była to prawda. Przecież wiedziała. - Obejrzę cię później - dodała niemal w roztargnieniu.

Mattias roześmiał się śmiechem, w którym nie było radości. Zaczynał rozumieć, dlaczego Samuel również uważał, że musi uciekać się do wielkich słów, aby do niej dotrzeć. I nawet wówczas Roza zdawała się patrzeć z wyższością, jak gdyby wiedziała lepiej. Przerazał fakt, że być może w istocie tak było. Trudno powiedzieć, czy wszystko istnieje w niej, czy potrafi przejrzeć na wskroś ich obronny mur tak, że nie potrafią ukryć przed nią jakiejś części swojego ja.

- To duża pociecha, że tu jesteś, Rozo - powiedział, skrobiąc łyżką po talerzu.

- Czy dlatego myślisz o tym, żeby znów wyjść przez te drzwi? - spytała nieoczekiwanie, kierując na niego niebieskie oczy. Jaśniały niczym dwie zapalone lampy. Bijące z nich światło trafiło go prosto w twarz i oślepiło. Znów zaniemówił.

- Myślisz o tym - rzekła łagodnie, na granicy przekonania. Jak gdyby to ona wpadła na taki pomysł i usiłowała go do tego nakłonić. - Byłbyś głupi, gdybyś temu zaprzeczył, Mattiasie. I czemu miałyby służyć to zaprze-

czanie? Na ogół byliśmy wobec siebie szczerzy, czy tym razem miałyby być inaczej? Nie masz już dłużej ochoty przechodzić przez te drzwi codziennie. Nie masz ochoty być przy mnie. Razem ze mną. To kajdany, prawda?

Mattias kiwnął głową. Trochę się wystraszył. Nie wspomniał o swych odczuciach ani słowem i był przekonany, że także zachowaniem nie dał nic po sobie poznać.

- Troszczę się o ciebie - powiedział. - To się nie zmieniło. Ani trochę się nie zmniejszyło. Kocham cię, Rozo...

- Ciii! - przerwała mu gwałtownym syknięciem. - Nie wygaduj głupstw! Nie chcę tego wysłuchiwać. Zresztą ty sam wolałbyś tego nie mówić. Dajmy więc temu spokój. Między nami takich słów nie potrzeba. Wiemy, czego powinniśmy się trzymać. Dobrze się znamy.

- Nie radzę sobie z przywiązaniem do drugiego człowieka - przyznał Mattias. - Nigdy nie byłem zbyt blisko związany z innymi ludźmi...

- Ja też...

Wydawało się, że ustalili to wspólnie. Mieli się rozstać jak przyjaciele.

- Chodzi nie tylko o to...

Mattias spuścił wzrok i rozłożył ręce, aż owsianka chlapnęła z łyżki. Roza wytarła stół, zanim zdążył o tym pomyśleć. Zrobiło mu się z tego powodu nieswojo, ale przełknął nieprzyjemne uczucie razem z następną łyżką.

Więcej o tym nie rozmawiali. Rozumieli jakby nawzajem swoje myśli. W każdym razie przynajmniej Roza rozumie moje, stwierdził Mattias, a wobec tego może poniekąd postąpię słusznie. Skoro zaś ona się ze mną zgadza, będzie to słuszne, nawet nie poniekąd.

Mimo takiego rozumowania niepokój wbił się w żołądek Mattiasa niczym haczyk.

Z Rozą coś było nie tak jak należy. Mogło się wydawać, że ona coś planuje. Zachowywała się, jak gdyby rozważała jakieś za i przeciw, i ciągle jeszcze nie zdecydowała się, co robić. Mattias nie przypominał sobie, kiedy ostatnio coś planowała, na ogół po prostu parła naprzód jak baran. Zmartwiła go ta jej nowa strona, to zastanowienie i namysł. A gdyby miał być ze sobą naprawdę szczerzy, to wręcz się przestraszył...

Kiedy już zjedli, Roza odsunęła stół na bok, odciągnęła go od Mattiasa tak, by nie mógł się już za nim skrywać. Podeszła i ukucnęła u jego stóp.

- Rozepnij spodnie! - nakazała.

Mattias się skrzywił, lecz wiedział, że jeśli nie posłucha, ona sama to zrobi, a tylko on miał świadomość, jak wielki sprawia to ból. Roza nie byłaby uważna. Chciała dobrze, lecz nie byłaby delikatna w taki sam sposób jak on.

Mattias rozpiął to, co trzeba było rozpiąć, i wysunął to, co należało wystawić. Prezentował sobą dość żałosny widok, lecz zaczynał się już do tego przyzwyczajając.

W prawym policzku Rozy drgnął mięsień i okazało się, że Mattias miał rację, jej palce okazały się niedostatecznie delikatne. Był zdania, że niepotrzebnie ma taką twardą rękę, ale zacisnął zęby i ani słowem się nie poskarżył.

- Mam tę maść, która pomogła Jensowi...

Poderwała się, nim Mattias zdążył zobaczyć wyraz jej twarzy, lecz i tak wiedział, czego się spodziewać. Wypowiedzenie imienia Jensa kosztowało ją ogromnie dużo. Popatrzył w dół i żałośnie westchnął. Domyślał się, że jeszcze przez długi czas będzie miał wiele tęsknot, których nie zaspokoi, a wszystko przez to, że, jak

twierdził Samuel, okazał się na tyle głupi, by ulec najbardziej wyuzdanym żądom.

Mattias zadał sobie w duchu pytanie, co Samuel powiedziałyby, gdyby wiedział, jakim innym tęsknotom zwykle ulegał, a w których zwykle towarzyszyła mu Roza. Doszedł do wniosku, że Samuel jest za stary, by zrozumieć ich oboje. Kiedy on, Mattias, sam się zestarzeje, młodzi na pewno będą robić takie rzeczy, które również jemu będzie trudno pojąć i zaakceptować. Taką już jest kolej życia.

Roza wróciła i uklękła przy nim. Troskliwie nasmarowała cuchnącą maścią wianuszek włosów. Normalnie jego duma i radość podniosłaby się pod dotykiem jej zręcznych palców, teraz jednak nawet nie drgnęła. I gdy Mattias to sobie uświadomił, ogarnęło go przygnębienie. Pomyślał, że mężczyzna może się przestraszyć z mniej istotnego powodu, i miał nadzieję, że to już najgorsze, co mogło kiedykolwiek spotkać tę część jego ciała.

- Tomas opowiadał, że kiedyś kastrowali byki reniferów zębami - powiedziała Roza akurat w chwili, gdy Mattias miał wrażenie, że diabliki jeszcze raz wbijają ostre szpony w jego obolałą skórę.

- Powinnaś kiedyś wybrać się do jego ludzi - wykrztusił z siebie Mattias. - Mogłabyś się tam przydać. To znaczy doprowadziłabyś tę sprawę do końca. Naprawdę niewiele trzeba, żebyś świetnie sobie z tym poradziła, moja kochana...

Roza nie odpowiedziała. Jej palce go nacierały, jak gdyby chciała od niego zupełnie czegoś innego, niż tylko tego, by wydobrzał. Myśli Mattiasa nie były ani trochę czyste i zacne, lecz chociaż krew szumiała mu w uszach i oblał się gorącem, a na czoło zaczął wystę-

pować mu pot, i chociaż myśli krążyły jedynie wokół przyjemności, która mogłaby się z tego zrodzić, nie był jednak w stanie nic zrobić.

Zrozumiał po chwili, że jego broń nie może ani przstraszyć, ani wprawić w uniesienie. Mattias poczuł, że przez pożądliwe myśli przebija się niepokój.

To mogło nadal trwać.

Tak mogło pozostać już do końca.

Pozbawiony oręża. Na zawsze.

Odniosł wrażenie, że na samą tę myśl, od której aż włos się jeżył na głowie, jego męskość jeszcze bardziej się skurczyła. Miał nadzieję, że Roza nie zauważyła jego strachu. Roza była kobietą, nie mogła zrozumieć, na ile ta sprawa jest poważna.

- Zagoi się - oświadczyła ze spokojem. - Pozostanie blizna, ale na pewno nie będzie w niczym przeszkadzała. Nic ci od tego nie będzie.

- Chyba musisz tak mówić - stwierdził krótko. - Nigdy przecież nie przyznałabyś się, żeś mnie okaleczyła i że przez to już nie będę mężczyzną. A może już jutro, jak się obudzę, to będę mówił cienkim głosem?

Roza podniosła głowę i popatrzyła na niego z błyskiem w oku, który można by wziąć za wyraz zadowolenia. Lecz Mattias nie wierzył, że Roza mogłaby być aż tak złośliwa, i czym prędzej odsunął tę myśl od siebie.

- Dziś rano trochę się o ciebie bałam - uśmiechnęła się Roza. - Ale teraz, kiedy słyszę, że masz głos tak samo gruby jak przedtem, to jestem pewna, że już ci się nie pogorszy. Będzie jeszcze z ciebie chłop, Mattias!

- Może nawet ojciec? - spytał.

- Sam się o tym prędko przekonasz.

Ale nie z nią, przebiegło przez głowę Mattiasowi.

Z takiego czy innego powodu miał pewność, że ona pomyślała o tym samym.

Ściana za jego plecami była chłodna. Twarda i nierówna. Mattias przymknął oczy i zapragnął, żeby to wszystko okazało się jedynie sennym koszmarem. Kiedy otworzy oczy, wszystko minie, nie będzie już okaleczony w ten najbardziej upokarzający sposób.

Trzeba jedynie, żeby te oczy otworzył.

Ale wszystko było tak jak przedtem. Może odrobinę gorzej. Maść Rozy piekła jak ogień, który trawi wrzosowiska, a jej palce nieustannie ją wcierały. Można było odnieść wrażenie, że Roza dokładnie wiedziała, w jaki sposób sprawić mu najgorszą udrękę, i jak gdyby rozkoszowała się tym, że to robi.

Nie zwiąże się z żadną kobietą już do końca życia...

Być może będzie do tego zmuszony...

- Jak się dalej będziesz tak wiercił, to pomyślę, że ci się to podoba! - syknęła Roza, a Mattias natychmiast znieruchomiał na swojej ławie pod ścianą. Za nic w świecie nie chciał dawać jej podstaw do takich przypuszczeń. Zacisnął zęby i cierpiał w milczeniu, starając się nawet nie mrugnąć.

Gdy otworzyły się wejściowe drzwi, jego spojrzenie natychmiast powędrowało w tamtą stronę. Jej wzrok również tam się skierował, a dłonie zaczęły żyć własnym życiem, ścisnęły. Mattias jęknął ze straszliwego bólu.

Zimny powiew, który wpadł do środka, schłodził policzki, ale Mattias i tak pragnął zapaść się pod ziemię. Zamknięcie oczu na nic się nie zdało, bo gdy na powrót je otworzył, inżynier Warren był równie rzeczywisty.

Roza schowała to, co trzymała w rękach, pod połamami koszuli Mattiasa i zapięła krzywo jego spodnie. Mat-

tias miał wrażenie, że zęby trzonowe zrosną mu się za chwilę, jeśli Roza natychmiast go nie puści. Zaciskał je tak mocno, że niemal stopiły się ze sobą, ale już nie jęczał, by drugi mężczyzna nie mógł go usłyszeć. Wystarczyło, że w ogóle był świadkiem takiej sceny.

A potem Mattias zobaczył twarz Rozy. Ujrzał wyraz jej oczu. Przez głowę przeleciało mu, że kiedyś go widział. Roza miała takie same oczy jak poprzedniego wieczoru.

Powiew wiatru...

Mattiasem wstrząsnął dreszcz, ale i tak nie spuszczał wzroku z Rozy. Bał się nawet mrugnąć z obawy, że ona powie albo zrobi coś, czego on nie zauważy.

Coś się tu działo.

Coś tutaj niepokoiło Rozę.

To nie może chodzić o tego Anglika...

Równie dobrze może chodzić właśnie o niego...

- Przeszkadzam - stwierdził David Warren sztywno, nie patrząc na Mattiasa. Również ten angielski inżynier przytrzymał Rozę wzrokiem. Nie ustąpił nawet na cal, co jeszcze bardziej umocniło Mattiasa w niejasnych podejrzeniach.

Coś się tu działo i nie było to nic dobrego. Mattias miał wrażenie, że czuje zapach jesieni i zgnilizny.

Roza wstała i otrzepała spódnice z drobinek kurzu, których tak naprawdę wcale na niej nie było. Jakby przypadkowo pogładziła się po biodrach, zapominając o tym, że wciera tłustą masę w czarną wełnę. Anglik przesunął wzrokiem za jej dłońmi, dokładnie tak, jak ona tego chciała. Mattias zorientował się, że inżynier ulega jej woli, i od tej świadomości zaschło mu w ustach.

Roza nie powinna się tak bawić. Mogła się przy tej

zabawie porządnie sparzyć, a na takie poparzenie nie pomoże żadna maść.

- Ona się o ciebie dopytuje - powiedział David Warren, z trudem chwytając oddech, jakby zdyszany.

Mattiasa nie zdziwiłoby ani trochę, gdyby dowiedział się, że ten człowiek całą drogę do Krety przebył biegiem. Zapewne w każdym oknie po drodze siedziały baby, które trochę wiedziały i dużo myślały, wkrótce się spotkają i aż je szczęki zabolą, gdy będą gadać o tym wszystkim, a zwłaszcza o rzeczach, które nie zdarzyły się naprawdę.

Zresztą to, co rzeczywiście się wydarzyło, i tak było dostatecznie poważne. Mattias mówił Rozie, że nie powinna mieszać się w sprawy ludzi, którzy stoją od niej o wiele wyżej. Mówił jej to wcale nie dlatego, by uważał, że ci, którzy pracują w biurze, są ludźmi lepszymi od innych, lecz dlatego, iż wiedział, że są oni w mocy zranić Rozę.

A teraz ten inżynierek w białym kołnierzyku przyszedł tu, na Samuelsborg, i pod pretekstem swojej ciężarnej żony chciał zwabić Rozę do siebie.

- Obiecywałaś, że przyjdiesz do niej, gdy o to poprosi. A teraz tak właśnie jest.

Roza rozwiązała tasiemki fartucha, czuła, że palce ma sztywne. Nie z zimna, lecz dlatego, że on budził w niej niepokój. Była zdenerwowana. Inżynier Warren nie spuszczał z niej błyszczących ciemnych oczu, było to cudowne i zarazem przerażające. Patrzył na nią, jak gdyby coś o niej wiedział, coś, o czym Roza sama nie miała pojęcia.

Niepokojące...

- Czy ona źle się czuje?

- W nocy spała - odparł, nie wspominając choćby półsłówkiem o tym, co przed chwilą zobaczył.

Tak samo jak nie wspomniał o tym, co ujrzał poprzedniego wieczoru. W myślach jednak zadawał sobie pytanie, jakie uczucie wywołuje dotyk jej palców.

- To twoja zasługa, Rozo - dodał, a jej znów przebiegł gorący dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Robiła się obca, gdy on wymawiał jej imię. Inżynier Warren miał moc zmieniania jej w osobę, której nie znała.

David Warren robił z niej osobę o imieniu *Reuz-a*. Roza zdecydowała, że to elf. Malusieńkie stworzenie, które będzie mogła nosić w sercu, a które zatroszczy się o to, by nigdy nie czuła się samotna.

Reuz-a.

Ona na pewno nie jest z tego świata...

- Nie mogę u was zostać...

- Wystarczy, że przyjdiesz choćby na chwilę. Że porozmawiasz z nią, posiedzisz przy niej i uspokoisz tak jak wczoraj. Jak przyjaciółka...

Roza chwyciła przynętę. Słowo „przyjaciółka” brzmiało naprawdę przyjemnie. Będzie siedzieć na brzegu łóżka Margaret, którą nazywano Daisy, i będzie przyjaciółką. Nie służącą i nie czarownicą, lecz przyjaciółką.

- Pozwól mi się ubrać - powiedziała bez tchu.

- Nie zapominaj, gdzie twoje miejsce! - rzucił za nią gorzko Mattias.

Ale Roza go nie słyszała.

5

- Wpadła w histerię - opowiadał David Warren w drodze do domu.

Od Rozy Samuelsdatter dzielił go dystans, który rzucał się w oczy. Część tego dystansu tworzył on sam, za resztę winę ponosiła ona. Szła tuż przy samym skraju odśnieżonej drogi. To, co wibrowało między nimi, potrzebowało powietrza, przestrzeni.

- Przyszła jedna z jej przyjaciółek. Lecz ona i tak by się nie uspokoiła, gdybyśmy jej nie obiecali, że cię sprowadzę. Caroline zaofiarowała się, że po ciebie pójdzie, lecz ja uznałem, że to ja powinienem prosić...

Roza odczuła coś na kształt wdzięczności, że tak się to ułożyło. Głównie ze względu na Mattiasa. Znalazłby się w bardzo kłopotliwym położeniu, gdyby to któraś z eleganckich pań nakryła ich tak, jak to zrobił David.

David...

Nie wiem kiedy zaczęłam nazywać go w myślach tym imieniem. To silne imię. Podoba mi się takie, jak my je wymawiamy, a nie takie, jak wypowiada ona, Margaret. *Dejvidd*. Tak nie jest ładnie. Ale kiedy brzmi tak, jak zawsze je odczytywałam z Biblii, z opowieści o Dawidzie i Goliacie, o ubogim chłopcu i olbrzymie, o ubogim chłopcu, który został królem, wtedy jest ładne.

Tak właśnie go nazywam, ale nigdy, przenigdy nie

poznamy się na tyle, aby on usłyszał, jak je wymawiam. Sądzę, że on również tego nie chce. Idąc, trzyma się ode mnie z dala, śmiertelnie się boi mnie dotknąć i tak samo obawia się, że ludzie mogą zacząć gadać. Dla takich jak on ważne jest, aby pozostać czystym. Za skórki gronostajów też dostaje się gorszą cenę, jeśli są poplamione. W dalekim świecie peleryny obramowane futrem gronostaja noszą królowie. Nie uwierzyłam, gdy powiedziano mi o tym po raz pierwszy. Tyle jest niewiarogodnych rzeczy na świecie.

Na przykład to, że ten uczony Anglik idzie teraz obok mnie i się mnie boi. Zerka na mnie, a jego oczy palą jak ogień, któremu daleko do łagodności. Gdy dotknie mnie wzrokiem, wtedy piecze. Lubię, kiedy tak piecze.

- Powinieneś coś zjeść - stwierdził Mattias, stając na środku alkierza.

Miał ochotę otworzyć okno i wpuścić do dusznego pokoju trochę świeżego powietrza. Czuć było, że upłynęła blisko doba, odkąd ostatnio tu wietrzono. Powietrze było gęste jak zastygły dziegieć.

- Nie jestem głodny - padła w końcu odpowiedź zza wyblakłej jak paździenik zasłony, która kiedyś niebieszczyła się jak czerwcowe niebo i dojrzałe jagody.

Mattias dziwnym krokiem na pałakowato wygiętych nogach przeszedł po podłodze z desek i odsunął na bok zasłonę, za którą chował się Samuel. Ojciec Rozy leżał pod kołdrą naciągniętą do połowy piersi i wyraźnie nie podobało mu się, że mu się przeszkadza.

- Czy staremu człowiekowi nie wolno nawet umrzeć w spokoju? - burknął, chwytając wielką dłońią za niebieskie płótno tuż poniżej dłoni Mattiasa.

- Stary człowiek powinien raczej zjadać to, co mu się podaje!

- Nie chcę owsianki!

- Masz ochotę na coś innego? - spytał Mattias.

Był gotów ulec zachciankom ojca Rozy, bo liczył, że może od tego myśli starego pojaśnieją nieco.

- Do tego stopnia zrobiła z ciebie babę, że teraz to ty w tym domu gotujesz? - spytał ze złością stary. - Pilnuj się, żebyś nie skończył jako niewolnik kobiet, Mattias! Jesteś z natury naiwny, zwłaszcza gdy chodzi o kobiety. A pamiętaj, że one są przebiegłe jak koty. Nawet moja córka.

Poprzedniego wieczoru Samuel był wręcz dumny ze swojej córki, która tak świetnie potrafi sobie radzić, a poza tym naznaczyć mężczyznę w tak ostateczny sposób, w dodatku tam, gdzie się to najbardziej liczy i gdzie przynajmniej mężczyznę piecze najmocniej.

- Dokąd ona pobiegła? Kto tu przyszedł?

Chociaż podobno Samuel postanowił umrzeć, to uszy wciąż miał na właściwym miejscu. Mało co mogło mu umknąć z tego, co rozgrywało się za ścianą.

Mattias wyjaśnił, lecz bez przyprowadzania odpowiedzi goryczą, która wciąż rosła i rosła w jego sercu. Według jego słów Roza wydawała się niezwykle szlachetna, skoro zgodziła się towarzyszyć Anglikowi.

- A więc jej sława zawędrowała aż do nich? Czy oni mają dla niej szacunek, czy raczej uważają ją za ostatnią deskę ratunku?

Mattias na to nie odpowiedział. Nie potrafił wytłumaczyć Samuelowi, czym Roza może być dla tego Anglika. Lecz Samuel tak czy owak najwyraźniej wywęszył, że Mattias coś przemilczał.

- O co chodzi? - zagrzmiął donośnym głosem. - Dlaczego stoisz i nic nie mówisz, chłopcze? Czy ty zresztą w ogóle powinienes stać? Masz dostatecznie luźne spodnie? Czemu tak mocno zaciskasz usta?

Mattias oparł się o ścianę w nogach łóżka Samuela. Ciepło z kuchni sączyło się powoli szparami pomiędzy drewnianymi balami, przynosząc ze sobą przytulność. Mattiasowi wygodniej było stać, niż siedzieć, a spodnie miał dostatecznie szerokie. Powiedział o tym Samuelowi.

- W dodatku ta jej maść, zdaje się, działa - dodał.

Oczy człowieka, który poprzysiągł sobie umrzeć w bliskim czasie, błysnęły niebiesko, a Mattias uznał, że ten błysk ma w sobie wielką moc życia, a zarazem coś diabelskiego.

- Aha, a więc ona nasmarowała cię tą swoją maścią. I nic się nie ożywiło?

Mattias odpowiedział mu jedynie spojrzeniem.

- Bo gdyby się ożywiło - ciągnął Samuel - to coś pewnie wtedy byś dostał, a ja bym to usłyszał. Nie mam nóg, ale słuchu nie straciłem. Kojarzyć też jeszcze potrafię. Słyszałem tylko gadanie.

Samuel zachichotał zadowolony, że udało mu się spieszyć Mattiasa.

- Nie chodzisz też do roboty w kopalni - dodał. - Wyrzucą cię, jak tak dalej będzie.

- Nie piję - odparł Mattias. - Nie stwarzam zagrożenia dla innych ani wtedy, kiedy jestem w pracy, ani później. Nie wyrzucą mnie.

- Roza odbiera ci rozum tak samo jak wódka.

- Tak dłużej już nie będzie.

Stary wychycił to, co nie zostało wypowiedziane na głos.

- Znów się wyprowadzasz?

- Chyba tak.

- Mógłbyś zostać i zająć się uprawą tego kawałka ziemi. Rzucić kopalnię. Włożyć trochę pieniędzy w ziemię. W pobliżu Alta też jest dobra ziemia. Można by kupić kawałek. Ucieszyliby się, gdyby wśród cudzoziemców pojawił się jakiś Norweg.

Mattias nie śmiał się z Samuela. Nie śmiał się z Samuela Fina, który mówił po norwesku tylko tak, jak mówią Finowie, lecz z wyraźną pogardą wyrażał się o fińskich imigrantach osiadłych w Alta, nazywając ich cudzoziemcami.

- Mógłbym dołożyć trochę grosza - zaofiarował się Samuel. - Gdybyś zabrał Rozę ze sobą i zrobił z niej gospodynię. Przecież prędzej czy później trzeba będzie uznać Pedera za zmarłego. A lepszego męża niż ty Roza nigdy nie dostanie.

Mattias pokręcił głową, śmiejąc się pod nosem.

- Sądziłem, że do niedzieli zamierzasz się wynieść na tamten świat - przypomniał.

- Gdybym miał jakiś dobry powód, żeby żyć, mógłbym to trochę przeciągnąć - stwierdził Samuel, nawet nie smakując żartu. - Jest tak, że po mojej śmierci ta zagroda przypadnie Olemu, więc jeśli ty byś chciał zostać tutaj, będę musiał jeszcze przez jakiś czas utrzymać się przy życiu. Zima to zła pora na pochówek. Ale pomyślałem, że pokażę, że i ja umiem trochę czarować. Dobrze by im było, jakbym umarł teraz, kiedy ziemia jest zmarznięta na wysokość człowieka. Niezłe by się komuś porobiły pęcherze na rękach!

Wyglądało to tak, jakby ojciec Rozy miał nagle po co żyć. Mattiasowi przykro było, że tak od razu pozbawi go tego powodu.

- Roza i ja nie możemy żyć razem - oświadczył cierpko.

- Czy przy następnej okazji ty nie mógłbyś mocniej jej przycisnąć, chłopcze? - podsunął Samuel. - To oczywiste, że teraz jesteś obolały... - zaśmiał się z własnego dowcipu, a Mattias śmiał się razem z nim. - Ale jesteś mężczyzną, do diabła! Możesz nią trochę potrząsnąć i z czasem będziecie kwita. Możesz jej raz dołożyć, ale pamiętaj, żeby na dłuższą metę dobrze ją traktować. Podnoszenie na nią ręki nie może wejść ci w zwyczaj, ale kobietę trzeba od czasu do czasu przywołać do porządku. Nie jestem do tego stopnia szalonym ojcem, żebym tego nie widział. Roza jest żrenicą mego oka, lecz nie jestem ślepy na jej wady. Nie jestem ślepy i widzę, że większość cech odziedziczyła po mnie i po mojej rodzinie. Zapamiętaj sobie moje słowa, kobietę czasami trzeba przywołać do porządku, Mattias... Jakaś niewielka zagroda w dolinie Alta, czy to nie brzmi dobrze? To chyba niemożliwe, żebyś lubił wałęsać się tak rok po roku, nie mając nic, co by należało do ciebie.

- Takie życie wybrałem - odparł Mattias. - Nie chcę niczego posiadać. Dotyczy to również kobiety. Nie chcę mieć nawet Rozy.

- A o czym to nie chcesz mówić?

Mattias miał nadzieję, że Samuel już zapomniał, lecz najwyraźniej się omylił.

- Dziewczyna wodzi oczami za którymś z Anglików! - orzekł Samuel z niezachwianą pewnością.

To był jego lęk. Lęk ojca, wielki lęk, który wyrósł pod niebo, zmieszał się z wiatrem i powietrzem wśród brzoź nad Kafjorden, kiedy Roza stała się gwałtownie dojrzałą dziewczynką, piękniejszą niż księżniczka z baśni.

- Ta przeklęta dziewczyna wodzi oczami za którymś z tych urzędniczych szczurów!

Samuel na rękach dźwignął się w łóżku do pozycji siedzącej. Na twarzy malowała mu się straszliwa złość, głos zniekształcony od gniewu brzmiał ochryple.

- Nic nie wiem o Rozie - powiedział Mattias, próbując uspokoić starego, choć przecież doskonale wiedział, jak się sprawy mają. - Ale ten inżynierek ogląda się za nią i czerwieni się, gdy tylko Roza znajdzie się w pobliżu...

- Który to?

Mattias podał mu nazwisko Anglika.

- Czy on nie jest żonaty?

- Żona spodziewa się dziecka i nie wstaje z łóżka - odparł Mattias, posypując rany całą solą, jaką tylko miał w zanadrzu. - Ten inżynier wykorzystuje ją jako powód sprowadzenia Rozy. Przychodzi w jej imieniu. Tak jakby.

Mattias zdawał sobie sprawę, że podejrzliwość wprost z niego bije. Czuł, jak dłonie, które trzymał pod pachami, zaciskają się w pięści. Złożył ręce na piersi, próbując udawać obojętność.

- Nie sądziłem, że masz w sobie taką skłonność do zazdrości, chłopcze - stwierdził po namyśle Samuel.

Starszy mężczyzna wpatrywał się w Mattiasa, mrużąc oczy. Ręce złożone jak do modlitwy opuścił na kolana, niedaleko miejsca, w którym koc gwałtownym uskokiem opadał do materaca.

- A więc i jej on się podoba?

- Niewiele da się przed tobą ukryć...

Samuel przyciągnął bliżej stojący na stoliku talerz z owsianką, a drugą ręką sięgnął po łyżkę. Wpychał

w siebie łyżkę za łyżką niemal zimnej zszarzałej owsianki. Wyglądało na to, że gwałtownie wrócił mu apetyt.

- On jest z dobrego rodu - pocieszył się Samuel, opróżniwszy miskę i wyskrobawszy do czysta jej dno.

- To długo nie potrwa.

Ojciec Rozy pokręcił głową.

- Wszyscy oni coś w niej widzą. Czego trzeba, żeby zostawili ją w spokoju? Przecież ona nie może wejść do ich świata. Czy to ich nie obchodzi?

- Nie - odparł Mattias krótko.

- Czego od niej chcą?

Mattias zachichotał ironicznie.

- Jeśli sam nie potrafisz znaleźć odpowiedzi na to pytanie, to chyba rzeczywiście zacznę wierzyć, że się za bardzo zestarzałeś, Samuelu. I powiem ci, że jeśli tak jest, to chyba rzeczywiście możesz ułożyć się na plecach i od razu złożyć dłonie.

- Aż tyle można od niej dostać?

- Tak - odpowiedział Mattias.

- Odchodzisz stąd z powodu tego człowieka? Z powodu tego Anglika? - dopytywał się Samuel lekko drżącym głosem.

- Odchodzę z naszego powodu. - W głosie Mattiasa dała się słyszeć twardość. - Z powodu Rozy i mnie samego. Bardziej siebie nawzajem niszczymy niż dajemy sobie dobro. I być może Peder wróci. Wtedy na pewno nie miałbym już tu czego szukać.

- Znałem Nannę, kiedy ją spotkałem - oznajmił nieoczekiwanie Samuel.

Mattias podniósł głowę. Wcześniej pilnie przyglądał się swoim skarpetkom. Cerowania Rozy trudno się było dopatrzeć. Wyczuć się go nie dało. Mattias też umiał

cerować. Skarpety nie były równie piękne jak wówczas, gdy naprawiła je Roza, ale przynajmniej chłód nie przenikał przez dziury. Poczul teraz, że włoski na karku mu się podnoszą. Na rękach również, lecz zachowywał się tak samo obojętnie.

- Zobaczyłem Nannę i wiedziałem, że spotkałem ją już wcześniej - ciągnął Samuel.

- A tak było?

- Nie teraz - odparł Samuel. - Nie w tym życiu. Ale ją znałem. Czasami śni mi się, że z nią rozmawiam - a ona wygląda niemal identycznie jak Nanna - i patrzę po sobie, ale nie jestem sobą. Jestem starszy. Jestem o wiele starszy, niż byłem wówczas, gdy ją poznałem. Tymczasem ona wciąż jest piękną młodą dziewczyną. Mówię po fińsku, a ona rozumie każde słowo, które wypowiadam. To bardzo dziwne, bo Nanna nie rozumiała nigdy po fińsku ani słowa. I mówię w tym języku, nie czując przy tym ściskania w piersi. Mam włosy i brodę podobne do moich własnych, lecz gdy widzę swoje odbicie w wodzie, którą piję - wydaje mi się, że to płycizna rzeki - to wtedy widzę, że oczy mam zielone, prawie tak zielone jak woda. Być może po prostu widzę wodę. A kiedy patrzę na Nannę, to widzę, że jej włosy zmieniły kolor na czarne i jej oczy też są prawie czarne. Ona mnie lubi, ale mnie nie kocha. I mam wówczas świadomość, że ona to jeszcze dziecko, a ja jestem dla niej za stary. Jestem dla niej jak ojciec i ona kocha mnie tak, jak kochałaby ojca. Wiem, że go nie ma. I myślę o tym, że chciałbym przeżyć z nią całe życie. Myślę o tym, że chciałbym odciąć to, co nas dzieli. Nauczyłbym ją wtedy kochać mnie i niczego więcej bym nie pragnął...

Mattias poczuł chłód, kiedy Samuel umilkł.

- To dopiero sen! - powiedział wreszcie.

- Mnie się wydaje, że to wcale nie jest sen - stwierdził Samuel. Sprawiał wrażenie, jak gdyby oddawał się czemuś, co od dawna starał się utrzymać na dystans. - Wydaje mi się, że to wspomnienie, mój chłopcze.

- A mnie się zdaje, że snucie historii jest popularne również w twojej rodzinie - odparł Mattias ze śmiechem.

Ale tej rozmowy nie dawało się obrócić w śmiech. Żaden śmiech nie zdołałby zamienić opowieści Samuela w żart.

- W tym wspomnieniu noszę imię Antti - podjął Samuel. - Jestem Finem, lecz krajobraz, w którym żyję, przypomina ten. Widzę strome góry i brzozowy las. Widzę rzekę, w której skaczą łososie, a na języku mam smak małych dorszy. Opieram się o wysmołowaną ścianę, a pod sobą widzę opadający w dół cypel. Widzę fiord i łąd naprzeciwko. Widzę góry, które wznoszą się do nieba i od czasu do czasu pozwalają objąć się chmurą. Słyszę krzyk mew i widzę ją, tę dziewczynkę, jak biegnie po zielonej łące. Jest bosa, a włosy powiewają jej na wietrze, bo bardzo niechętnie je spleta. Śmiech tej dziewczynki dźwięczy, odbijając się od skał, a moje serce jest pełne jej.

Samuel umilkł i oparł głowę o ścianę. Wyglądało na to, że ciężko mu mówić.

- Ona biegnie do mojego syna. To on porywa ją w objęcia i obraca ją w ramionach. Są niemal równo-
latkami i śmieją się tak, że aż niebo unosi się wyżej, a mnie we włosach pojawiają się pasma śniegu. Śnieg nakrapia mi brodę. Mój syn też ją kocha, jest młody i piękny, taki jak ja chciałbym być, lecz ja nie mogę żyć poprzez niego. On jest tylko swój własny, tak samo jak

i ona. Tacy są młodzi i tacy piękni. Widzę po nich, że należą do siebie nawzajem. Ona wciąż się z nim droczy, a on za mocno ją kocha, lecz mimo to wiem, że muszą być razem. Jestem zazdrosny o rodzzonego syna i wstydzę się tego, lecz nie potrafię tego odmienić... Serce mam pełne jej, składam ręce, ściskając je na fajce, i modłę się o to, by dane mi było życie, w którym ona będzie mnie kochać...

Milczał przez długą chwilę.

- Rozpoznałem Nannę, kiedy ją spotkałem - powiedział cicho z uporem. - W ciągu tych łat, przez które z nią żyłem, śniło mi się to życie, kiedy mogłem kochać ją tylko ukradkiem i z daleka. Kiedy źle bym postąpił, kochając ciałem i duszą. Ona była jeszcze dzieckiem...

Mattias przvmknął oczy i wyobraził sobie przebłycki tych snów. Ujrzał dziecko na ukwieconej łące, dziewczynkę, która podała mu kwiatek, i pomyślał o kwiatku w Biblii, o tym kwiatku, który w rzeczywistości muskał koniuszkami palców.

- Nic z tego nie jest ci obce, prawda? - spytał Samuel, wbijając ostry wzrok w przyjaciela i kochanka córki. - Ty się ze mnie nie śmiejesz, Mattias. Nie budzi twojego politowania stary człowiek, przykuty do łóżka, zmyślający bajki o tej, którą za bardzo kochał...

- Nie.

- Wydaje mi się, że poznajesz moją historię.

Niewygodnie było stać. Mattiasa rozbolewały łydki. Przeciął więc alkierz i położył się do łóżka, należącego niegdyś do Olego. Nie mogło się ono urodą równać z tym łóżkiem, które zrobił Peder dla siebie i swojej przyszłej żony, ale sypiało w nim po kolei wiele dzieci Samuela i Nanny.

- Nawet gdyby tak było - stwierdził - to i tak nic to nie znaczy. To my mamy te sny, Samuelu. Rozę one nie obchodzą. Chce przed nimi uciec. Ona pragnie się uwolnić od wszystkiego i żyć swoim własnym życiem. Chce ulecieć, uciec, zniknąć przed nimi. Nie pragnie żadnych darów. Nie pragnie żadnych upiorów z przeszłości...

- A więc to tym jesteś - burknął Samuel, lecz wciąż był zainteresowany rozmową. - Jesteś upiorem z przeszłości. Co złego zrobiłeś, skoro sprowadzili cię z powrotem?

Mattias przymknął oczy. Ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Chorował, leżał w zamroczeniu i miał zapalenie w ranie powstałej od ukąszenia przez Rozę. To się nie działo naprawdę. Samuel był ponury i milczący jak zwykle, wypowiadał ledwie urywki słów. Trudno to nazwać nawet snem.

Kiedy znów otworzył oczy, wszystko było na swoim miejscu. Żółknące ściany z bali i wąski pokój. Zasłona Samuela z niebieskiego materiału. Nocny stolik i pusty talerz po owsiance. Drzwi do izby i dom, pusty dlatego, że Roza poszła za tym przeklętym rozmazonym inżynierem, który ma wytworne maniery, sztywne białe kołnierzyki i twarz o ostrych rysach.

- To nieprawda - zapewnił Mattias, chowając twarz za ramieniem. Serce mało nie wyskoczyło mu z piersi. Nie wiedział, że i inni przeżywają rzeczy podobne do tych, które on musiał znosić. Wydawało mu się, że jest jedyny.

... on i Roza...

- Ha! - wykrzyknął Samuel, wydmuchując powietrze. - Co złego zrobiłeś? Która z nich istniała w twoim życiu?

Mattias walczył ze sobą. Nie chciał ulegać temu szaleństwu. Wystarczyło, że on i Roza je dzielili. Nie chciał, by to się rozprzestrzeniło. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że to jednak jest swego rodzaju rzeczywistość. Już sam taki sposób myślenia jest chory. Musi stąd odejść jak najprędzej. Oni wszyscy są niespełna rozumem, nie tylko Roza z tym swoim gadaniem o dziwnych prababkach. W jej rodzinie były nie tylko te kobiety. Było coś więcej niż ów jasny głos z jego snów, ten, który rozlegał się w jego głowie również na jawie. Było coś więcej niż te fantazje, które stawały się niemal rzeczywistością i które straszyły go do szaleństwa. Był nie tylko on. Nie tylko Roza. Samuel siedział tu i w pełni dowiódł, że również z męskimi członkami rodziny Rozy nie wszystko jest do końca jak należy.

- Natalia - rozległ się głos, który Mattias dopiero później rozpoznał jako swój własny. - Natalia - powtórzył jak we śnie. Zakochany, zatracony, zaklęty. - To Natalia z ognistoczerwonymi rudymi włosami, radosnym śmiechem i oczyma błyszczącymi na tle płonącego od zorzy polarnej nieba. Natalia, która kochała i nienawidziła z jednakową siłą. Byłem jedynym, którego kochała i nienawidziła równie mocno. Zostałem ojcem jej dziecka, ale ją odepchnąłem, bo nie byłem w stanie żyć razem z nią. Ona wyprawiała straszne rzeczy, niczego się nie wstydziła. Gotowa była na wszystko, byle tylko dostać to, czego chciała...

Samuel jedynie westchnął. Zabrzmiało to jak wyraz ulgi.

- Niczego nie unikała, a ja być może ją kochałem, lecz nie dość. Pamiętam, kochałem również inne. Może nie w taki sam sposób, lecz to i tak wystarczyło, by ją odrzucić.

- Ich nie wolno odrzucać bezkarnie - rzekł Samuel z uśmiechem. Nieoczekiwanie mówili tym samym językiem.

- Nie mogłem żyć z Natalią - oświadczył Mattias, a kiedy zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, zaraz się poprawił. - On nie mógł z nią żyć i jej kochać, a ja nie mogę żyć z Rozą. To zupełnie inna historia. To nie to samo. Tamto drugie to szaleństwo. Chyba diabeł jedynie wie, o co w tym wszystkim chodzi.

- Chyba rzeczywiście diabeł wie - zgodził się z nim Samuel. - Znów ją odrzucasz? Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

Mattias słuchał z zamkniętymi powiekami. Ciemność w nim samym była uwolnieniem. Pamiętał tamto dziecko. Wciąż mu się śniło. Wciąż słyszał jasny głos tej dziewczynki i wciąż stawała mu przed oczyma. Wiedział, w jaki sposób biegała. Znał jej śmiech i miękkość dotyku drobnej rączki. Kwiatek, który mu podarowała, ciągle spoczywał między cienkimi kartami Biblii...

- Kocham ją - powiedział Mattias, unikając jakichkolwiek imion. - Kocham ją, lecz nie potrafię żyć razem z nią..

6

Tomas w ciemności zgrzytał zębami. Augustowi i Rosjaninowi Wani to nie wystarczyło. W sztolni było ciasno i wilgotno. Tomas pół siedział, pół leżał, wtulony plecami w skałę. Iwan przejął kierowanie brygadą, ponieważ Mattias się nie pojawił. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy, a z każdą jego nieobecnością niezadowolenie w brygadzie narastało.

- Ta przeklęta baba wysysa z niego życie! - burzył się Iwan, zwany Wanią przez przyjaciół, a więc przez większość ludzi z Kopalni. Twarz miał brudną od pyłu i wilgoci.

- Może to co innego - stwierdził Tomas, w duchu mówiąc sobie, że z całą pewnością tak nie jest. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nieobecność Mattiasa wiązała się z Rożą. Zawsze było coś z Rożą.

- Dostyc już mam krycia go! - oświadczył niezadowolony August.

- Mattias kryje innych, gdy zajdzie taka potrzeba. - Tomas wiedział, że musi go teraz bronić. Reszta brygady była przeciwko Mattiasowi, koledzy za bardzo się rozżalili.

- Będziesz musiał, do cholery, z nim pogadać! - stwierdził Wania, którego wypowiedziom rzadko nie towarzyszyło przekleństwo. - Inni mają baby, a nikomu to nie szkodzi. Niech on też, do diabła, wreszcie

wydorośleje! Albo niech ją trzyma w ryzach, albo niech się jej pozbędzie. Albo niech znajdzie sobie inną brygadę, w której nikogo nie będzie to obchodzić!

Tomas poczuł ucisk w skroniach. Rozpoznał to cienkie dzwonięcie w uszach. Ostrzegało, że diabeł o imieniu lęk już niedługo rzuci mu się do gardła. Tomas starał się oddychać spokojnie. Powinien się cieszyć, że umie przewidzieć te ataki, dzięki temu potrafił niemal odpędzić je od siebie, nie doprowadzały go już do szaleństwa. Był w stanie nad nimi zapanować. Na ogół.

Nie zdzierał już palców do krwi, drapiąc nimi o skalną ścianę. Nie zanosił się już aż do ochrypnięcia krzykiem, od którego w ustach miał smak krwi. Nie walił na osłep rękami dookoła i nie tracił poczucia czasu i miejsca, zapominając, kim jest.

Czuł teraz panikę niczym wyraźną piosenkę w głowie, jak dzwon przemawiający do niego cienkim głosem. W takich chwilach mógł myśleć jedynie o sobie, o tym, by przeżyć, by przetrwać następne chwile, a potem znów te następne i kolejne, aż do momentu, gdy lęk zniknie, równie nieobliczalny jak ręka tyrana, która nieoczekiwanie potrafi puścić zdobycz, lub też do chwili, gdy będzie mógł wyjść na zewnątrz, gdzie powietrze jest przejrzyste, a niebo wysokie nad głową, chociaż i tutaj szczyty starały się jak mogły, by do niego dosięgnąć.

Zupełnie inaczej było w górach, na płaskowyżach, gdzie wszystko było rozległe i wielkie, i wszystko, co istniało, dawało się objąć wzrokiem. Cały szeroki świat, jeśli tylko tego się zapragnęło. Ale brzegu niebios i tak nie można było pogłaskać palcami, pomimo iż przez cały czas wydawało się, że styka się z ziemią w długiej przeciągłej pieszczocie.

Tomas milczał. Przycichł i zamknął się w sobie, a koledzy z brygady zauważyli to i wymienili spojrzenia, bo wiedzieli, co się z nim dzieje. Wprawdzie nigdy nie próbował im czegokolwiek tłumaczyć ani też oni nie usiłowali go wypytywać. Żadnemu z nich nie przyszłoby coś takiego do głowy, ale dobrze znali się nawzajem, pracowali tak blisko siebie, że bardzo wiele wiedzieli o swoich słabych i mocnych stronach. Dopóki nikt się nie poddawał, okazywali sobie szacunek. W korytarzach kopalni równie groźne były zbyt wielka zuchwałość, jak i nadmierny lęk.

Wiedzieli, że Tomas walczy i że prawie zawsze wygrywa. W tych nielicznych wypadkach, kiedy nie udawało mu się zwyciężyć nad lękiem, był przy nim Mattias i starał się go chronić. Wcześniej robił to Jens. Pozostali mężczyźni wiedzieli o tym i milczeli, zarówno o Tomasie, jak i o Mattiasie.

Roza widywała tę kobietę wcześniej dostatecznie często, żeby ją rozpoznać, lecz nie znała żadnego imienia, jakim mogłaby ją nazwać. To on, David, inżynier Warren, nazwał ją Caroline, nic przy tym nie dodając.

- Rozo, to jest Caroline - powiedział, niemal wypychając Rozę do pokoju. Tak samo jak musiał wepchnąć ją do domu.

Wszystko w Rozie protestowało. Caroline, która z całą pewnością miała również jakieś nazwisko i która z całą pewnością życzyła sobie, by tacy ludzie jak Roza używali go, zwracając się do niej, spoglądała na przybyłą z nieskrywaną wrogością. Nic nie pomagał fakt, że Margaret Warren uśmiechnęła się na widok Rozy. Nic nie pomagało, że Margaret wypowiedziała szepem jej imię i wyciągnęła do niej rękę.

Roza przełknęła ślinę, kiwnęła głową lodowato niebieskim oczom Caroline, żony któregoś z tych ludzi, którzy mogli chodzić do pracy w białych koszulach. Nawet nie próbowała udawać uśmiechu. Na tamtej kobiecie i tak nie zrobiłby żadnego wrażenia. Córka Wielkiego Samuela dobrze przecież wiedziała i tak, co się o niej mówiło.

Prędko ujęła rękę Margaret i uklękła przy łóżku. Słaba dłoń chorej odwzajemniła uścisk, a w oczach Margaret pokazały się łzy.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - szepnęła, zmagając się z norweskimi słowami.

Roza usłyszała westchnienie tamtej drugiej kobiety, na poły zrezygnowane, na poły niechętne. Poczowała powiew wywołany gwałtownym poruszeniem spódnicy, która wyduła się jak żagiel, i gniewne kroki osoby uważającej się za równą Margaret i za jej przyjaciółkę, która jednak musiała ustąpić miejsca córce prostego robotnika z Kopalni, mieszkającej w ubogiej chacie nad krańcem fiordu.

Roza zrozumiała, że takie traktowanie mogło boleśnie dotknąć tamtą kobietę, lecz nie czuła się niczemu winna. Słyszała ściszony głos Davida, zmieniał się, kiedy mówił w ojczystym języku, a Roza była bardzo ciekawa tych dziwnych słów. Zdawały się płynąć w tak zabawny sposób, przypominały obce łodzie na znajomych wodach, inaczej unosiły się na powierzchni niż te łódki, którymi były dobrze jej znane norweskie słowa. Płynęły również inaczej niż fińskie, inaczej niż lapońskie, szwedzkie i rosyjskie, inaczej też niż niemieckie. Wszystkie te języki Roza miała okazję słyszeć w Kopalni, pracujący tu ludzie stanowili wielką, dziwną, różnorodną rodzinę, której członkowie wywodzili się ze wszystkich stron świata.

Zapagnęła rozumieć angielski.

- Mówiłam przecież, że przyjdę, gdy po mnie poślesz - szepnęła, starając się wypowiadać słowa powoli. Zwykle mówiła za szybko dla cudzoziemców. Temu, co miała do powiedzenia, bardzo się spieszyło, by dać się słyszeć, ale słów przeznaczonych dla Margaret nie chciała powtarzać.

Margaret Warren kiwnęła głową, a kąciki ust uniosły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Roza w duchu zastanawiała się, czy inżynierowa nie nakłoniła męża, by ją sprowadził jedynie po to, by sprawdzić, na ile można ufać jej obietnicom. Zastanawiała się, czy Margaret nie chciała wystawić jej na próbę.

- Boli cię coś? - spytała.

Margaret kiwnęła głową, ale trochę jakby za szybko. Trochę jakby ze zbyt wielkim zapałem. Jak gdyby przyjemność sprawiało jej, że ktoś poświęca jej tyle uwagi. Roza zerknęła przez ramię, czując, że potrzebuje pomocy, lecz ani Davida, ani angielskiej damy nie było już w pokoju. Nie usłyszała, jak wychodzą. Roza zrezygnowana zadała sobie pytanie, czego David Warren od niej oczekuje. Na jakie działania z jej strony liczy?

Na cud.

Uważał ją za czarownicę.

... a przynajmniej chciał wierzyć, że jest czarownicą...

- Jeśli masz bóle, to trzeba będzie posłać po doktora - oświadczyła Roza, próbując wstać, lecz Margaret przytrzymała ją z zaskakującą siłą.

- *No* - szepnęła z naciskiem. - *No. Not the doctor.* Ty. Ty zostań.

A Roza przestraszyła się intensywności żaru płonącego w zielonych oczach. Miała wrażenie, że to morze płonie w porze przypływu, a to każdego przecież może przerazić.

- Ja zostanę - odparła Roza. - To przecież nie wielkiego. Mogę z tobą porozmawiać. Mogę cię też dzisiaj uczesać. Chcesz?

Margaret odpowiedziała twierdząco samymi oczami. Roza więc uniosła ją do pozycji półsiedzącej, podparła półtuzinem poduszek, obszytych koronkami z wyhaftowanym w lewym rogu monogramem, „D” i „M” wplecione w girlandy, tworzące duże „W”. Haft był skomplikowany i piękny, lecz Roza w duchu cieszyła się, że nie musiała niczego takiego wyszywać. Nie była pewna, czy mogłaby dzielić łóżko z Mattiasem, gdyby na poduszkach, na których spoczywały ich głowy, widniał monogram Pedera.

Nie rozmawiały, gdy Roza szczotkowała kędziory Margaret. To było spokojne zajęcie, niegroźne, ot, zwykła przysługa. Kobiety mogą takie rzeczy robić dla siebie, a przynajmniej kobiety w świecie Margaret. Tak wydawało się Rozie. W Krecie żadna nie plotłaby włosów innej, chyba że chodziłoby o młodszą siostrę, dziecko lub kochaną starszą krewniaczkę.

Ale Roza nie chciała się czuć jak służąca. Nie przyszła tu jako sługa, nie zamierzała brać za to, co robi, żadnej zapłaty. Bez względu na to, co mówił Mattias, ona i Margaret znajdowały się w jednym i tym samym miejscu. Przebywając razem, miały tę samą wartość.

Takie przekonanie było kruche i delikatne jak cienka porcelana, lecz gdy przebywały tylko we dwie, wydawało się trwałe.

Roza pomagała Margaret, była dla niej przyjaciółką. Być może odpędzała niektóre ze strachów Angielki, być może Margaret pragnęła również wierzyć, że Roza potrafi zdziałać cuda. Że może ulżyć jej w bólu, wszystko naprawić.

Kiedy wstążka została zawiązana na karku, subtelna bliskość ustała. Roza ostrożnie przysiadła na brzegu łóżka i jedną ręką zaczęła gładzić gładką, grubą narzutę. Kilka warstw materiału zszyto w taki sposób, że powstały kręte wzory. Roza nie musiała pytać, żeby wiedzieć, iż kobiety z rodzaju Margaret i Caroline nie zajmują się takimi robótkami. Narzuta była duża i ciężka, uszyta przez opłacone ręce.

- Jadłaś coś? - spytała.

Margaret przecząco pokręciła głową.

- Zaraz coś ci przyrządzę.

- *Don't leave me!* Nie... nie odchodź.

Roza pokręciła głową. Ledwie była w stanie powstrzymać się od śmiechu, słysząc, jak ta dorosła elegancka dama mówi głosem małej dziewczynki, a w jej oczach pojawia się rozpacz jedynie dlatego, że Roza podniosła się z łóżka.

- Przyrządzę ci coś do jedzenia, rozumiesz? - wyjaśniła z szerokim uśmiechem, starannie otulając inżynierową miękką kołdrą z kilku warstw materiału. - Masz zamiar wydać na świat wróbelka, skoro nie chcesz jeść?

Druga kobieta najwyraźniej jej nie zrozumiała. Roza musiała więc wszystko powtórzyć, używając łatwiejszych słów.

- Dziecko - powiedziała, przytulając wyimaginowaną niemowlę do piersi i kołysząc je. - Twoje dziecko będzie maleńkie jak ptaszek, jeśli nie będziesz jadła.

Rękami naśladowała ruchy skrzydeł.

Margaret uśmiechnęła się słabo.

- *Bird* - powiedziała słabym głosem. - *Baby bird...*

Roza do pewnego stopnia rozumiała jej słowa. Wszystko, co sobie mówiły, dawało się poskładać. Sta-

wało się kawałkami, które do siebie pasowały, i Roza uświadomiła sobie, że zapamiętanie tych kawałków nie jest wcale niemożliwe. Ta myśl tkwiła jej w głowie, gdy stała w obcej kuchni i szykowała młodziutkiej pani zyt-nią polewkę. Z pewnością nie było to jedzenie, do którego Margaret przywykła, lecz Roza uważała, że z całą pewnością jej nie zaszkodzi.

Margaret miała zbyt wychudzone policzki, podobnie jak całe ciało. Ostatnie miesiące powinny ją zaokrąglić, przydać ciała kościom i nadać pełnię policzkom, lecz czas zdawał się raczej zżerać panią Warren. Była szczupła już wówczas, gdy tu przyjechała, lecz z wyłączeniem brzucha, którego nie dało się już ukryć, w ciągu zimy bardzo schudła. Nienarodzone dziecko czerpało siły od matki i tak przecież powinno być, lecz Margaret Warren tych sił już brakowało. Powinna jeść. Ona także powinna kwitnąć, powinna rozwijać się jak pączki kwiatów pod ciepłymi promieniami wiosennego słońca. Zamiast jednak nabrać pulchności i rozkładać płatki jeden po drugim aż do bujności, którą powita to nowe życie, Margaret zmieniła się w zwiędły pączek, wyschnięty, poszarzały, pozbawiony soków.

Stała się takim pączkiem, który zjawił się za wcześnie i który musiał ulec nieobliczalnym kaprysom wiosny, ostatnim gwałtownym opadom śniegu, które pojawiały się zawsze, gdy pierwsze łąki zaczynały się już zielenić.

Roza karmiła Margaret, podawała jej łyżeczkę po łyżeczce. Najwidoczniej jadali srebrnymi sztućcami, Roza domyślała się tego, bo łyżka w jej ręce tak bardzo się rozgrzała. Ozdobiona była zawijasami przypominającymi kwiaty i chociaż Roza uważała, że są piękne, to mimo wszystko nie miała pewności, czy podoba jej się,

że człowiek odwzorowuje przyrodę w sposób tak nie-naturalny, jak owe sztywne, wykonane ludzkimi rękoma rośliny widniejące na tej łące.

Wyraźnie było widać, że angielska dama nie jadła żytnej polewki na co dzień, bo zmarszczyła nos na jej widok i skrzywiła się na smak pierwszej łyżki. Lecz Roza nie ustępowała, przemawiała do Angielki łagodnie, zapewniając, że właśnie tego trzeba, aby dziecko, które Margaret nosiła w łonie, wyrosło na coś więcej niż na maleńkiego ptaszka, na wróbelka, na *baby bird*.

- Powinnaś jeść ryby na obiad - powiedziała Roza.
- *Fish*.

Roza kiwnęła głową. Język Margaret nie różnił się aż tak bardzo od tego języka, do którego sama przywykła. Wiele słów było podobnych, a pozostałe dało się pokazać gestami i minami, przez zabawę dojść do ich znaczenia. Ta chwila rozmowy miała w sobie coś jasnego, pięknego.

- Ryby i wątróbkę - oświadczyła Roza z przekonaniem. - To odpowiednie jedzenie dla ciebie, rozumiesz? Nie możesz tylko leżeć i się głodzić. Nic dziwnego, że tak wychudłaś. Przypominasz cienkie źdźbło turzycy w górach.

Akurat tego nie udało się Rozie wyjaśnić, lecz jej głos brzmiał łagodnie i miękko, a Margaret słyszała, że Roza pragnie wyłącznie jej dobra, i na bladej twarzyczce utrzymywał się uśmiech. Puścić Rozy od siebie nie chciała. Złapała ją za obie ręce i przytrzymała. Potem poklepała brzег łóżka, tak by Roza zrozumiała, że ma usiąść i nigdzie nie odchodzić.

- A co innego mogę zrobić? - spytała Roza, uśmiechając się z rezygnacją. - Twój mąż gdzieś sobie poszedł.

Zostałyśmy tylko we dwie, ty i ja. To jasne, że nie mogę odejść i zostawić cię samej. On o tym wiedział.

Słowa te popłynęły takim strumieniem, że Margaret zrozumiała zaledwie połowę i nie pojęła przy tym, jaką rezygnację odczuwała Roza. Nie słyszała, że pułapka się zatrzasnęła, chociaż w uszach Rozy dźwięk ten rozległ się bardzo wyraźnie. Margaret po prostu cieszyła się, że David uległ jej prośbom. Była szczęśliwa, że Roza dotrzymała słowa i przyszła zaraz, gdy tylko po nią posłała. Chociaż wciąż odczuwała ból, przestała się już tak bardzo bać, dopóki Roza była przy niej.

- Zostań - poprosiła, nim zamknęła oczy, osuwając się na łóżku tak, że leżała teraz u podnóża pagórka ułożonego z poduszek.

- A co innego mogę zrobić? - powtórzyła Roza.

- Ciągłe się tu kręcisz? - spytał Samuel, kiedy Mattias położył się na drugim łóżku w alkierzu. Miał za sobą wędrówkę przez podwórze i z powrotem. Odniósł przy tym wrażenie, jakby podczas tego marszu zmagał się z burzą. Wyszedł za potrzebą, lecz również tym razem załatwił ją ledwie w połowie. Mattias domyślał się, że taki stan może potrwać znacznie dłużej, niż przypuszczał, i myśl ta bardzo go zaniepokoiła.

- Przecież zamierzałeś się od niej wyprowadzić.

- Zostanę i będę pilnował, żebyś przeżył - odparł Mattias krótko. Nie chciał pokazać drugiemu mężczyźnie, jak bardzo go boli, lecz przed Samuelem niewiele dało się ukryć, gdy raz już postanowił baczyć na wszystko.

- Jeśli dane ci będzie życie dostatecznie długie, byś miał synów - stwierdził Samuel - to koniecznie powinieneś im powiedzieć, że człowiek najlepiej robi, jeśli

z pewnych uciech zrezygnuje. Wydaje mi się, że to właśnie jedna z nich. To zresztą nie jest naturalne.

Mattias nie odpowiedział. Nie zamierzał się znów zagłębiać w ten problem, chociaż Samuela cała sprawa najwyraźniej interesowała. Sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał nakłonić Mattiasa do podzielenia się z nim przynajmniej częścią swoich doświadczeń w tej właśnie dziedzinie, lecz jednocześnie stary był zbyt wstydliwy, by pytać wprost.

- Jest tu kto? - rozległo się pytanie z izby.

- Chyba sam diabeł stuka do drzwi! - burknął Samuel. - Kiedy ja byłem mężczyzną w tym domu, nie było takiego wchodzenia bez zaproszenia!

- O ile dobrze wiem, to wciąż jesteś mężczyzną - zachichotał Mattias, usiłując wstać przy zachowaniu jak największej ostrożności. - O ile dobrze rozumiem, tobie nikt nie odgryzł klejnotów. Nie dopuściłbyś, żeby coś takiego się stało!

Chichotał, chociaż piekło go jak wszyscy diabli, kiedy niemal wyskakiwał z alkierza, pragnąc znaleźć się poza zasięgiem przekleństw ojca Rozy.

W izbie stał Tomas, wciąż w roboczej kurtce, nieumyty, z twarzą i rękami pokrytymi szaroczarным pyłem. Czarne włosy obsypane kurzem zeszywniały i posiwiały. Sterczały na wszystkie strony, chociaż usiłował je przygładzić.

- Aha, a więc jeszcze żyjesz! - przywitał się, rozglądając się dokoła. - Poza tym jesteś trzeźwy, a Rozy nie ma. Przyjdiesz jutro? Co mam powiedzieć reszcie?

- Wszystko z wyjątkiem prawdy - odparł Mattias, ostrożnie przysiadając na skrzyni z drewnem. U nasady włosów perlił mu się pot, od którego czoło mu

błyszcząco. Spływał do oczu, a jego kropelki pojawiły się nad górną wargą i słone spłynęły do ust. Od soli piekły rany po ukąszeniach, które sam sobie zadał, kiedy Roza niby to go opatrywała.

- Chory jesteś? - zaniepokoił się Tomas ze współczuciem, przechodząc do ławy przy stole. Baczył, żeby nie zostawić zbyt wielu szaroczarnych śladów na wyszorowanej przez Rozę do białości podłodze z desek.

- Diabła tam! I tak byś mi nie uwierzył, nawet jeśli ci opowiedział prawdę - syknął Mattias przez zęby.

- Możesz spróbować!

- Uduszę cię, gdyby to się rozniosło! Jeśli wspomnisz o tym komukolwiek poza tym domem, to poderżnę ci gardło, przywiążę do łydek kamienie i utopię na środku fiordu. W portki i w koszulę też wszyję ciężary.

Tomas zrozumiał, że ma do czynienia z jakąś niecodzienną sprawą, i przysiągł, że będzie milczał jak grób, a nawet bardziej niż ten mokry grób, jaki obiecał mu Mattias w razie, gdyby rozpuścił język.

Mattias opowiedział, co się stało.

... myślę, że jeśli jest we mnie siła, to ona musi ją dostać. Próbuję stwierdzić, gdzie owa siła może we mnie tkwić, gdzie się zaczyna, lecz nie jestem pewna. Dobrze by było, gdyby mogła popłynąć z moich rąk w wąskie, chude dłonie Margaret. Mam ochotę czynić cuda.

Dla jej dobra. Dlatego, że ona zasługuje na to dziecko. Dlatego, że tak bardzo go pragnie, i dlatego, że leżała przez całą zimę, próbując robić to, co jej kazano. Kręci jej się w głowie, gdy tylko usiądzie. Nogi ma takie słabe, że trzeba ją podpierać, kiedy musi wstać za

potrzebą. Wstydzi się i czerwieni, ta słabość jest dla niej tak bardzo upokarzająca.

Dobrze ją rozumiem.

Chcę, żeby urodziła to dziecko, i chcę, żeby to był chłopiec, z którego ona i David mogliby się cieszyć. Chcę, żeby był duży, silny i piękny. Tak, aby David był dumny z niej. Tak dumny, jak Margaret na to zasługuje.

Wydaje mi się, że on nie rozumie, przez co ona musi przechodzić. Troszczy się o nią, lecz sprawia wrażenie zakłopotanego i niezadowolonego z tego, że Margaret leży i potrzebuje pomocy innych. Nie wiem, czego oczekiwał. Nie wiem, jaka jest rodzina, z której pochodzi.

Gdyby ona była jedną z nas, już by straciła to dziecko. Nie dałoby się tak długo chodzić z krwawieniami i wszystkimi tymi dolegliwościami, o których mi opowiadała. Nie mówiłam jej o tym, Margaret nie wszystko musi wiedzieć.

U nas to by było dziecko, które nie powinno się urodzić. My nie możemy kłaść się do łóżka na całe miesiące. Musimy być na nogach, zajmować się domem i rodziną. Musimy obrządzić inwentarz, wypływać łodzią na fiord, mleć ryby i chodzić nad strumień z praniem. Musimy piec chleb i dźwigać wiadra z wodą, od których plecy się gną, chociaż nosidła nieco ujmują ciężaru. U nas rodzą się tylko silne dzieci i nawet z nich nie wszystkie dorastają. I u nas dzieci umierają, i to nie tylko wbrew woli Boga, jak się to stało w przypadku mojej Synneve. Nie wyobrażam sobie, co by się działo tu, nad fiordem, gdyby kobiety kładły się do łóżka, by utrzymać przy życiu tak słabe nienarodzone dziecko jak to, które najwyraźniej nosi w łonie Margaret Warren.

Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Lecz próbuję oddać jej chociaż część mojej siły, bo chciałabym, aby miała to dziecko, dla którego tyle poświęciła. Pragnę tego dla jej dobra i dla jego...

Pragnę dokonać cudu...

- *I'm bleeding, Tm bleeding!* - Margaret gwałtownie poderwała się na łóżku, szarpiąc na sobie okrycia. Patrzyła na swoje łydki, a z zaciśniętego gardła wydobywał się krzyk. - Krew! - powiedziała. Potem wyrzuciła z siebie mnóstwo angielskich słów, które stawały się coraz głośniejsze, a w końcu zmieniły w przeciągłe zawođenje.

7

Roza stała, ubrudzona po łokcie krwią, i nic nie działo się tak, jak powinno. Była sama z Margaret, bo chociaż zapadł już wieczór, inżynier nie wrócił jeszcze do domu. Roza zadawała sobie pytanie, jak oni naprawdę żyją, ci ludzie w białych kołnierzykach, ci, którzy zupełnie jedzą srebrnymi łyżkami.

Margaret zwymiotowała żytnią polewkę. Być może takie jedzenie okazało się zbyt ciężkie dla żołądka młodej pani, ale Roza nie potrafiła wymyślić żadnej innej potrawy, którą mogłaby jej przyrządzić. Nie pracowała w kuchni w The House, nie miała pojęcia, co Anglicy i całe to wytworne towarzystwo jadają na co dzień. Wiedziała jedynie, co serwują podczas uroczystych przyjęć, bo jej matka zawsze miała wiele do powiedzenia na ten temat, lecz Roza i tak nie potrafiła sobie wyobrazić, że podaje komukolwiek wędzonego łososa na pierwszy posiłek w zwyczajny dzień, a już zwłaszcza kobiecie w końcowym okresie trudnej i niemal od początku uciążliwej ciąży.

Zresztą to nie za sprawą żytnej polewki madame Warren krwawiła. A krwawiła tak mocno, iż należało przypuszczać, że jej życie jest zagrożone. Roza wsunęła Margaret między nogi parę poduszek, kilka podłożyła jej też pod uniesione pośladki, lecz najwyraźniej nic nie działało. Roza w końcu doszła do wniosku, że być

może lepiej będzie, jeśli cała ta chora krew wypłynie z Angielki, niż miałyby zebrać się wewnątrz jej ciała i spowodować jeszcze groźniejsze dolegliwości.

Margaret nawet na moment nie zamilkła. Wydawało się, że płacze i się modli, ale Roza nie była tego pewna, gdyż Margaret krzyczała cały czas w ojczystym języku. Niepojęte słowa płynęły równie wartkim strumieniem jak krew. Roza zdawała sobie sprawę z tego, że powinno się wezwać doktora, lecz za każdym razem, gdy próbowała odejść od Margaret, Angielka wczepiała się w nią, łapała ją za ręce, za spódnice, a nawet za włosy.

Patrzyła na Rozę, a z jej wielkich zielonych oczu bił nagi strach. I Roza nie mogła jej zostawić.

- *Don't leave me!* - krzyczała młoda pani i Roza wiedziała, że za nic nie zechce jej puścić.

Przed Rożą odsłoniła się cała własna bezsilność i po raz pierwszy w życiu, odkąd wyrosła na tyle, by w ogóle o tym marzyć, pomyślała, że nie jest wcale żadną czarownicą. Nic nie mogła zrobić dla Margaret. Dobrze wiedziała, czego pragnie, i całą swoją mocą i świadomością starała się dotrzeć do tego, co ponoć było jej darem, lecz bez żadnego skutku.

Istniała w niej jakaś czarna skała, która zagradała drogę wszelkim próbom. Była zimna i mokra jak skała w korytarzach kopalni, lecz jeszcze bardziej odpychająca i wstrętna. Na oczach Rozy zamykała się przed nią.

Gdzieś z daleka dobiegał śmiech.

Jakby wszystko to zostało przygotowane z rozmysłem. Dla niej. Dla Rozy Samuelsdatter...

Mattiasem targał lęk. Coś było nie tak. Coś mąciło cienie rzucane przez jego myśli. Czuł się niespokojny

i bezradny. Tomas pomógł mu przynajmniej nakarmić ojca Rozy, a także przesunąć Samuela na wiadro, które potem na zewnątrz opróżnił i przyniósł z powrotem, oczyściwszy je uprzednio śniegiem. Twarz Tomasa pozostawała przy tym bez wyrazu, Samuel zaś jedynie wpatrywał się w ścianę.

- Gdzie Roza? - spytał Tomas. - Nie znalazła chyba sobie jakiejś roboty, prawda? Potrafi nieźle gotować, ale w The House jest teraz mniej ludzi. Słyszałem, że jedna z tych pań chciała ją zatrudnić. Ta drobna, mała, z kręconymi włosami.

- Nigdzie się nie najęła na służbę! - odparł gniewnie Mattias. - Ugania się za tym przeklętym inżynierkiem! - Popatrzył na Tomasa, gładząc kciukiem dolną wargę. - Za mężem tej małej z kręconymi włosami - wyjaśnił zmęczonym głosem.

Był zły na Rozę. Był na nią wściekły. Czuł się rozczarowany i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że go zdradziła. Wprawdzie nie należeli do siebie, lecz poczucie zdrady utkwіło w nim na dobre. Jednocześnie odczuwał jakieś dziwne łaskotanie. Może to ta przeklęta rana zaczęła się wreszcie goić? Taką przynajmniej miał nadzieję.

- Włóczy się za nim jak fiński pies!

Tomas tylko uniósł proste ciemne brwi. Większość podobnej gadaniny sływała po nim jak woda po gęsi. Jego niebieskie oczy pozostawały tak samo niebieskie, uśmiech krył się w kącikach ust. Tyloma wyzwiskami już go w życiu obrzucano. Wypominanie, że jest Finem, nie zaliczało się wcale do najgorszych. Wciąż czuł w sobie smugę dumy. Był spokrewniony z zorzą polarną. To, co powiedział Mattias, wcale go nie upokorzyło, a i przyjaciel przez to nie zmałał w jego oczach.

- Włóczy się za nim jak pies - powtórzył Tomas ze spokojem. On już dawno pogodził się z tym, że Roza żyje własnym życiem. Mattias na razie jeszcze tego nie rozumiał. Mattias sam o tym nie wiedział, lecz również on był jak pies. Jak fiński pies...

- Przychodzi tutaj, patrzy na nią tymi swoimi czarnymi oczami, a ona dosłownie merda ogonem! - splunął Mattias, nie zauważając, jak wielka zazdrość przez niego przemawia. - Niemal kładzie się na podłodze i liże deski, na których on stoi!

- Jesteś zazdrosny.

- Do stu piorunów, masz rację!

- A on co na to? - spytał Tomas z wysiłkiem. Usiłował wyobrazić sobie tego człowieka, o którym mówił Mattias, lecz nie zdołał. W Kopalni pracowało zbyt wiele osób. Wciąż pojawiały się tu nowe twarze. Każdego dnia stykał się z ludźmi, których we własnym przekonaniu nie widział nigdy wcześniej, i bez względu na to, jak bardzo się starał, nie zdołał do tego przywyknąć.

- Przychodzi tu po nią, prawda?

- Mówisz, że ma chorą żonę - powiedział Tomas. - Ciężarną żonę, która nie wstaje z łóżka i źle się czuje. Myślisz, że inny mężczyzna nie zrobiłby w takiej sytuacji wszystkiego, co może? Myślisz, że nie wypróbuje również Rozy? Ci ludzie też mają uszy, chociaż nie pracują w sztolniach. Wszyscy znają sławę Rozy Samuelsdatter. Jej sława to najpowszechniej znana tajemnica nad całym Kafjorden, w całym rejonie Talvik i Alta!

Mattias spuścił głowę. Wiedział, że Tomas ma rację. W dodatku był pewien, że Samuel ich słucha. Rozmawiali na tyle głośno, że z pewnością wychwycił każde słowo z tej rozmowy. Nie słyszałby wyraźniej, nawet

gdyby stanęli na środku alkierza i tam prowadzili te dyskusje.

- Tu chodzi o coś więcej niż o żonę, która spodziewa się dziecka - powiedział Mattias.

Popatrzył w granatowe jak noc oczy Tomasa i zapragnął mieć taką samą naiwność. Od dawna już nie był równie młody jak Tomas.

- Wydaje ci się, że nie rozpoznam własnego spojrzenia u kogoś innego? On na nią patrzy tak samo jak ja! - westchnął Mattias.

Przez chwilę przyglądał się Tomasowi.

- Patrzy na nią tak, jak ty kiedyś na nią patrzyłeś - dodał, wzruszając ramionami.

- Co ona może dać takiemu jak on? - wybuchnął Tomas.

Mattias uśmiechnął się lekko.

- Głupie pytanie - stwierdził Tomas. - Przyszedł po nią, a ona poszła z nim?

Mattias kiwnął głową. Nie chciał nic mówić. Nie chciał nazywać słowami tego, co, jak podejrzewał, się dzieje. Potrafił sobie wyobrazić największe namiętności, ale gdy rana tylko dostatecznie się zagoi, zamierzał wyzwąć tego Anglika do walki, jak mężczyzna z mężczyzną. Pójdzie mu na spotkanie z rękami zaciśniętymi w pięści albo z nożem, jeśli tamten będzie tak wolał. Postanowił o nią walczyć...

- Roza robi to, czego sama chce - oświadczył Tomas spokojnie. - Nie wiesz, kim była jej prababka?

- Nie życzę sobie słuchać o żadnej z tych przeklętych bab, które żyły przed nią! - wybuchnął Mattias. - Nie chcę słuchać o ich włosach, o anielskich twarzach ani o ciałach, przez które mężczyźni tracili zmysły. Nie

chcę słuchać o tym, że wszystkie były czarownicami i teraz smażą się w piekle! Nie chcę słuchać ani jednego przekłętego słowa o którejkolwiek z nich!

- No cóż - padła spokojna odpowiedź Tomasa. Jego szeroka twarz odmłodziła w wielkim uśmiechu. Podniósł dłonie, odwracając je spodem do Mattiasa, i machnął nimi na znak, że się poddaje. Tomasz miał dwadzieścia dwa lata i żył już dostatecznie długo, żeby uporać się z owym słodkim niepokojem, jaki wywoływała Roza Samuelsdatter. - Ale musisz wiedzieć, że ona pochodzi z rodu najniezwyklejszych kobiet, jakie kiedykolwiek stąpały po wrzosowiskach na płaskowyżu. Mówię ci to, żebyś wiedział, co tracisz.

Mattias uśmiechnął się półgębkiem.

- Słyszałem o nich wszystkich. Z jedną z nich rozmawiam prawie codziennie. Urodziła się kilka pokoleń temu w Archangielsku, w Rosji. Została pobłogosławiona przez zorzę polarną i była czarownicą. Dokładnie tak jak Roza. Masz ochotę wysłuchać reszty tej historii?

- Tak - odparł Tomasz.

- Natalia - powiedział Mattias, zmieniając się nagle w kogoś innego.

Nieoczekiwanie w jego rysach pojawiła się miękkość i łagodność kochanka, twarda, ostra twarz stopniała nagle niczym lodowa pokrywa na strumieniu, kiedy nadchodzi wiosna i pora odwilży. Zamiast iskrzyć gniewem, uśmiechał się.

- Czasami wydaje mi się, że jestem swoim własnym pradziadkiem - dodał, wzdychając. Tym razem wiedział, kim jest, a przecież nie zawsze tak się działo. - Czasami ją kocham. Ją. Natalię. Zdarza mi się mylić ją z Rozą. To nietrudne. Natalia jest-prawą stroną Rozy.

Kiedy widzę Rożę, gdy patrzę na nią od prawej, to wydaje mi się, że ona jest nawet piękniejsza od tej Natalii, która przychodzi do mnie w snach i rozmawia ze mną. Ma głos miękki jak wełnianka...

- Wiem o tym - powiedział Tomas tęsknie.

Mattias podniósł głowę i odszukał spojrzenie Lapończyka. Potrwało to dobrą chwilę. Tomas wcale nie chciał na niego patrzeć. Pragnął się schować wraz z tymi kawałeczkami wiedzy, które posiadał.

- Ona do mnie też przyszła - przyznał Tomas w końcu. - Wiem, o kim mówisz, Mattias. Mnie również odwiedzała w snach. Przychodziła do mnie, kiedy spałem, lecz pojawiała się także na jawie. W końcu przestałem już odróżniać rzeczywistość od snów. Wiedziałem jedynie, że muszę pilnować jej, pilnować Roży...

Mattias wpatrywał się w młodego Lapończyka. Trudno mu było uwierzyć, że dobrze słyszy, lecz był pewien, że to nie sen. Usta Tomasa się poruszały, a Mattias nie znał drugiego równie uczciwego człowieka jak Tomas.

- Mój pradziad być może ją kochał - powiedział Mattias pobielałymi wargami. - Ja, Natalię. Wydaje mi się, że ona chce, abym przeżył jego życie. Przeżył to, czego on nie przeżył. Zdaje mi się, że ona chce, bym ja naprawił wszystko razem z Rożą. W jakiś chory sposób stajemy się nimi...

- Ona najpierw przyszła do mnie - rzekł Tomas cicho. - A ja jestem tylko sobą. Nigdy jej nie widziałem. Wyrwała mnie ze wszystkiego, co uważałem za rzeczywiste i zwyczajne, i wprowadziła w moje życie Rożę. Prosiła mnie, abym był jej siłą.

- To mnie prosiła, żebyśmy byli siłą Roży! - zaprote-

stował Mattias, kompletnie zdezorientowany. - To ja jestem siłą Rozy!

Tomas wzruszył ramionami.

- To nic nie znaczy. Ja byłem siłą Rozy i ty nią byłeś. A Roza nie potrzebuje żadnego z nas. Roza chadza własnymi ścieżkami i bez nas jest i tak silniejsza od większości ludzi. Jest silniejsza niż my obaj razem wzięci, Mattiasie!

Mattias westchnął i zgodził się z Lapończykiem. Wydawało mu się, że zawsze się zgadzał z tym, co powiedział Tomas. O ile dobrze pamiętał, to mówił o tym Natalii, ale ona nie słuchała...

- One się jakby nigdy nie mylą - stwierdził z rezygnacją. - Żadna z nich. Opowiedz mi o tej jej prababce, którą tak bardzo podziwiasz!

Przez twarz Tomasa przemknął jeden z tych jego szybkich, nieśmiałych uśmiechów. Kącik ust podniósł się w górę, drugi opadł w dół, jak gdyby Lapończyk bał się roześmiać.

- Byłem w niej zakochany przez całe życie - powiedział niemal z powagą. - Nie ma w mojej rodzinie młodego chłopaka, który by się w niej nie kochał, dopóki nie zrozumie, że sny są nie z tego świata...

- Opowiedz mi o tych snach - zachęcił go Mattias, lecz wcale nie miał pewności, czy traktuje Tomasa poważnie. Zbyt niezwykłym zrządzeniem losu byłoby, gdyby niedojrzałe chłopięce marzenia Tomasa krążyły wokół osoby tak bliskiej Rozie. Mattias nie wierzył w takie zbiegi okoliczności.

- Była ledwie dziewczynką, gdy przybyła do Norwegii - zaczął Tomas z powagą. - Nie urodziła się wśród nas...

- Oczywiście, że nie mogła się urodzić wśród was -

stwierdził Mattias z udawaną powagą, ale przynajmniej słuchał.

- Niektórzy mówią, że rodzice ją sprzedali - ciągnął Tomas, udając, że nie słyszy powątpiewania w głosie Mattiasa. Tomas był bajazerem, historie, które przekazywał dalej, cenił równie wysoko jak ludzi, których darczył sympatią.

- Dumni ludzie nie sprzedają swoich dzieci - twardo rzekł Tomas, a jego granatowe jak noc oczy pociemniały niczym listopadowe niebo. - Ona nie miała nikogo, a takie dzieci prędko dojrzewają. Jej przybrana matka pochodziła z mojej rodziny, a my jesteśmy spokrewnieni z zorzą polarną. Historia mówi, że przybrana matka była noaidą, szamanką. Może to prawda. Również w naszej rodzinie takie umiejętności przekazywano z matki na córkę, lecz córka tej kobiety umarła jako dziecko. Przeżył jedynie syn. Był starszy od tej dziewczynki z Finlandii.

Mattias westchnął. Wiedział, co teraz nastąpi. To była historia taka jak baśnie, opowiadane o niebieskiej przeczystej godzinie, dopóki ciemność nie spowieje się w tak wiele warstw, że przestaje już być niebieska. Kiedy ciemność zmienia się w ścianę i trzeba zapalić lampy, bez względu na to, czy chciano oszczędzać olej czy nie.

W Samuelsborg lampy paliły się już od pewnego czasu, ale Tomas miał zdolność wyczarowywania nastroju. Chociaż historie, które opowiadał, pochodziły z dawnych czasów i niczym nie zaskakiwały słuchacza, przyjemnie było milczeć przy wtórze cichego głosu Tomasa. I Mattiasowi w niczym nie przeszkadzało, że rozpoznaje tę opowieść.

- Taki jest początek historii o Mikkalu i Raiji - powiedział Tomas ze smutkiem. - Oczywiście oni się po-

kochali. On podarował jej rodowe srebro, które powinien dać narzeczonej. Ona obdarowała go kosmykiem swoich włosów, który nosił na sercu w skórzanej sakiewce do końca swoich dni. Ojciec, który wiązał z synem zupełnie inne plany, odesłał ją z domu. Dziewczyna trafiła nad fiordy, kawałek dalej na południe. Bez względu jednak na to, jak bardzo starali się utrzymać ich z dala od siebie, Rai ja i Mikkal pozostali nierozłącznie ze sobą związani. Mieli dziecko. Rai ja prawie płonęła już na stosie jako czarownica, gdy on uciekł z nią do Finlandii. Żyli tam razem, lecz w końcu wrócili w rodzinne strony, na północ. Umarł dla niej. Zginął od kuli, zasłaniając ją przed człowiekiem, który postanowił ją uśmiercić. Mikkal umarł w jej ramionach, a ona schroniła się w Rosji. - Tomas uśmiechnął się. - Opowiedzenie tej historii może potrwać godzinę albo całą noc. Wszystko zależy od tego, ile chce się opowiedzieć...

- Opowiadałeś ją kiedykolwiek Rozie? - spytał Mattias, który rozpoznał bohaterów historii, gdy tylko usłyszał o skórzanym woreczku z kosmykiem włosów.

- Nie tę - odparł Tomas ze swym miłym uśmiechem na twarzy i ze smutkiem w oczach. - Roza i ja nie jesteśmy spokrewnieni - wyjaśnił. - Ja pochodzę z jego gałęzi, z gałęzi Mikkala, od tego samego światła co on. Ona wywodzi się z jej rodu. Z tego szeregu kobiet, który właściwie rozpoczął się od Raiji, bo tak naprawdę to ona była pierwsza. Została pierwszą, ponieważ Ravna była jej przybraną matką, ponieważ nauczyła Raiję tego, co powinna przekazać rodzonej córce. Raija została córką Ravny, chociaż nie była jej rodzonym dzieckiem z krwi i kości. Ravna przekazała jej wszystkie te kobiece tajemnice i umiejętności, które kobiety dzie-

dziczyły po sobie już od tak dawna, że tak naprawdę nikt nie pamięta, skąd się wzięły. Ravna była kimś więcej niż zwyczajną szamanką. Ravna była wątkiem w o wiele szerszej tkaninie, Mattiasie, i dlatego kobiety, które przyszły po niej, również są niezwykle.

- A co z nim? - dopytywał się Mattias. - Co z tym mężczyzną, który nosił lok jej włosów na piersi przez całe swoje życie? Czy to był tylko głupek, który ją pokochał? Czy nigdy nie stał się kimś więcej niż tylko mężczyzną, którego imię wymienia się jednym tchem z jej imieniem? Czy nigdy nie był kimś więcej niż tylko kochankiem?

Tomas złożył ręce, wciąż były czarne. Nigdy już się całkiem nie domyją. Kopalniany pył stał się nieodłącznym elementem jego skóry.

- On się urodził ze światła - mówił Tomas. - Niósł w sobie krew rodu. Przekazał ją dalej swoim dzieciom. Wydaje mi się, że i on był noaidą. Przypuszczam, że matka go wtajemniczyła, ale był mężczyzną, był tylko jej synem i dalej mógł przekazać jedynie własną krew. Nic poza dziedzictwem tkwiącym we krwi. Wszystko inne należało do niej, do Raiji. Jego znaczenie polegało na tym, że był mężczyzną, który kochał ją zarówno w życiu, jak i w śmierci.

Mattias westchnął. Wszystkie baśnie kończyły się w tak beznadziejny sposób. We wszystkich tych historiach, których wysłuchał, mogło się wydarzyć coś naprawdę interesującego, lecz ostatecznie albo kończyły się aż tak dobrze, że w ustach pojawiał się nieprzyjemny smak, albo też ich bohaterowie ulegali całkowitemu zatraceniu i właściwie nie miało znaczenia, co dane im było wcześniej przeżyć. Takie zakończenie sprawiało

zawód. Mattias był mężczyzną i wolał, aby ten nie-szczęśnik dostał coś w zamian za wszystkie swoje cierpienia, tymczasem dla niego nie było nic. Uczyniono z niego człowieka, który po prostu kochał kobietę. Nic poza tym.

Za bardzo to przypominało jego samego.

Tego Mattiasa, który kochał Rozę.

- Roza jest trochę podobna - wyjaśnił Tomas. - Nieobliczalna i silna, lecz nie głupia...

- Roza splata wątki pozostałe po wielu różnych kobietach - stwierdził Mattias. - Żyje wspomnieniami nie tylko jednego rodu, Tomas. A przede wszystkim jest samą sobą. Nosi w sobie swój własny ból, a nie coś, co dziedziczyła przez sto lat. Najwyższa pora zapomnieć o wszystkich tych historiach. Roza jest wplątana w opowieści stanowiące fragmenty innych opowieści, jak gdyby ktoś obwiązał ją sznurem. Najwyższy czas, żeby ktoś poluzował te więzy i pozwolił jej pójść tam, gdzie sama chce.

- Na przykład do tego inżyniera? - spytał Tomas, podciągając w górę jeden kącik ust. - Pozwalasz jej odlecieć, nie czując przy tym gniewu ani zazdrości. Niezły z ciebie chłop, Mattiasie Mattiassenie! Nie całkiem możesz równać się z Mikkałem, lecz być może dane ci będzie dostatecznie długie życie, by móc się do niego zbliżyć. On kochał głównie z daleka, cierpiał i zmieniał w piekło życie wszystkich tych, którzy go otaczali. Skoro jemu miało nie być dobrze, to nikt inny też nie powinien być szczęśliwy. A kiedy byli razem, przytłaczał wszystko, co ich łączyło, swoją bliskością. Mimo to jednak nie wątpię, że on ją kochał. Kochał ją do szaleństwa, a ona tak samo kochała jego. Lecz była ptakiem, który potrzebował rozleglejszego nieba.

- Może rzeczywiście jestem trochę taki jak on - zgodził się Mattias. - Lecz ona jest równie zazdrosna jak ja. Różnica polega jedynie na tym, że ona kolekcjonuje ptaki, chociaż sama o tym nie wie. Wszystkie je pragnie trzymać w niewoli. Nie wiem nawet, czy chciałyby, abyśmy zobaczyli niebo. Ona uważa, że jeśli sama nie może go zobaczyć, to znaczy, że my także tego nie potrzebujemy.

Tomas westchnął.

- Czasami wydaje mi się, że wy dwoje zasługujecie na siebie. Innym razem myślę, że nigdy nie powinniście się spotkać. Tak czy owak za późno już teraz, by to powstrzymać... - urwał.

Długo patrzył na Mattiasa, zanim dodał:

- To do mnie ona zwróciła się najpierw. Mam na myśli Natalię. To i a zostałem wybrany jako pierwszy, żeby stać u boku Rozy...

- Co się dalej stało? - wyrwało się pytanie Mattiasowi. Poczuł, że przeniknął go dreszcz.

Tomas wzruszył ramionami.

- Ona mnie nie potrzebowała. Pod wieloma względami Roza jest silniejsza od nich. Nigdy o tym nie zapominaj.

- *I'm torn!* - zanosła się krzykiem Margaret Warren, nie będąc już w stanie nad sobą zapanować. - *I'm torn! Help me!*

Roza rozumiała jedynie jej ból. Zorientowała się także, że poród się rozpoczął.

- Muszę sprowadzić pomoc! - krzyknęła do Margaret, lecz Angielka była tak zaślepią rozpaczą, że gdy zrozumiała, iż Roza pragnie ją opuścić, uczepiła się jej z taką siłą, że Roza nie mogła się ruszyć.

Ogarnęło ją przerażenie. Kruchym ciałem pani inżynierowej szarpały skurcze porodowe. Pojawiały się jak fale, gdy nadchodzi przypływ, i stawały coraz częstsze i coraz mocniejsze.

Nic nie zostało przygotowane. Poduszki Margaret zakrwawiła. Wszędzie krew. Przypominało to świnio-bicie. Rożę wypełniła bezradność. Miała ochotę wtórować krzykiem Margaret, lecz tego zrobić nie mogła. Poczynała się do odpowiedzialności.

... ja nic nie potrafię! Kochane, pomóżcie mi w tym, czyż nie tego ode mnie chcecie? Czyż nie chodziło o to, bym myślała o innych? Bym wykorzystywała swoje zdolności dla dobra innych ludzi? Gdzie więc się podziały te moje przeklęte zdolności?

8

- *Save my baby! Save my baby, please!* - zawodziła Margaret.

Krzyczała bez względu na to, dokąd Roza poszła, bez względu na to, co usiłowała zrobić. Dźwięk aż drżał w źle oświetlonym pokoju i wdierał się w głowę Rozy. Przenikał do szpiku kości. Roza przypuszczała, że musi być go słyhać również na zewnątrz. Dlaczego nikt nie przychodził?

Wychudłe dłonie Margaret Warren przeorywały powietrze, szarpały kołdrę i prześcieradło, paznokcie zgrzytały na miękkim materiale, niemal znacząc na nim ślady, a odgłos przez nie wydawany Roza słyszała jeszcze wyraźniej niż te krzyki.

- Muszę tylko zdjąć wodę z ognia! - zawołała, usiłując jakoś dotrzeć do Margaret poprzez jej skowyt i ból.

Nie dało się jej zagłuszyć i Roza nie miała pojęcia, czy do Angielki w ogóle coś dociera. Nie wiedziała też, czy Margaret, nawet jeśli usłyszała jej słowa, wszystko zrozumiała jak należy.

Roza rozsznurowała buty i zrzuciła je z nóg, biegnąc do kuchni. Serce waliło jej jak młotem. Wydawało się siekierą uderzającą w grube, wilgotne drewno.

Niewiele wody znalazła w kuchni, lecz wzięła to, co było, i nagrzała w rondlach, które z brzękiem wyciągnęła z kredensu.

W kuchni pełno było krwawych plam pozostawionych przez jej własne ręce. Zadrżała na ich widok, lecz nie miała czasu na wycieranie. Ściany i drzwiczki szafek nic teraz dla niej nie znaczyły, lecz widok brudnych plam napawał grozą.

Musiała przeszukać całą kuchnię, żeby znaleźć nożyce. Nigdzie nie było czystego płótna, które by mogła wziąć dla dziecka. Jej myśli wcześniej krążyły wokół prześcieradła, lecz teraz nie nadawało się ono do użytku.

... błagam was, niech ktoś przyjdzie...

... nie zostawiajcie mnie z tym samej...

Roza zsunęła ciężkie garnki z pieca. Śmiertelnie się przestraszyła, że przechyla się i przeważa, a ona obleje się wrzątkiem. Kto raz się sparzył, ten na zimne dmucha. Roza wciąż bała się wszystkiego, co gorące.

Przelała trochę gotującej się wody do mniejszego naczynia i udało jej się umieścić w niej nożyce. Mogły tam na razie leżeć, będzie przynajmniej miała pewność, że są czyste.

Serce waliło jej tak, że prawie nie słyszała jęków Margaret. Angielka nie milkła, lecz Rozie tak głośno szumiało w uszach, że ten szum wraz z biciem serca zagłuszał krzyki bólu.

Już wcześniej zdjęła buty. Teraz prędko rozpięła górne guziki bluzki i wsunęła rękę na piersi, żeby poluzować tasiemki stanika. Gdy tylko rozwiązała supły, od razu łatwiej jej się oddychało.

Zastanawiała się, czy inżynierowa nie ma na sobie jakiejś części garderoby ze sznurkami. Ważne było, aby je rozwiązać, rozsypać wszystkie węzły w całym domu,

w którym leży rodząca. W wypadku trudnych porodów ta czynność była niemal najważniejsza, a sam Bóg przecież widzi, że ten poród będzie bardzo trudny.

Niemożliwe, by było już aż tak późno! Roza nie mogła w to uwierzyć, lecz najwidoczniej straciła wszelkie poczucie czasu. Zegar w salonie stanął. Zadała sobie pytanie, czy to przypadkiem nie gospodyni ma zwyczaj go nakręcać. To by tłumaczyło, dlaczego inżynier o tym zapomniał.

Z kolei jednak aż tak późno być nie mogło. Inżynier wróciłby do domu, gdyby naprawdę taka była pora. Czym mogą o tej porze zajmować się inżynierowie?

Roza nie miała pojęcia, co zrobił David Warren po wyjściu z domu. Nie miała też czasu dłużej się nad tym zastanawiać.

Margaret siedziała na łóżku, szarpiąc na kawałki swoją piękną nocną koszulę. Zaczepiła dłońmi o dekolt i rozdarła ją aż do połowy brzucha. Odgłos rwącego się materiału przypominał odgłosy lawiny w górach wiosną. Roza stanęła w drzwiach. Jej palce zostawiły krwawe odciski na ścianach, na futrynie. Ciężko będzie je wszystkie zmyć. Rozie przemknęło przez głowę, że nie ona będzie się tym zajmować. Nie była przecież służącą w tym domu. Kto inny musi to zrobić.

- Nie wolno ci siadać! - krzyknęła przerażona, odrywając się od futryny. Wsunęła się na łóżko do Margaret i mocno złapała ją za nadgarstki. Musiała wprost walczyć z drugą kobietą, by unieruchomić jej ręce. Całe ciało Margaret drżało.

Wpatrywały się w siebie. Zielone oczy napotkały niebieskie. Obie pary oczu były szeroko otwarte. Twarze nagie, obie śmiertelnie przerażone i same we własnym świetle.

- Nie siadaj! - powiedziała Roza cicho. Zwracanie się do drugiej kobiety krzykiem na nic się nie zdawało. Teraz raczej usiłowała ją prosić. - Nie siadaj, błagam cię! Wszystko tylko przez to utrudniasz. Będzie jeszcze gorzej!

Margaret wpatrywała się w nią oczyma jakby z zielonego szkła. Roza miała wrażenie, że w każdej chwili mogą potłuc się na kawałeczki, rozsypać w drobne odłamki i zmienić w groźny pył, którym można się pokaleczyć do krwi przy niebezpiecznym zetknięciu.

- Nie siadaj, słyszysz? Nie siadaj! - błagała Angielkę zrozpaczona Roza.

Bliska była płaczu.

Źle używać siły wobec kobiety, która ma rodzić, ale Roza, czując, jak łzy szczypią ją w oczy, a policzki pokrywają się słoną wilgocią, z całej siły przycisnęła ręce Margaret do kołdry. Jednocześnie popychała barki Angielki, napierała na nią całym swoim ciężarem. Potem zaczęła naciskać biodra Margaret, aż w końcu zmusiła ją do ukłęknięcia i do oparcia dłoni o materac. Musiała jednak wręcz położyć się na krzyżu pani inżynierowej, aby utrzymać ją w takiej pozycji.

Margaret jęczała, jakby ktoś usiłował jej odebrać życie. Wyrzucała z siebie słowa, którym daleko było do życzliwości. Roza doskonale zdawała sobie z tego sprawę, chociaż nie wiedziała, jakie oskarżenia zawierają. Były skierowane do niej, lecz wykrzykiwane po angielsku. A teraz nikt przecież nie mógł ich przetłumaczyć.

- Oszczędzaj siły, Margaret! - prosiła i musiała mocno zaczerpnąć oddechu, by być w stanie w ogóle cokolwiek powiedzieć. Dyszała jak pies w jeden z tych gorących letnich dni, które tak rzadko gościły nad Kaf jorden. Kiedy powietrze nieruchomiało, słońce paliło, a niebo

było tak bardzo niebieskie, że wprost nie dawało się na nie patrzeć.

Roza błagała. Nigdy w życiu nie musiała nikogo przekonywać z taką czułością, lecz teraz się na to zdecydowała i wiedziała, że postępuje słusznie. Przymilała się tak, że słowa wprost ociekały cukrem i miodem, lecz za chwilę znów zaczynała wrzeszczeć opętana wściekłością, gniewem i rezygnacją, a przez cały czas nie mogła pojąć, dlaczego nikt nie przychodzi.

Przecież Margaret muszą słyszeć aż w Talvik! Krzyki rodzącej z pewnością docierają aż do miejsca, w którym Kvaenangen graniczy z Reisa! Roza była przekonana, że nawet najbardziej głuche ze wszystkich babek jeszcze w Bossekop są w stanie rozróżnić poszczególne słowa wykrzykiwane przez Margaret Warren.

Wprawdzie one i tak by nie zrozumiały ich znaczenia, gdyż angielski nie stanowił obowiązkowego przedmiotu, którego musiały uczyć się w dzieciństwie, lecz na pewno byłyby w stanie powtórzyć, co słyszały, gdyby ktoś je przymusił. Nie mogło być rozsądnego człowieka odtąd aż do Rafnsbotn, który nie usłyszałby wykrzykiwanych tu słów, i to tak głośnych, że aż świdrowały w uszach.

A mimo to nikt nie przychodził. Nie zjawiał się nawet ten przeklęty przystojniak, mąż Margaret. Gdzie on się podział, ten piekielny inżynier?

Roza sama miała ochotę krzyczeć, lecz ktoś tutaj musiał zachować zimną krew. Nie chciała też niepotrzebnie straszyć Margaret. Sytuacja i tak była już dostatecznie rozpaczliwa. Nie musiała wzbudzać jeszcze większej paniki u nieszczęsnej Angielki. Trudne porody nie stawały się wcale łatwiejsze od tego, że położnicę ogarniał paniczny strach i zmęczenie.

Rozie migotało przed oczami. Bała się tak strasznie, że omal nie zemdląca.

- Masz tylko utrzymać się na kolanach, Daisy! - powtarzała, nie wiedząc, skąd bierze jej się taka odwaga. Właściwie nie mieściło się w głowie, aby Roza Samuelsdatter zwracała się w taki sposób do żony jednego z inżynierów, lecz młodziutka Angielka, biedactwo, była do tego stopnia oszołomiona, że nawet nie zwróciła na to uwagi.

Płakała i krzyczała, szarpiąc za zakrwawione, prze-moczone prześcieradło. Rozie przyszła na myśl wiewiórka, która zagnieździła się pod okapem dachu. Wiewiórka z tuzinem młodych. To, co teraz Roza słyszała, przypominało tamto pospieszne szuranie małych pazurków, które szarpały i drapały, nie umiając zrobić niczego innego.

Roza nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dokładnie mieli w Samuelsborg takie gniazdo. Hans był wtedy malutki, chodził już na cienkich nóżkach, lecz nie potrafił jeszcze wyraźnie mówić. Roza pamiętała, że płakał, a ojciec przyłożył mu za to klapsa.

Jej matka wstawiała się za tymi maleńkimi brązowymi kłębuszkami z oczkami jak guziczki i puszystymi ogonkami. Były takie bystre, wspinając się po ścianie z bali. Ich pazurki na wysmołowanej ścianie domu przypominały maleńkie rączki.

Wszystko to zachowało się we wspomnieniach wraz z obrazem ojca, który stał na środku podwórza i rzucał kamieniami w młode wiewiórki. Samuel w czarnych samodziałowych spodniach, ciasno opinających biodra, w koszuli obszytej niebieskim paskiem. Wszystkie koszule ojca były za ciasne, za ciasne wszędzie. Guziki stale odpadały. Tyle miał ciała. Trudno było zapanować

nad tak wielką siłą, nad tą wielką i brutalną siłą. Pod złotą skórą przeżyły się potężne mięśnie.

Samuel znów był jak młody chłopak. Śmiech bulgotał mu w gardle, a rzucał tak celnie, że młode wiewiórki po kolei jedna po drugiej spadały na ziemię.

Szary granit na tle ściany. Uderzenie o ścianę i w miękkie, rude, puszyste ciało. Albo o dach z torfu.

I inny odgłos, coś, co brzmiało jak pluśnięcie, choć przecież nie było wody. Odgłos, który tak naprawdę nie istnieje.

Roza знаła ten dźwięk. Wciąż miała go w uszach. Wciąż stały jej przed oczami ofiary tego polowania. Leżały w postaci małych, poskręcanych, włochatych kłębków na zielonej trawie pod ścianą domu.

A jej ojciec, złapawszy je za ogony, zakręcił nimi nad głową i przez kilka minut czuł się bohaterem. Śmiał się, był mężczyzną i miał wielkie brązowe ręce.

Samuel rzadko się śmiał, kiedy Roza była dzieckiem. Był poważnym mężczyzną. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy chodził do sauny razem z ich matką i kiedy rzucał kamieniami w młode wiewiórki, a każdą z nich trafiał bez pudła. Świetnie celował. Przez następne zimy wszyscy chłopcy nosili futrzane czapki.

Roza zawsze krzykiem doprowadzała do tego, że pozwalano jej zimą chodzić z gołą głową. Bez względu na to, jak bardzo mogło być zimno, za nic nie chciała włożyć czapki.

Przed oczyma przelatywały jej niewyraźne wspomnienia. Nie chciała ich. Zakłócały jej uwagę. Wołała niczego nie pamiętać.

- Nie siadaj! - wrzasnęła, gdy Margaret zachwiała się na rękach i poruszyła się tak, jakby zaraz miała ugiąć

łokcie i osunąć się w tył, na pięty. Chyba chciała patrzeć na Rozę.

Ale ręce Margaret pozostały wyprostowane. Drżały, lecz trzymała je naprężone, tak jak Roza o to prosiła.

- Rozsuń łydki! - zażądała Roza.

Anielka nie zareagowała.

Roza nie miała czasu na tłumaczenie. Bardzo chciała, żeby rodząca przestała wreszcie szlochać. Chciała, żeby jej słuchała. Powoli Roza zdała sobie sprawę, że Margaret wcale się jej nie sprzeciwia, lecz po prostu najzwyczajniej nie rozumie jej poleceń. Powtórzyła słowa, tym razem nieco łagodniej, a potem popchnęła jedno kolano Margaret, żeby pokazać, o co tak naprawdę jej chodzi.

Margaret posłuchała jej i przesunęła drugą nogę. Roza mogłaby właściwie westchnąć z ulgą, lecz tego nie zrobiła. Margaret przestała krzyczeć, teraz już tylko popłakiwała.

Rozie przed oczami stanęły kociecia.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób rodzą kobiety w Anglii. Wyglądało na to, że wcale nie kłęczą przy tym na czworakach. Roza słyszała kiedyś o eleganckich damach z Norwegii, których zdaniem również ta pozycja była okropna i zmieniała kobiety w zwierzęta, gdyż w taki sposób szczenią się psy.

Nie mogła jednak zastanawiać się nad tym, czy nie urazi jakichś delikatniejszych uczuć Margaret Warren. Dla dziecka lepiej będzie urodzić się w tej pozycji. To się przecież samo przez się rozumie, tłumaczyła sobie w duchu. Dziecko będzie obsuwać się w dół, pomagając tym samym nieszczęsnej matce. Rozsądek przemawiał raczej za taką właśnie pozycją niż za leżącą i zmu-

szającą do podjęcia pełnej walki o wypchnięcie dziecka z ciała. Roza nie знаła jednak słów, którymi mogłaby wytłumaczyć to tej angielskiej pani.

Gdyby chodziło o kobietę z Kopalni albo z Krety, o zwykłą robotnicę czy chłopkę, to zmusiłaby ją do wstania i do chodzenia, by w ten sposób przyspieszyć poród. Wciągnęłaby na nią koszulę wywróconą na lewą stronę, może to trochę by pomogło. W tej sytuacji jednak takie postępowanie było niemożliwe. Rozie przydałoby się kilka kamieni porodowych*, lecz te, które zostały u niej w domu, musiały dalej tam leżeć, nie było czasu po nie biec.

Młoda pani oszalałaby ze strachu, gdyby uznała, że Roza ją opuściła. Roza nie miała nawet czasu szukać po tym domu wódki, a przecież Margaret powinna wypić kilka łyków, skoro poród okazywał się naprawdę taki trudny. Wódka działała na ogół zawsze w sposób pożądanym, położnica się odprężyła i wszystko szło łatwiej.

Przydałoby się zetrzeć wierzchnią warstwę kamieni porodowych i wymieszać pył z wódką, może Margaret po wypiciu takiej mikstury trochę by się uspokoiła. Właściwie nie znano silniejszych środków działających na rodzącą.

Ale Roza była bezradna, nie miała ani wódki, ani też tych płaskich, prawie całkiem okrągłych kamieni, które morze wyrzucało na brzeg. Bóg jeden wiedział, skąd się brały, ale znajdowało się je na brzegu wszędzie. Były

* Kamienie porodowe - w rzeczywistości duże nasiona roślin tropikalnych, przynoszone na wybrzeże Norwegii przez Golfstrom. Przypisywano im magiczną moc, miały ułatwiać i przyspieszać poród (przyp. tłum.).

lekkie i gładkie, wielkości mniej więcej dziecinnej dłoni i wszyscy dobrze wiedzieli, że są przydatne podczas porodu i połogu.

Ponieważ Roza nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić, zaczęła ostrożnie rozcierać plecy Margaret, zaczynając od napiętych barków i powoli przesuwając się w dół do zagłębienia, od którego zaczynały się biodra. Masowała położnicę obiema rękami, mamrocząc przy tym jakieś słowa bez sensu, tylko po to, by uspokoić rodzącą. Nie miało znaczenia, co mówi, bo przecież Margaret i tak jej nie rozumiała.

W myślach chciała zapewnić tę drugą kobietę o tym, że wszystko pójdzie dobrze, chciała jej to nawet obiecać, lecz usta jej nie słuchały. Wargi odmawiały wypowiedzenia takich słów, nie wydobywał się spomiędzy nich żaden dźwięk i Roza w końcu gwałtownie zacerpnęła oddechu i zamknęła usta. Nie chciała zastanawiać się nad tym, że to być może jest jakiś znak.

- On cię sprowadził za późno - mówi głos i słysząc w nim smutek.

Ona stoi naprzeciwko mnie, na poły ukryta za łóżkiem i za Margaret, i jest tak spokojna, że ja boję się po dwakroć mocniej. Słyszę jedynie uderzenia własnego serca i jej głos. Ale nie przestaję gładzić Margaret po plecach. Mam wrażenie, że to jedyna rzeczywista rzecz, jedyna, jakiej nie mogę przestać robić. Te ruchy utrzymują mnie przy zdrowych zmysłach, są czymś, w co mogę wierzyć, bo nie mam żadnej pewności, co się tu rozgrywa.

- Powinnaś była przyjść wcześniej - mówię, zdając sobie sprawę z tego, że ją oskarżam, i zadaję sobie py-

tanie, czy Margaret rozumie moje słowa. Może sądzi, że zwracam się do niej?

To, co mówię, i tak nie może mieć dla niej żadnego sensu i nie przypuszczam, żeby akurat to zdanie utkwiło w jej pamięci. Wcale się tym nie martwię.

Wokół nas mogłaby być setka ludzi, która coś by do siebie krzyczała, a na Margaret nie zrobiłoby to najmniejszego wrażenia. Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Prosiłam i błagałam o pomoc już od chwili, w której zostałam z nią sama - mówię przez zęby, z gniewem, złą, rozczarowaną i oszukaną. - Tymczasem aż do tej chwili byłam sama! Gdzie wy jesteście, kiedy tak was potrzebuję?

- Jesteśmy dla ciebie, gdy istnieje jakiś tego powód. A przecież już mówiłam, że on cię sprowadził za późno - odpowiada Natalia.

Na całe szczęście nie wzrusza ramionami, lecz ja i tak dostrzegam, jak mało to dla niej znaczy. Margaret jest dla niej nikim, nie liczy się ani trochę.

To oburzające.

- Dlaczego więc w ogóle się tu pojawiłaś? - pytam i nie potrafię ukryć swojej pogardy.

Przecież one dobrze wiedzą, że ta Angielka jest dla mnie w pewnym sensie ważna. Wiedzą o mnie wszystko, muszą więc wiedzieć również to. Sądziłam, że będą miały wzgląd na moje uczucia.

... na moje dobro...

- To nie tak, Rozo.

Jej głos brzmi łagodnie, lecz ja wcale od tego nie mięknę. Jestem na nią zła, zła na nie wszystkie, i nie zamierzam odczuwać tak, jak one chcą, bym odczuwała. Widzę, że Natalia zaczyna się niecierpliwić, i powoli narasta we mnie głupia radość.

- Za bardzo się starasz - dodaje Natalia. - Nie myśl. Nie mieszaj w to uczuć, które z tą sytuacją nie mają nic wspólnego. Nic ci nie przyjdzie z tego, że będziesz się za bardzo przejmowała.

Milknie na chwilę i spogląda na nas oczyma, które są stanowczo zbyt stare dla jej młodej twarzy.

Wygląda, jakby była rzeczywista. Nigdy nie przestanie mnie to dziwić. To, że zawsze wygląda na żywą osobę.

- Możesz tutaj zmazać trochę bólu teraz, będziesz mogła też zmazać trochę bólu później - mówi Natalia - ale żadnego cudu nie dokonasz, Rozo. Sprawdzono cię za późno. On za późno po ciebie przyszedł. Zbyt późno wpadłaś mu do głowy, lecz o to nikogo nie można obwiniać. Wcześniej również niewiele dałoby się zrobić. Władasz niezmiernie cennym darem, moja kochana, lecz nie masz mocy nad życiem i śmiercią. Żaden człowiek jej nie ma. Tak już musi być. Nie wszystko wygląda pięknie i niech nikt nie zmyli cię i nie nakłoni, byś uwierzyła, że jest inaczej. Życie jest jak nieheblowane drewno, moja droga. Niektóre dzieci rodzą się po to, aby żyć, a niektóre w ogóle nie powinny się rodzić...

To zabrzmiało strasznie.

- Uczestnicz w jej bólu - prosi mnie Natalia. - Wciągnij go w siebie, wessij go i nie czuj poza tym nic, przeciwko czemu masz walczyć...

Próbuję zrobić tak, jak ona mówi, a moje ręce nie przestają rozcierać szczupłych pleców Margaret w czasie, gdy ja staram się dotrzeć do jej bólu...

Przywołały ją do porządku, gdy wślizgnęła się między nie uśmiechnięta. Powiedziały, że równie dobrze

mogłaby mówić wprost, skoro już i tak nie potrafiła utrzymać języka za zębami.

- Roza jest zbyt mądra - mówiły. - Zacznie myśleć i będzie się zastanawiać, czy to nie przez nią. Będzie chciała zobaczyć, jak wszystko się układa...

- To jest jak morze - powiedziała Natalia beztrąsko. - Będzie spokojnie i nic nie da się dostrzec pod powierzchnią. To tkwi zbyt głęboko. Rozie nigdy nie przyszłoby do głowy, że to ona może być przyczyną czegoś podobnego. Roza nigdy nie zrozumie, ile wysiłku kosztowało wytyczenie przed nią ścieżki. Roza nie rozumie, jak bardzo jest ważna...

- Trzymaj się od niej z daleka aż do czasu, kiedy wszystko się uspokoi. Aż morze się uspokoi. Roza jest tak bardzo ważna, że nie wolno jej myśleć za dużo. Ona ma nie rozumieć. Ma wszystko akceptować i poprowadzić ten łańcuch dalej.

- Roza da sobie teraz radę sama - stwierdziła Natalia. - Ma w sobie wiele dobrego, mnóstwo niezłomnej siły. Nie będę wspominać, po kim to odziedziczyła...

Jej śmiech zabrzmiał jak szmer strumienia.

Roza czuła, że jest jej zimno, lecz jednocześnie jej dłonie wprost płonęły. Przytrzymały Margaret za biodra, a rozsunięte palce były niczym promienie, z których biło ciepło.

Margaret dyszała ciężko, oddychała jak pies, chociaż nikt jej o to nie prosił. Chciwie piła wielkie łyki powietrza i z ogromną wolą, z wielkim spokojem wychodziła naprzeciw skurczom przetaczającym się przez jej obolałe ciało. Momentami oddech jej przyspieszał, dławiała się powietrzem.

Roza zaobserwowała to ze zdziwieniem i musiała rozejrzeć się dokoła. Jej oczy zaczęły wypatrywać Natalii, lecz nigdzie jej nie dostrzegła. Wciąż były tylko we dwie, inżynierowa i ona sama. Roza nie miała pojęcia, jaka może być pora doby. Nie mogła się zorientować, ile czasu upłynęło, odkąd nakazała Margaret uklęknąć na czworaki. Angielka wciąż pozostawała w tej samej pozycji, a więc nie mogło to być bardzo dawno.

Wszystko się uspokoiło. Przestało już być tak niebezpiecznie. Strach nie okrywał już ich grubą kołdrą, a wcześniej przecież mogła wyczuć jego zapach.

Margaret oddychała tak, jak powinna. Pomiędzy skurczami starała się oszczędzać siły. Nie krzyczała już. Oddychała tylko i odpowiadała na skurcze własną siłą. A może nie tylko swoją własną...

Roza pociała się, lecz mimo to było jej zimno. Skóra jej parowała, lecz jednocześnie kurczyła się, pokryta gęsią skórką. Miała wrażenie, jakby to jej samej przyszło rodzić. Ręce bolały, łydki drżały jak lina, którą ktoś naciągnął za mocno. Od wysiłku była napięta i wycieńczona. Czuła gorące fale rozchodzące się od brzucha aż pomiędzy nogi. I ten ból w krzyżu...

Natalia kazała jej przeniknąć w ból Margaret i Roza miała teraz wrażenie, że właśnie tak się stało. Kapała się w bólu, który tak naprawdę nie był jej własnym bólem.

- Dziękuję - szepnęła Roza przez zaciśnięte wargi.

Nie puszczała Margaret nawet na moment potrzebny do tego, by mrugnąć okiem. Walka toczona przez tę drugą kobietę była również jej walką. To stało się ich wspólną sprawą. Dar znalazł wreszcie rozsądne zastosowanie.

- Wszystko idzie dobrze! - dodawała otuchy Angiel-

ce. - Najgorsze masz już za sobą. Teraz musisz tylko wykorzystywać swoją siłę i walczyć z tymi falami...

Margaret wyjęczała coś w rodzaju odpowiedzi. Sprawiała wrażenie, jakby rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

Roza usiadła w taki sposób, aby jej kolana tworzyły oparcie dla stóp Margaret. Rodząca mogła się od niej odpychać.

- Jeszcze trochę, Margaret! - zachęcała Angielkę. - Jeszcze tylko odrobinę.

Kolejny skurcz Margaret powitała przenikliwym krzykiem, prężąc plecy, palce stóp wbijając w materac, a pięty w kolana Rozy. Nie przestawała krzyczeć, a Roza ośmieliła się ją puścić dopiero wówczas, gdy po raz pierwszy ujrzała fragment ciała dziecka.

- Jeszcze trochę, Daisy! - prosiła, ledwie śmiać oddychać. - Jeszcze odrobinę! Już niedługo będzie po wszystkim.

Roza na chwiejnych nogach wróciła do sypialni z kuchni, gdzie myła ręce. Zerknęła na nie przypadkiem akurat w chwili, gdy już miała nimi pomóc małyemu dziecku wydostać się na świat.

Woda wciąż była dość gorąca. Jednym palcem wyłowiła z niej nożyce i opłukała dłonie.

Roza zastała Margaret w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiła. Rodząca klęczała na szerokim łóżku i opierała się na wyprostowanych rękach, wbitych w materac. Roza odłożyła nożyce na nocny stolik i wspięła się na łóżko. Starła się przemawiać do Margaret spokojnym głosem, lecz sama słyszała, jak bardzo drżał.

Dziecko wcale nie wysunęło się dalej. Widać było kawałek główki, lecz chociaż nic nie wskazywało na to, że pozycja płodu jest niewłaściwa, to wydawało się, że coś przeszkadza mu w narodzinach. Roza miała nadzieję, że pępowina nie okręciła się wokół szyi dziecka. To była tylko jedna z trudności, które potrafiła sobie wyobrazić.

Margaret tak strasznie krwawiła...

Powinien być przy niej lekarz.

Roza powiedziała to wąskimi, napiętymi wargami:

- Powinnaś mieć przy sobie doktora, a nie tylko średnio znającą się na rzeczy czarownicę, Margaret!

Margaret z pewnością jej nie słyszała. Dostatecznie zajęta była parciem. To nie powinno sprawiać aż takich

trudności. O ile Roza dobrze wiedziała, wciąż pozostały dwa miesiące do terminu rozwiązania, dziecko nie mogło więc być za duże.

Wydawało jej się, że Margaret robi wszystko jak należy. Wyglądało też na to, że jest dostatecznie rozwar-ta. Coś jednak wstrzymywało dziecko. Jakby nie chcia-ło się wydostać.

W głowie Rozy zabrzmiały nagle słowa Natalii, któ-ra powiedziała, że nie wszystkie dzieci powinny się urodzić. Nie chciała ich teraz pamiętać. Teraz potrzebna jej była wiara.

Ręce jej się trzęsły, a chłód, który wypełniał ją wcześ-niej, nareszcie ustąpił. A jednak nie odczuła żadnej ulgi. Była sama i należało się z tym pogodzić.

To jej ręce musiały wykonać to, co trzeba zrobić. Ro-za zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem spokojnie, lecz zdecydowanie oświadczyła Margaret:

- Oszczędzaj siły! - nakazała. - Pomogę ci, ale mu-sisz robić to, co ci powiem. Słyszysz mnie, Margaret? Rozumiesz mnie?

- ... słyszę! - stęknęła Margaret.

Roza odetchnęła z ulgą i nie dręczyła już rodzącej kolejnymi pytaniami.

- Policzę do trzech, Margaret. Do trzech. Wtedy za-czniesz przec. Użyjesz wszystkich swoich sił i będziesz parła tak mocno, jak tylko zdołasz. A ja jednocześnie będę ciągnąć. Ty będziesz parła, a ja ci pomogę i już niedługo się z tym uporamy. Potem będziesz mogła od-począć. Twoje dzieciątko się urodzi. Twoje *baby bird*...

Margaret jęknęła coś w odpowiedzi.

Roza liczyła. Koniuszkami palców dotknęła delikatnie maleńkiej główki. Zdołała uchwycić ją po obu stronach

przy skroniach. Na „trzy” ciało Margaret wygięło się w łuk i Angielka zaczęła przec z całych sił. Łał się z niej pot, pojękiwała, lecz jej ciało wciąż przytrzymało dziecko.

Roza ciągnęła z taką siłą, jakiej na swoje wyczucie mogła użyć. Śmiertelnie się bała, że wyrządzi dziecku krzywdę. Te istotki są przecież maleńkie i takie kruche. A temu dziecku, tak wytęsknionemu i oczekiwanemu, nie może zdarzyć się nic złego.

- Jeszcze raz - poprosiła Roza, ale pozwoliła Margaret trochę odpocząć, odzyskać nieco spokojniejszy oddech, nim znów zaczęła liczyć od początku.

- Raz, dwa, trzy!

Plecy Margaret drgały wygięte w łuk, naprężone do ostatnich granic. Napięte mięśnie i kolana trzęsły się na posłaniu. Łóżko zatrzeszczało ze skargą.

Roza ciągnęła.

Spomiędzy ud Margaret popłynął strumień. Przede wszystkim krwi. Roza bała się tej krwi. Wiedziała, że źle się dzieje, bardzo źle. Że powinien przyjść tu doktor. A w duchu wciąż zadawała sobie pytanie, gdzie też podział się ten wyelegantowany mąż Margaret. Dlaczego ten czaruś nie wraca?

... Nie wolno snuć żadnych złych myśli, kiedy na świat przychodzi dziecko. Ja wcale tak nie myślę. Nie dopuszczę do siebie takich myśli. Ale tak bardzo się boję. To niepodobne do niczego, w czym uczestniczyłam. Nie rozumiem, dlaczego to dziecko tak się opiera. Nie rozumiem, jak to możliwe, żeby tak bardzo starało się nie urodzić. Główka jest taka mała, trzymam palce wzdłuż niej i czuję, że jest malutka. Palcem mogę pogładzić nosek. Wyczuwam już kształt tej małej twa-

rzyczki, której jeszcze nie widziałam, i nie pojmuję, jak taki maleńki człowieczek może za wszelką cenę nie chcieć przyjść na świat...

Roza musiała liczyć wiele razy. Ile, sama w końcu nie wiedziała. Rozumiała jednak, że za każdym razem szanse dziecka na przeżycie maleją.

Pot ściekał jej do oczu, ale nie mogła otrzeć twarzy, bo musiała przytrzymać maleńką główkę. Margaret zaczęła tracić siły, lecz okazała się bardzo dzielną istotą. Kiedy Roza prawie już sama płakała z wycieńczenia i zbyt ochrypła, by porządnie liczyć, Margaret ją zastąpiła:

- *One, two, three!*

Parła też całą resztką sił, jaka jeszcze jej została, a Roza w tym czasie usiłowała wyciągnąć maleńką główkę na światło dzienne. Rozpłakała się, kiedy mała główka wydobyła się nagle z wnętrza ciała matki, ukazując pomarszczone rysy, które jej palce zdążyły już tak dokładnie poznać.

- Dziecko się rodzi! - zawołała do Margaret, nie mogąc powstrzymać się od okazania ulgi i radości.

Margaret odpowiedziała, napinając się jeszcze mocniej. Roza słyszała, jak zgrzytają jej zaciśnięte zęby. Słyszała świszający oddech i jęk, którego rodząca nie była w stanie powstrzymać.

Dziecko uwięzło.

Margaret wycieńczona osunęła się na materac. Łokcie jej się ugięły i górna połowa ciała spoczęła na materacu i kołdrze, lecz biodra wciąż trzymała uniesione w górę. Policzek spoczywał na zakrwawionej, przemoczonej od potu kołdrze. Dyszała ciężko. Nierówno. Aż do chwili, gdy zdołała zapanować nad oddechem.

W końcu wzięła się w garść. Jeszcze raz podniosła się na czworaki. Ręce drżały jej tak bardzo, że całe ciało od tego dygotało, a Roza słyszała jej płacz, lecz Margaret okazała się wojownikiem, który za nic nie chce się poddać.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i znów zaczęła przeć. Nie musiały już dłużej liczyć na głos, by działać jednocześnie. Wszystko robiły razem w tym samym tempie, jak gdyby kierowała nimi czyjaś potężniejsza wola.

Krzyk Margaret był jak cięcie nożem. Roza zamknęła oczy i ciągnęła, tym razem wkładając w swoje działanie nieco więcej siły niż poprzednio. Miała wrażenie, że zaszła jakaś zmiana, miała wrażenie, że coś ustąpiło...

Kiedy otworzyła oczy, upłynęła chwila, nim mogła coś zobaczyć, bowiem pot i łzy przysłoniły jej wzrok. Musiała kilkakrotnie mrugnąć, by dojrzeć coś wyraźniej. Przez cały czas słyszała nieustający jęk Margaret. To było zawodzenie przypominające wycie dzikiego zwierzęcia w górach.

Margaret pękła. Świeża krew płynęła wokół główki dziecka.

Roza poczuła mdłości. Przełknęła ślinę, powtarzając sobie, że musi być równie dzielna jak Margaret. Angielka miała tylko ją. Nie było czasu na to, by myśleć ani o doktorze, ani o mężu Margaret.

Były tylko one dwie.

Nie robiła tego wcześniej. Właściwie nie widziała, jak rodzi się dziecko, dopóki sama nie wydała na świat Synneve, ale często towarzyszyła narodzinom jagniąt.

- Muszę ci pomóc, Margaret - powiedziała, puszczając dziecko. Nie miała pewności, czy maleństwo jeszcze żyje. Było takie spokojne, tak niebezpiecznie spokojne.

Nie chciała zastanawiać się, czy oddychało, czy nie. Tak czy owak, musiała je wydobyć jak najprędzej, inaczej mogło się to skończyć wyłącznie w jeden sposób.

- Trzeba się spieszyć - tłumaczyła. - Będzie cię bolało, ale ja muszę uchwycić bark dziecka.

Oddychała głęboko brzuchem.

- Muszę spróbować wyciągnąć z ciebie twoje dziecko. Jeśli potrzebna mi będzie twoja pomoc, to ci powiem. A wtedy ty musisz przeć.

Rozie wydało się, że Margaret kiwnęła głową. Trudno było stwierdzić, czy tak stało się naprawdę. Tak bardzo się bała i tak bardzo już była zmęczona, że przestała widzieć wyraźnie. Przez pot płynący jej z czoła i łzy wzrok po dwakroć bardziej jej się mącił, a Margaret drżała na całym ciele z wycieńczenia, z utraty krwi i z osłabienia. To nie był ten poród, którego z taką niecierpliwością oczekiwała.

Roza bała się, że Margaret umrze. Nie chciała się zastanawiać, czy dla dziecka jest jakaś nadzieja, czy już jej nie ma. Najbardziej przerażała ją myśl, że Margaret może tego nie przetrzymać.

Jest w tym wszystkim jakieś zrzędzenie losu, przemknęło jej przez głowę. Gdyby Margaret nie pękła, być może trzeba byłoby ją ciąć. To, co się stało, było straszne, lecz Roza wiedziała, że jeszcze gorszym przeżyciem byłoby, gdyby musiała wbić nożyczki w ciało Angielki. Nie miała przekonania, czy by się na to zdobyła. Ale być może jeśli naprawdę trzeba coś zrobić, człowiek się nie zastanawia...

Przesunęła rękę wzdłuż szyjki dziecka. Starła się, by jej palce były tak wąskie i miękkie jak to tylko możliwe i cieszyła się, że ma takie drobne dłonie. Odnalazła jeden bark.

O ile Roza mogła wyczuć, wszystko było z nim w porządku. Bark był drobny i zaokrąglony, raczej nie powinien przeszkadzać dziecku w przyjściu na świat.

Spomiędzy warg wydarło jej się ledwie słyszalne westchnienie. Nie dawało się ukryć, że przyszły jej na myśl wszelkiego rodzaju zniekształcenia. Mogło przecież się okazać, że to niezwykle duże dziecko, zdeformowane w taki czy inny sposób. Roza słyszała mnóstwo historii o kobietach zmarłych podczas porodu, gdy wydawały na świat dzieci, które porozrywały je na kawałki.

Przesunęła palcami za karkiem dziecka i w dół po drugiej stronie. Szukała drugiego barku.

Jej dłoń znieruchomiała. Otworzyła szeroko oczy i wstrzymała oddech. Serce najwyraźniej również przestało jej bić. Powoli znów poruszyła palcami, samymi ich koniuszkami.

Nie pomyliła się.

Jeszcze jedna szyja. I jeszcze jedno ucho. Mokre kosmyki włosów łaskoczące w palce.

Nos, malusieńki otworek, który musiał być ustami...

Oczu nie szukała.

Serce znów zaczęło bić. Uderzało tak prędko, jak nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Z oczu trysnęły łzy i Roza musiała zagryźć wargi, żeby zdusić w sobie jęk.

Dotarły do niej szloch Margaret. Wkrótce będzie musiała coś powiedzieć Angielce, uspokoić, dodać otuchy. Nie mogła jednak mówić o tym, w co sama nie bardzo potrafiła uwierzyć. Nie potrafiła nazwać tego słowami na tyle prostymi, aby Margaret mogła je zrozumieć, a przy tym nie załamać się.

A w głowie Rozy znów pojawił się głos Natalii. „Niektóre dzieci nie powinny się rodzić...”

Echo tych słów nie przestało w niej rozbrzmiewać, jak gdyby znajdowała się w czarnym wnętrzu góry, gdzie wszystkie dźwięki odbijał mokry, zimny jak lód kamień.

- Muszę ci sprawić ból, Daisy - powiedziała Roza, zdumiona, że głos wcale jej przy tym nie drży. W środku wszystko jej się trzęsło. Nie było w niej ani odrobiny spokoju.

- Muszę wyciągnąć to... dziecko. Jak najprędzej. Jeśli jesteś w stanie przeć, to przyj. Jeśli nie, to nic nie szkodzi.

Margaret wyjęczała coś w rodzaju odpowiedzi. Zakołysała się i widać było, że jej całkowite załamanie to jedynie kwestia czasu, a wtedy może być już za późno na cokolwiek.

- Raz, dwa, trzy! - powiedziała Roza i pociągnęła. Uchwyciła to, co potrafiła i czego nie potrafiła sobie wyobrazić. Jej palce wiedziały, co to jest, lecz myśli nie zgadzały się na zaakceptowanie, że to możliwe.

Ciągnęła, a Margaret jeszcze do pewnego stopnia była w stanie przeć. Ręce Rozy spływały krwią, językiem oblizywała pot, który wystąpił jej nad górną wargą, przez cały czas brała głębokie oddechy, lecz mdłości nasiliły się bardzo i czuła, że w każdej chwili może zwymiotować.

Margaret krzyczała, aż w końcu upadła. Osunęła się na łóżko i już nie była w stanie unieść się na rękach. Uszły z nich wszelkie siły, cała jej moc poświęcona została urodzeniu tego dziecka.

W końcu Roza je wyciągnęła. Nie mogła nawet mrunąć okiem. To dziecko przykuło do siebie jej wzrok. Płacz uwiązał w gardle duszącą kulą. Myśli tłukły się o skronie, lecz przez cały czas nie potrafiła nic powiedzieć.

Płakała szeroko otwartymi oczyma, a palce delikatnie gładziły maleńkie policzki.

Przez głowę przeleciała jej myśl, że w każdym stworzeniu jest jakieś piękno. Również w tym.

Rzęsy niczym ciemne wachlarze leżały na policzkach, zakrywając maleńkie oczy, które miały się nigdy nie otworzyć. Miękkie policzki, malusieńkie wargi. Nigdy nie wydadzą z siebie żadnego dźwięku. Maleńkie noski były lekko zadarte, lecz wąskie. Roza nie potrafiła powiedzieć, czy są podobne do nosa Margaret, czy Davida. Obie wąskie twarzyczki miały wąskie nosy.

- Niektóre dzieci nie powinny się urodzić - szepnęła Roza i przeciągnęła martwe dziecko aż na poduszkę.

Margaret wciąż krwawiła, sprawiała jednak wrażenie nieprzytomnej. Ale Roza słyszała jej przyciszony oddech. Na szczęście Angielka ciągle jeszcze żyła. Teraz powinna urodzić łożysko.

Roza wiedziała, że sama sobie z tym nie poradzi. W tym momencie gra szła o życie Margaret. Zdawała sobie sprawę, że tu potrzebny jest lekarz.

Zerwała powłoczkę z jednej z poduszek. Nie było mowy, żeby zostawić martwe dziecko razem z Margaret. Nie wolno dopuścić, żeby je zobaczyła, gdyby ocknęła się podczas nieobecności Rozy. Delikatnymi dłońmi, z czułością, Roza owinęła maleńkie ciało w białą haftowaną powłoczkę obszytą koronkami, ozdobioną inicjałem rodziców. Mogłaby służyć jako całun. Teraz po prostu zakrywała to niezwykle dziecko przed ludzkim wzrokiem.

- Potem cię umyję - szepnęła, nachylając się nad maleńkim zawiniątkiem, które wyniosła z sypialni.

Jakże dziwnie było znów czuć w ramionach ciężar,

który właściwie nic nie ważył. Wiedziała, że za tym tęskniła. Pragnęła tego, lecz sobie tego odmawiała.

Żal, który teraz czuła, był inny niż żałoba po stracie Synneve. Czuła się jednak niemal tak, jakby to ona była matką tej maleńkiej istotki, której nie dano zaczerpnąć ani jednego haustu powietrza i życia.

Nie doszła jeszcze do kuchni, kiedy usłyszała, że drzwi wejściowe się otwierają, i ulga uderzyła w nią z taką samą mocą jak strach.

... co on sobie pomyśli...

David Warren był zmęczony, dlatego nic go nie ostrzegło, że dzieje się coś niedobrego. Powinien był wyczuć, że w domu jest zbyt ciemno i zdecydowanie za cicho, że w wypełnionych ciszą pokojach coś się czai...

Zesztywniał dopiero, gdy ujrzał ciemną kobiecą postać niczym szaroczarny obraz na tle przyćmionego światła padającego z sypialni. Kobietę z zawiniątkiem w ramionach.

Bez namysłu przyskoczył do niej, wiedząc, że to Roza Samuelsdatter. Rozpoznał ją. Nie rozumiał, dlaczego się do niego nie odzywa. Nie pojmował, dlaczego tak mocno przyciska zawiniątko do piersi, i w ogóle nie mógł pojąć, dlaczego zawinęła dziecko w powłoczkę.

Sięgnął po dziecko, ale Roza pokręciła głową. Jeszcze mocniej przycisnęła maleństwo do siebie, stając w drzwiach tak, by on mógł przejść obok niej.

David czym prędzej wszedł do sypialni. W progu przystanął, nie będąc w stanie nawet wymówić imienia żony. To, co zobaczył, uderzyło w niego niczym gwałtowny podmuch wichury. Jak orkan pojawiający się w zimowy dzień.

- Maggie - zdołał wreszcie wyszeptać i wolnym krokiem wszedł do pokoju.

Margaret leżała na brzuchu i wyglądała na martwą, ale palce Davida odszukały na jej szyi bijący puls. Był bardzo słaby, lecz świadczył, że serce wciąż bije. Margaret żyła.

Zobaczył plamy krwi na prześcieradle i na kołdrze. Widział mokrą, przesiąkniętą krwią koszulę Margaret, włosy w strąkach rozsypane na plecach, pobrudzoną twarz.

Gniew narósł w nim jak góra i z wściekłością wszedł z sypialni. Wprost płonął, lecz zdołał nad sobą zapanować. Zacisnął pięści, mając ochotę krzyczeć, lecz nie mógł straszyć Margaret.

Strach związał się w jego brzuchu w twardy węzeł. Był jak kamień, który może rosnąć, zimny tak, że groził, iż go zamrozi. Co z niej za potwór?

Kogo on wpuścił pod swój dach?

- Coś ty zrobiła z Margaret? - spytał David Warren, płonąc z gniewu i ze strachu.

Złapał Rożę za nadgarstek i wykręcił go tak mocno, iż miała wrażenie, że złamał jej rękę. Zdążyła akurat włożyć kurtkę, żeby wyjść po doktora. Wiedziała, że im prędzej przyjdzie lekarz, tym lepiej dla Margaret.

- Gdzie ty, do diabła, masz zamiar teraz iść? - ciągnął David, nie puszczając Roży. - Gdzie jest dziecko?

Roza zamknęła oczy. Nie mogła mu tego powiedzieć, nie była w stanie na nic go przygotować. Ale przecież musiał to zobaczyć, bo inaczej nigdy nie zrozumie. Miała tylko nadzieję, że David wykaże się dostateczną porcją rozsądku i oszczędzi Margaret, jeśli ona oczywiście przeżyje. On jednak musiał zobaczyć.

Skinęła głową, pokazując na stół. Nie potrafiła położyć tego dziecka gdzie indziej.

Zamknęła oczy i jeszcze raz kiwnęła głową. David nie może zobaczyć, że płacze. Roza nie chciała, żeby ten mężczyzna widział jej łzy.

David puścił ją nagle, jak gdyby go oparzyła. Wystarczyły dwa kroki, żeby zbliżył się do stołu. Rozsunął brzegi powłoczki i Roza usłyszała, że dech zaparło mu w piersiach.

W milczeniu obróciła się i podeszła ku niemu. Stanęła u jego boku przy stole. Brązowe, silne dłonie Davida zacisnęły się na jego krawędzi. Roza widziała, że mężczyzna drży, i pojawiła się w niej czułość dla niego.

Z niezwykłą lekkością dotknęła maleńkiego ciała na stole. Koniuszkami palców pogładziła dwoje maleńkich usteczek, przesunęła po obu noskach, pogładziła dwa zdumiewająco identyczne czoła, dotknęła jedwabistych włosów, czarnych jak noc i lekko kręconych.

Palcem wskazującym powiodła od jednego maleńkiego uszka w dół szyi ku temu, co powinno być barkiem, lecz gdzie zamiast niego znajdowało się jedynie lekkie zagłębienie, z którego wyrastała nowa szyjka, tuż przy tej pierwszej.

Powiodła palcami wzdłuż niej, przez policzek identyczny jak ten, który widniał ponad drugą szyją, pogładziła włosy tak samo miękkie jak na tej drugiej główce.

- *GoodLord*- szepnął David Warren i zamknął oczy.

Kiedy ponownie je otworzył, nic się nie zmieniło. Ujrzał dokładnie to samo. Dziwne maleńkie ciało z dwiema głowami, dwiema rękami i trzema nogami.

Musiał się odwrócić.

Za plecami słyszał spokojne ruchy Rozy. Wiedział, że przykrywała tę martwą... istotę.

- Nie żył już, kiedy się urodził - powiedziała cicho. David kiwnął głową.

Margaret...

Czy ona o tym wiedziała?

- Ktoś musi sprowadzić doktora - stwierdziła Roza. - Tu chodzi o życie Margaret.

David nieprzerwanie kiwał głową, gdy za Rozą zatrzasnęły się drzwi. Stał na środku pokoju z oczyma pełnymi łez, obrócony plecami do tego, co leżało na stole i było jego dzieckiem. Tym dzieckiem, którego i on, i Margaret tak bardzo pragnęli.

„On”. Tak powiedziała Roza. Skąd wiedziała, że to chłopiec?

Niechęć wezbrała w Davidzie wielką falą, lecz musiał się tego dowiedzieć. Wolnym krokiem znów podszedł do stołu. Długo ścisnął rękami twarde kant, zanim jego dłonie uspokoiły się na tyle, by zdołał rozłożyć poszewkę. Roza pięknie ją złożyła. Poświęciła na to czas.

David rozpłakał się, gdy wreszcie zdołał popatrzeć na martwe ciało dziecka. Roza miała rację, mówiąc o nim jak o chłopcu. Sam David czuł, że słuszniejsze mimo wszystko byłoby mówienie o dziecku w liczbie mnogiej.

Były to raczej dwa ciała niż jedno. Do Davida dotarło, że właściwie miało to być dwoje dzieci. Jego dwaj synowie.

Obaj byli podobni do niego. Obaj byli ciemni jak on, mieli jego rysy twarzy. Dwie malusieńkie twarzyczki tak bardzo podobne, że nie dałoby się ich od siebie odróżnić.

Dwie główki i prawie dwa ciała.

- Dobry Boże - szepnął. Udało mu się pogłodzić po-

liczki obydwu. - Dobry Boże, jak coś takiego może się zdarzyć? Dlaczego nam to zrobiłeś? Dlaczego zrobiłeś to Margaret?

Strach wbił mu się szponami w piersi. Prędko zakrył ciało leżące na stole, nie tak pięknie i starannie jak wcześniej zrobiła to Roza, lecz na tyle, by nie było widoczne.

Margaret.

Ostrożnie podniósł jej niemal zupełnie już pozbawione życia ciało i przełożył na tę stronę łóżka, która była prawie nietknięta. Margaret jęknęła, a David w myślach odmówił pospieszną modlitwę w podzięcie za to, że przynajmniej jeszcze żyje. Potem zgarnął zakrwawioną pościel. Wyjął dwa czyste prześcieradła i rozłożył je na materacu. Za późno spostrzegł, że również na nim widniały plamy krwi, która powoli prześląkła na świeże prześcieradło.

David nie miał pojęcia, co dalej robić. Okrył tylko Margaret drugim prześcieradłem i przytulił ją do siebie. Usiadł oparty o wezgi łóżka i gładził żonę po włosach.

W jednej chwili uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha. Nie może utracić również jej.

10

- Połóż się jej na brzuchu tuż pod żebrami i użyj całego swojego ciężaru, naciskając i przesuając się jednocześnie w dół - tłumaczył lekarz, przytrzymując Rozę wzrokiem w czasie, gdy mówił, żeby zyskać pewność, że zrozumiała.

Roza w milczeniu kiwnęła głową.

- Czy to konieczne? - spytał David Warren, spocyny i blade. Podwinął rękawy koszuli i ściągnął fular, który nosił na szyi. Odpiął także kołnierzyk i rozpiął górne guziki koszuli. Włosy rozwichrzyły mu się na wszystkie strony, bo mierzwił je już nie wiadomo ile razy spoconymi dłońmi.

- Owszem, konieczne - odparł doktor, który stał odwrócony do niego plecami, i nakazał Rozie: - Zaczynaj!

Roza zrobiła tak, jak jej wyjaśnił. Całym swoim ciężarem zaczęła przesuwać się od miejsca tuż pod piersiami Margaret w dół. Dodała do tej czynności jeszcze coś swojego. Coś, o czym lekarz nie mógł wiedzieć.

- *Christ!* - wykrzyknął David wzburzony. - Czy wy ją chcecie zabić?

- Musimy wydostać łożysko - odparł lekarz ostro, nie odwracając się nawet do zrozpaczonego męża. Surowy ton jego głosu przywoływał Davida do porządku.

- Nie wiem, czy pan rozumie powagę sytuacji, inżynierze Warren! Tu chodzi o życie pańskiej żony!

David milczał, lecz nie przestawał nerwowym krokiem chodzić tam i z powrotem po sypialni, w której było na to i tak mało miejsca. Jego zdaniem doktor i Roza postępowali ze zbędną brutalnością, nie pojmował, jak mogą być tak okrutni wobec Margaret. Wyglądało to, jakby raczej starali się pozbawić ją życia, niż je ratować.

- Może takie czynności działają dobrze na wieśniaczki z gór - stwierdził - ale nigdy nie słyszałem, żeby u nas, w Anglii, ktokolwiek tak postępował z rodzącymi.

- Dzisiaj zdarzyło się wiele rzeczy, o których nigdy pan nie słyszał - odparł lekarz krótko i nakazał Rozie ponowić próbę.

David widział jedynie, że Margaret wciąż krwawi, i wiedział, że jeśli oni nie przestaną tak brutalnie traktować jego żony, to jeszcze mała chwila, a rzuci się na doktora z pięściami i nie będzie miało znaczenia, co powie na to kierownictwo kopalni. Czuł, że prawo jest po jego stronie.

- Wychodzi! - zawołał lekarz, a w jego głosie dała się słyszeć ulga. Miał już przygotowane naczynie na przyjęcie sinoczerwonej masy, która została wypchnięta z ciała Margaret.

David odwrócił się, czując, że coś nagle wystrzeliło mu z żołądka i zatrzymało się w ustach. Przełknął to, a z oczu trysnęły mu łzy. W ustach miał paskudny smak, lecz zdołał przynajmniej powstrzymać wymioty.

- Co pan teraz będzie robił? - spytał doktora.

- Będę szył - odparł lekarz. - Ma pan w domu jakiś alkohol, Davidzie?

Inżynier potwierdził.

- Proszę go przynieść - polecił doktor.

David usłuchał. Przyniósł koniak i podał go doktorowi. Lekarz jednak machnięciem ręki kazał mu się odsunąć.

- Niech pan wypije kilka porządnych łyków, Davi-
dzie - poprosił. - Tyle żeby odzyskać spokój, a potem
niech pan odda butelkę Rozie.

Wbił oczy w dziewczynę z Krety. Roza zachowywa-
ła się nadspodziewanie spokojnie. Niebieskie oczy pło-
nęły, zauważył lekarz, lecz przynajmniej na razie
dziewczyna nie traciła głowy.

- Jeśli pani się obudzi, to ufam, że zdołasz wlać jej
do ust kilka łyżeczek koniaku. Muszę ją pozszywać.
Nie wiem, czy do tego czasu nie oprzytomnieje. Mu-
sisz ją trzymać i wlać w nią koniak, jeśli to będzie ko-
nieczne, rozumiesz?

Roza z powagą kiwnęła głową. Patrzyła, jak David
Warren pije prosto z butelki. Wlewał w siebie złocisty
płyn, jakby to była woda, a gdy go przełykał, z oczu
trysnęły mu łzy. W końcu zakorkował butelkę i podał
ją Rozie. Ręka mu się trzęsła jak z zimna, ale wyglądał
teraz na choć odrobinę spokojniejszego.

- Czy ona będzie żyła? - spytał lekarza.

- Nie wiem - odparł doktor. - Proszę przytrzymać
ją od drugiej strony. Jeśli zacznie kopać, to będzie pan
odpowiedzialny za unieruchomienie jej nóg.

David kiwnął głową i zajął miejsce u wezgłowia łóż-
ka. Trzymał Margaret w ramionach, tak że obecność
Rozy stała się właściwie niepotrzebna. To jednak Ro-
zie było obojętne. Czekwała spokojnie po drugiej stro-
nie w gotowości, z butelką koniaku w ręku.

- Prawdopodobnie Roza Samuelsdatter uratowała
życie pańskiej żony - stwierdził dużo później lekarz.

Stali w kuchni wszyscy troje. Lekarz, Roza i David
Warren. Wszyscy zmęczeni i smutni, lecz przynajmniej

na razie wyglądało na to, że Margaret jakoś przeżyje.

Martwe ciało dziecka owinięte w poszewkę wciąż leżało na środku stołu. David prawie nie miał siły na nie patrzeć. Musiał odwracać się plecami, bez względu na to, w jakim miejscu w pokoju się znalazł.

- To naprawdę niezwykle, że udało ci się wyciągnąć z niej to... ciało - zwrócił się do Rozy lekarz i rozsunął na boki cienkie, delikatne płótno, pragnąc jeszcze raz przyjrzeć się martwej istotce. Serce uderzyło mu mocniej kilka razy, lecz miał świadomość, że z nikim nie będzie mógł o tym rozmawiać. Prawda dotycząca tego, co się tu stało, nie powinna wyjść poza ściany tego domu.

- Masz jakieś doświadczenie w porodach? - spytał.

Roza pokręciła głową.

- Raz rodziłam - odparła krótko. - Po prostu zrobiłam to, co musiałam. Ona sama walczyła. Była bardzo dzielna.

David wsłuchiwał się w jej słowa. Nabrał szacunku dla Rozy za to, że nie próbowała nic upiększać. Nie chciał, aby inni ludzie dowiedzieli się, co się naprawdę tu działo.

- Najprawdopodobniej szczęście jej sprzyjało - stwierdził lekarz z westchnieniem. Wciąż nie bardzo mieściło mu się w głowie, jakim sposobem ten poród mógł się tak skończyć. - Ona właściwie powinna wykrwawić się na śmierć - dodał tylko.

David cały aż skurczył się w sobie, lecz lekarz najwyraźniej nie zaliczał się do osób szczególnie delikatnych.

- Coś po drodze musiało pójść nie tak - oświadczył doktor, nie odrywając wzroku od dwóch ciał, które zrosły się w jedno. - Dobry Bóg w swej mądrości zabrał to... to dziecko do siebie, do swego domu. Powinien pan

się z tego cieszyć, Davidzie, i dziękować temu samemu Bogu za to, że pozwolił Rozie Samuelsdatter zjawić się tu akurat w chwili, gdy pańska żona potrzebowała kogoś u swego boku. Dzięki temu, że ta młoda kobieta nie straciła głowy i zrobiła to, z czym niewielu lekarzy zdołałoby sobie poradzić, pańska żona jeszcze żyje.

David spuścił głowę.

Roza czym prędzej zrobiła krok do przodu i zawięła poszewkę, okrywając nią zwłoki noworodka. Z powagą spoglądała na lekarza. Mówiła jakby do niego, patrząc uważnie szeroko otwartymi oczami.

- Według mnie to dziecko powinno zostawić się w spokoju - oświadczyła cicho. - Zajmę się nim. Będzie miał trumnę i grób. A pani nie będzie musiała go oglądać.

Doktor z namysłem pokiwał głową.

- Margaret nie powinna się o tym dowiedzieć - stwierdził, odszukując wzrok Davida.

Inżynier przytaknął.

- Co pan sobie o mnie myśli? Sądzi pan, że mógłbym ją aż tak zranić?

Zaczerpnął tchu i przeniósł spojrzenie z doktora na Rozę.

- Wieść o tym, co się stało, nie może wyjść poza ściany tego domu. Nie wolno wspomnieć o tym nigdy, przenigdy, ani słowem. Ona nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy. Powiemy jej, że dziecko urodziło się martwe. Dowie się, że to był chłopiec, lecz przenigdy nie może poznać całej prawdy. To by jej odebrało życie...

Lekarz w milczeniu skinął głową.

Roza nie musiała nawet potakiwać. Odpowiedź dało się wyczytać w niebieskim ogniu jej spojrzenia. Oczy

jarzyły jej się niemal takim samym żarem jak piwne, ciemne oczy Davida.

- Sprawa dziecka pozostanie tajemnicą - obiecał lekarz.

Zabrał Davida do przyległego pokoju, aby Roza w tym czasie mogła spokojnie umyć i oporządzić zmarłe maleństwo. David nie musiał na to patrzeć.

Lekarz otworzył butelkę z koniakiem, którą zabrał z sypialni. Nalał alkoholu na kilka szerokości palca do dwóch kieliszków i podał jeden Davidowi. Wypili w milczeniu. David stał z twarzą zwróconą w stronę okna, wychodzącego na fiord. W pokoju było ciemno, lecz mimo wszystko dostrzegął całkiem sporo fragmentów otaczającego świata.

- Co z kolejnymi dziećmi? - spytał zachrypniętym głosem. - Czy ona będzie w stanie donosić więcej dzieci?

- Nie wiem - odparł lekarz szczerze. Zważył kieliszek w dłoni i wypił ostatnie krople. Paliły w gardle.

- Chyba niemożliwe, aby coś takiego się powtórzyło, prawda? - padło zadane zduszonym głosem pytanie Davida. - To niemożliwe, żeby urodziło się jeszcze jedno dziecko takie jak tamto...

- Nie mieści mi się to w głowie - stwierdził lekarz. - Nigdy wcześniej się z czymś podobnym nie zetknąłem. Owszem, słyszałem to i owo, lecz nigdy nie wierzyłem, że to tak naprawdę możliwe. Sądziłem, że ludzie wymyślają podobne historie, żeby przyciągnąć uwagę innych. Nie sądziłem, że kiedykolwiek dane mi będzie ujrzeć takie zjawisko na własne oczy...

Davida to wyznanie niewiele pocieszyło.

- Czy z nią coś jest nie w porządku, doktorze? Jak to się mogło stać?

- Nie wiem - powtórzył lekarz. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Margaret sprawiała wrażenie zdrowej, młodej kobiety. Gdy tu przyjechała, nie wyglądała na to, by jej cokolwiek dolegało. Przecież kobiety cały czas rodzą dzieci. Codziennie gdzieś przychodzi na świat dziecko i w większości są to zwyczajne dzieci. Ni mniej, ni więcej. Czasami jednak rzeczy takie jak ta mogą się zdarzyć i nie ma dla nich również żadnego wytłumaczenia.

Westchnął.

- Czy pan próbuje powiedzieć, że ona nie powinna mieć więcej dzieci? - naciskał David. Domagał się prawdy. Chciał usłyszeć ją z ust lekarza, by wiedzieć, jak ma się do tego wszystkiego ustosunkować.

- Bez względu na to, co powiem - stwierdził doktor - to i tak mogę się mylić. Ten poród był dla niej bardzo ciężki. Poranił ją, Davidzie. Nie wiem, jak bardzo. Tego, że nie powinna mieć potomstwa w ciągu najbliższego roku, jestem najzupełniej pewien. I to ze względu na was oboje. Dla jej dobra i dla pańskiego. A później? Nie wiem. Nikt nie może obiecać drugiemu człowiekowi zdrowych, kształtnych dzieci. Taka obietnica nie leży w ludzkiej mocy, Davidzie.

David Warren kiwnął głową. Odpowiedź nie była tak jasna, jak tego pragnął, lecz przynajmniej zrozumiał, że raczej nie powinien liczyć na tego syna, którego i on, i Margaret tak sobie wymarzyli.

- Ona to przyjmie bardzo ciężko - rzekł tylko.

- Jestem już gotowa - rozległ się głos Rozy, stojącej w drzwiach. Nie wiadomo było, ile usłyszała z tej rozmowy pomiędzy dwoma mężczyznami. Jej spojrzenie niczego nie zdradzało.

- Dziecku potrzebna będzie trumna - stwierdził lekarz. - Uważam, że sam nie powinien jej pan zbijać, Davidzie. Margaret pana potrzebuje. Ja wprawdzie zostanę tu na noc, lecz uważam, że pan także nie powinien jej opuszczać.

Doktor zwrócił się do Rozy.

- Może ty znasz kogoś, komu można by powierzyć takie zadanie? Zbicie trumny dla dziecka jeszcze przed nastaniem poranka...

Roza kiwnęła głową.

- On nie będzie w stanie tego zrobić - mruknął David Warren, zagradzając Rozie drogę do drzwi. W spojrzeniu, które jej posłał, dał się zauważyć jakiś dziwny błysk.

- Puść mnie! - poprosiła Roza, nie podnosząc głosu. - Twój syn musi mieć trumnę. Może powinieneś pomyśleć o jakimś imieniu dla niego, zanim z nią wrócimy.

David pokręcił głową.

- On umarł, jeszcze zanim się narodził. Nie mogę nadawać imienia nieżywemu dziecku.

- Zrób to dla Margaret - poprosiła Roza Samuelsdatter ściszym głosem, kładąc Davidowi drobną rękę na ramieniu.

- Znajdź jakieś imię. Wymyśl jakieś dwa imiona. Po jednym dla każdego. I zrób to z miłością. Bardzo cię o to proszę.

Długo na siebie patrzyli. Oboje byli tak poważni, że wyglądali niemal na rozgniewanych. Wreszcie David spuścił ciemną głowę i ustąpił.

- Thomas Malcolm - powiedział z westchnieniem. - To imię mojego ojca i ojca Margaret.

Wyprostował się i popatrzył Rozie prosto w oczy.

- Czy to ci wystarczy?

Roza potaknęła, a w spojrzeniu, jakim go obrzuciła, pojawiło się coś w rodzaju uznania.

- To wystarczy temu małemu - odparła. - Jak wrócić, polejesz im główki wodą i nadasz te dwa imiona.

Nie potrafiła opanować drżenia, lecz była zdecydowana.

- To wbrew temu, co mówią pastorowie - przyznała cicho - lecz ja nie wierzę, żeby Pan Bóg był przeciwny przyjęciu tego małego do siebie, choć poświęcamy mu go dopiero po jego śmierci. Ten stwórca, w którego ja wierzę, nie jest aż tak bardzo małostkowy. - Nabrała powietrza: - Jedynie my wiemy, że umarł, jeszcze nim został ochrzczony, a nie pierwszy raz się zdarza, że ojciec musi ochrzcić swoje dziecko tuż po urodzeniu...

Roza zawiesiła głos.

David wolno pokręcił głową.

- Nie - zaprotestował. - Na to się nie zgadzam. Dostaną imiona, którymi będzie można ich... czy też jego nazywać, lecz na to drugie zgodzić się nie mogę. Nie mogę dopuścić się takiego kłamstwa. Nawet z uwagi na dobro Margaret, a właściwie przede wszystkim z uwagi na nią. Będzie grób - powiedział zdecydowanie - lecz nie umiałbym chodzić i prosić o pochowanie go w poświęconej ziemi, wiedząc, że nie to było mu pisane. Przecież wiem, jaka jest prawda. Nie mogę tego zrobić.

Roza nie naciskała. Nie powiedziała, co o tym wszystkim myśli.

- Tak tylko sobie pomyślałam - rzekła cicho, a David ustąpił jej z drogi i otworzył drzwi.

- Wrócisz? - spytał.

Jego oczy patrzyły błagalnie.

- Przyjęłam go na świat - powiedziała Roza po pro-

stu. - Chcę być przy tym, jak będą go wkładać do trumny. Uważam, że mam do tego prawo.

David kiwnął głową na widok uśmiechu, który przemknął jej po twarzy. W ciemności widział jedynie gładką jej stronę. Stała tak, by drugi policzek nikał w cieniach.

- Nie mów mu nic o... dziecku!

- Obiecałam ci, że będę milczeć, prawda?

Z tymi słowami zniknęła w wieczornym mroku, kierując się nad fiord.

David przekręcił klucz w zamku i przeszedł przez swój pograżony w półmroku dom. U Margaret też przykręcił światło najbardziej jak tylko się dało. Kiedy się obudzi, nie będzie zdolna wyczytać na jego twarzy kłamstwa.

- Stać go było, żeby cię wreszcie puścić? - spytał kwaśno Mattias, kiedy Roza wreszcie pojawiła się z powrotem w Samuelsborg.

Podniósł się z wysiłkiem z krzesła przy piecu i wolnym krokiem ruszył w jej stronę. Nie mógł iść szybciej, od gwałtownych ruchów pękały strupy, zaczynało się z nich sączyć i piekło niemiłosiernie.

Ujął Rozę pod brodę i podniósł jej twarz tak, że ich spojrzenia się spotkały.

- Dawno już nie widziałem, żebyś tak posłusznie biegała za mężczyzną, Rozo - stwierdził z namysłem, ani trochę nie przejmując się tym, że Tomas zmieszany siedzi za stołem i stara się niczego nie widzieć ani nie słyszeć. Wszelkie jednak starania z jego strony były próżne.

- Tomas zajął się obrządkiem w oborze. Przychodzisz za późno, żeby zająć się zwierzętami. Nie wiedziałem,

czy w ogóle masz zamiar wrócić dziś w nocy do domu, dlatego poprosiłem, żeby to za ciebie zrobił. Tomas pomógł mi też zająć się twoim ojcem. Ty tak łatwo zapominasz, Rozo, kiedy ogarną cię uczucia, które widać jak na dłoni. Tak łatwo zapominasz o wszystkim, kiedy krew zaczyna ci wrzeć w żyłach. A widziałem, że na jego widok jakby oblał cię war, oczy rozbłyły ci jak gwiazdy. Co on takiego w sobie ma, ten inżynier Warren, co zatrzymuje cię u niego przez cały dzień i pół nocy?

Roza wyrwała się z jego uścisku.

- Ma dziecko, które urodziło się martwe. I żonę, która być może nie przetrzyma nocy. Oto, co on ma! Ale ty być może nie jesteś z tych, którzy potrafią takie rzeczy zrozumieć. Sam nigdy nie miałeś ani żony, ani dzieci. Ty masz tylko samego siebie, Mattias, i piekielnie jesteś z tego dumny, prawda? Musisz się troszczyć wyłącznie o siebie.

Zrzuciła kurtkę i teraz obaj, zarówno Mattias, jak i Tomas zobaczyli plamy krwi na jej ubraniu. Roza, odwróciwszy się do nich plecami, zaczęła się rozbierać. Zdejmowała rzecz po rzeczy, a ubranie rzucała na podłogę tam, gdzie stała.

W samym rozpiętym do połowy staniku i halce przykucnęła przy skrzyni z odzieżą i wyjęła coś czystego na zmianę. Ręce jej drżały, lecz wcale nie z zimna.

W izbie było bardzo gorąco. Mattias nie miał nic innego do roboty, niż podtrzymywać ogień, a Tomas napędził mu skrzynię drewnem. Było więc czym palić.

- To ja przyjmę dziecko - oznajmiła Roza.

Mówiła w gniewie i ani Mattias, ani Tomas nie ośmielili się do niej zbliżyć. Już samym ruchem głowy Roza pokazała im, że powinni trzymać się z daleka.

- To ona po mnie poszła, prawda, Mattiasie? Słyszą-

łeś, jak mi o tym mówił, czyż nie? Posłała po mnie, ponieważ mnie potrzebowała. Byłam z nią sama, nie mogłam od niej odejść. Ten poród był prawdziwym piekłem, a maleństwo... umarło.

W izbie zapadła cisza.

Roza wciągała wełniane pończochy. Włożyła przez głowę niedzielną bluzkę i zapięła ją aż pod brodę. Potem nasunęła spódnicę, którą nosiła tylko do kościoła, zapięła w pasie i przekręciła, żeby fałdy dobrze się układały. Dopiero wtedy zdjęła poplamioną halkę i pod spódnicą włożyła czystą.

Nie patrząc na mężczyzn, przyciągnęła wiadro z wodą pod ścianę i wepchnęła do zimnej wody zakrwawioną garderobę. Sztuka po sztuce.

- Nic nie mogłam zrobić - oświadczyła, wciąż nie poświęcając im nawet jednego spojrzenia. - Niektóre dzieci nie powinny się rodzić - dodała.

Powiedziała to w taki sposób, że zarówno po plecach Mattiasa, jak i Tomasa przemknął zimny dreszcz.

- Chyba tam nie wracasz? - spytał Mattias.

- Maleństwo potrzebuje trumny - rzekła krótko, nie odpowiadając na zadane jej pytanie. Celowo unikała odpowiedzi wprost.

- Z jej zbiciem musi własnoręcznie poradzić sobie ojciec - oświadczył Mattias twardo. - Czy on może nie jest inżynierem? Ale może jest za elegancki do takich rzeczy?

Patrzył na Rozę z pogardą.

- Nie pojmuję, jak możesz przychodzić tutaj i prosić, żebym to zrobił - powiedział. - Nie rozumiem, jak możesz być taka zimna, Rozo. Ale twoje zachowanie mówi mi to, co powinienem wiedzieć. Mówi mi, jaka jesteś, i cieszę się, że pozwalasz, abym to zrozumiał.

Nie będę musiał cię wypytywać. Nie będę musiał mieć wyrzutów sumienia z twojego powodu.

Mattias wszedł do alkierza i starannie zamknął za sobą drzwi, chociaż nimi nie trzasnął. Zrobił to przez wzgląd na Samuela.

- On jest zazdrosny - stwierdził Tomas cicho, przytrzymując Rozę wzrokiem.

Roza westchnęła i podeszła do Tomasa. Usiadła przy nim na ławie, wtuliła policzek w jego ramię i pozwoliła mu objąć się za ramiona.

Ich bliskość nie mogła być groźna.

- Czy on ma powody do zazdrości? - Tomas rzucił pytanie w przestrzeń.

- Nie - odparła Roza.

Wierzyła, że nie kłamie. To, co drgało w powietrzu pomiędzy nią a inżynierem Warrenem, nie dało się wytłumaczyć, lecz nie było to nic, co zaowocuje spełnieniem. Nigdy nie przybierze żadnej postaci.

... po prostu jest...

- Czym jest dla ciebie Mattias? - spytał Tomas.

- Nie wiem - wyznała Roza. I tym razem wiedziała już na pewno, że jest szczerą.

- Zdaje mi się, że on wie, że ty tego nie wiesz - stwierdził Tomas cicho. - I to bardzo go boli. Bo Mattias cię kocha, mały ptaszku.

- Wiem o tym - odparła Roza ciężko. - Wiem. Ale nigdy go o to nie prosiłam.

- I nigdy go nie zachęcałaś? - uśmiechnął się Tomas ostrożnie i odgarnął jej kosmyk włosów z czoła.

Przez chwilę milczeli razem. W końcu Tomas podniósł się i popatrzył Rozie prosto w oczy. Spytał:

- Gdzie trzymacie piłę i młotek?

11

- Nie chcę, żebyś wchodził do środka - powiedziała Roza do Tomasa. Tomas niósł maleńką trumnę przez całą drogę z Samuelsborg. Noc była już tak późna, że nigdzie nie kręcili się żadni porządni ludzie.

- Mogę tu zaczekać - zaofiarował się, nie pytając, dlaczego nie może wejść. Jeśli, zdaniem Rozy, powinien znać przyczynę takiego postępowania, to i tak by mu ją wyjawiała. Tomas nie przejmował się już tym, co niewypowiedziane.

- Nie, wracaj do domu.

- A ty wrócisz? - spytał.

- Wydaje mi się, że tak.

Nie kłamali sobie. Nie wypowiadali kłamstw na głos. Zdarzało się jednak, że to czy tamto przemilczeli.

Tomas pogładził ją przelotnie po nierównym policzku i postawił trumienkę na schodach u stóp Rozy. Nic nie powiedział na pożegnanie.

Roza czekała, aż Lapończyk zniknie w okolicach Kopalni, aż do chwili, gdy nie zdołała już dojrzeć zarysu jego postaci, a potem odczekała jeszcze trochę i dopiero wtedy zastukała do drzwi. Upłynęła dobra chwila, zanim klucz obrócił się w zamku i w drzwiach stanął David Warren i podniósł trumnę.

- A więc ją zbił - powiedział krótko, trzymając trumnę nieco z dala od ciała i przyglądając się jej zmrużo-

nymi oczyma. Trumna zbita była z nieheblowanych desek, lecz pięknie ze sobą połączonych. Nie dało się dostrzec pomiędzy nimi żadnych szpar. Była równiutka i szczelna, a rogi miała wyglądzone.

Roza nie widziała powodu, żeby informować Davida Warrena o tym, iż to wcale nie Mattias zbił tę małą trumienkę. Wciąż jeszcze odrobinę trzymała stronę Mattiasa. Ciągle jeszcze nie chciała, by ktokolwiek źle o nim pomyślał.

- On cię musi kochać - dodał David.

Nie pytał, czy Roza przyniosła trumnę sama tu aż z Krety. Sprawiał wrażenie, jakby nie poświęcił tej sprawie ani jednej myśli. Po prostu przyjął trumnę, a teraz ustawił ją na krześle przy kuchennym stole.

- Uważam, że powinieneś wyłożyć ją prześcieradłem - powiedziała Roza.

David Warren popatrzył na nią, lecz się nie sprzeciwiał. Z sypialni wyszedł lekarz, wyraźnie dotarła do niego ich krótka wymiana zdań. Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, słysząc upór w głosie Rozy Samuelsdatter. Nie potrafił uwierzyć we wszystko, co o niej mówiono. Nie było w niej nic złego.

David przyniósł prześcieradło. Roza najpierw je rozłożyła, a potem złożyła tak, by rozmiarem pasowało do prostej drewnianej skrzynki. I David natychmiast spostrzegł, że Roza miała rację. Z prześcieradłem trumna od razu wyglądała lepiej. Stała się jakby bardziej godna.

- Zrobiłeś to? - spytała.

- Co?

- Polałeś im główki wodą i nadałeś imiona?

David nabrał powietrza i kiwnął głową. Oczy mu się zwężyły, a wargi mocno zacisnęły.

- Musiałem być wtedy sam - przyznał. - Ale zrobiłem to. Dla Margaret.

Roza uwierzyła mu bez dalszego dopytywania się. Miała wrażenie, że inżynier Warren nie będzie w stanie jej okłamać. W jakiś dziwny sposób łączyło się to z owym napięciem istniejącym między nimi. Patrzyła, jak inżynier wkłada maleńkie zawiniątko w złożonej poszewce do trumny zbitej przez Tomasa.

- Chcesz... go zobaczyć?

Roza kiwnęła głową, rozsunęła brzegi poszewki. Delikatnie dotknęła koronek. Ucieszył ją widok zarówno wyszukanych liter, jak i girland. Dobrze, że to dziecko będzie miało przy sobie coś pięknego. Dobrze też, że Margaret haftowała powłoczkę własnymi rękami, dzięki temu również ona w pewien sposób towarzyszyła dziecku.

Delikatnie pogładziła koniuszkami palców maleńkie twarzyczki. Nie chciała oszukiwać samej siebie, dlatego całkiem rozłożyła płótno, a nie tylko na tyle, żeby widzieć dwie główki.

- Już nigdy więcej nie zobaczysz nikogo takiego jak on - powiedział David cicho.

- On jest piękny - oświadczyła Roza. - Podobny do ciebie.

David spojrział na nią badawczo, lecz wyglądało na to, że Roza nie zdawała sobie sprawy z tego, co powiedziała. David ukrył słowa Rozy głęboko w sercu.

- Zegnaj, *baby bird* - rzekła Roza z czułością i otuliła to dziwne ciało rąbkami powłoczki.

David zerknął na nią, lecz niczego mu nie tłumaczyła. Tak jakby jego to nie dotyczyło. Może było inaczej. Domyślał się, że to Margaret musiała coś powiedzieć. O ile dobrze wiedział, Roza Samuelsdatter nie mówiła

po angielsku. Wzruszające, że zdołała zapamiętać te słowa.

Roza tyle w sobie miała...

David ujął trumnę w ręce i spytał Rozę krótko, czy zechce mu potrzymać lampę.

- Nie mogę przybić wieka tutaj - dodał prędko, wskazując spojrzeniem na sypialnię.

Roza poszła za nim z lampą w rękę. Nie starała się w żaden sposób wypełnić ciszy. Dobrze to zrobiło jego bolejącej duszy.

Użył ze dwudziestu gwoździ. Wbijał je gęsto, jeden przy drugim, w gniewie. Ból nieco zelżał, znajdując ujście, kiedy David w szopie przybijał wieko do trumny swego dziecka.

Roza dalej trzymała lampę, nawet kiedy skończył i odłożył młotek. Musiał teraz przysiąść na skrzyni z narzędziami. Trumna stała na ziemi i wyglądała na całkiem zwyczajną skrzyneczkę.

- Nigdy nie sięgałem myślą aż tak daleko - wyznał. - Nigdy nie rozpatrywałem takiej możliwości, iż przyjdzie mi pochować własne dziecko. Czy ty masz pojęcie, jakie to uczucie? - spytał zachrypniętym głosem.

- Owszem - odparła Roza. Lampa nawet nie drgnęła jej w dłoni. - Ja też pochowałam rodzone dziecko.

Wtedy David przypomniał sobie, co słyszał, i na policzki wystąpił mu rumieniec. Mówiły o tym plotki, które po wysłuchaniu wyrzucił z pamięci.

- To boli - powiedziała Roza, jak gdyby nie miało dla niej żadnego znaczenia, czy on o tym pamięta, czy nie.

- To boli - powtórzył David jakby echem jej słów.

Roza wiedziała, jak on musi się teraz czuć. Dobrze nie musieć niczego wyjaśniać. On nigdy, przenigdy nie

wytłumaczy tego nikomu. Ludzie albo takie rzeczy rozumieją, albo też nie potrafią pojąć.

- Musisz zostać - powiedział.

Wtedy Roza odstawiła lampę. Rzucała wielki krąg światła na podłogę, ale wyżej zrobiło się ciemniej. Nie byli już w stanie rozpoznać nawzajem wyrazu swoich twarzy. David widział białka oczu Rozy, a gdyby otworzyła usta, dostrzegłby zęby. Wiedział, że ona w jego twarzy rozróżnia to samo. Poza tym miał na sobie białą koszulę, ona była ubrana całkiem na czarno, lecz gładka strona jej twarzy jaśniała jak śmietana. Można było odnieść wrażenie, że od Rozy bije żar. W ciemności stała się łagodnym jaśniejszym cieniem.

- Nie - powiedziała Roza.

David kiwnął głową. Wsunął ręce do kieszeni spodni, bo nie chciał w żaden sposób postąpić nieprzyzwoicie. A nieprzyzwoitością byłoby objęcie jej ramionami i zanurzenie dłoni w burzy rudych włosów. Upięła je ciasno, kiedy była w domu w Krecie, lecz David dostatecznie dobrze już zdążył poznać się na fryzurach, żeby wiedzieć, które szpilki trzeba wyciągnąć najpierw. Wiedział, że jest w stanie sprawić, aby jej rude loki popłynęły jak wodospad. A gdyby jego wargi już je musnęły, byłby to pierwszy krok na drodze ku zatraceniu.

Wcale tego nie chciał.

- Kocham Margaret - oznajmił.

Z zewnątrz wyglądało to na szaleństwo. Żaden z jego znajomych nie rozmawiał głośno o swych uczuciach do żony z taką kobietą jak Roza. Ona wszak nie należała nawet do grona służących. Nie była ani przyjaciółką, ani podwładną.

David nie wiedział, kim była. Wiedział jedynie, że

Roza jest jednym z dwojga ludzi, z którymi dzielił największą tajemnicę swego życia.

- Ona cię będzie potrzebowała - oświadczyła Roza.

Nie potrafiła się przemóc, żeby powiedzieć, iż Margaret będzie potrzebowała jego miłości. To nie było słowo, którego mogła użyć przy mężczyźnie. Zwłaszcza przy takim mężczyźnie jak on.

Nie mogłaby tego powiedzieć również Mattiasowi...

- Ja mam swoją pracę - wyjaśnił David. - Nie mogę być stale przy Margaret, a ona nie może zostać sama. Tak cię proszę. Nie potrafię sobie wyobrazić innej osoby, na której obecność by się zgodziła...

Roza wycofała się poza krąg światła. Nawet krajem spódnicy nie zawadzała już o to niewielkie kółko. Obróciła się do Davida plecami, lecz wciąż czuła jego obecność, chociaż go nie widziała. To było takie dziwne. Coś takiego nie zdarzyło się od czasów Jensa.

- Muszę się zająć ojcem.

David zauważył, że nie wymieniła imienia Mattiasa. Nie chciał sam sobie tłumaczyć, dlaczego go to ucieszyło. Nie miał teraz prawa do żadnego zadowolenia. Na takie uczucie nie ma miejsca w sercu człowieka, który właśnie stracił dziecko. Do takiego uczucia nie mógł się przyznać.

- Maggie kogoś potrzebuje.

Wiedział, że naciska Rozę, lecz nie wstydził się nawet przez sekundę. Chciał utrudnić jej odmowę najbarziej, jak tylko zdoła.

- Maggie nie ma nikogo oprócz mnie - dodał prędko. - A ciebie lubi. Byłaś przy niej podczas porodu. Tak czy owak będzie chciała z tobą rozmawiać. Będzie chciała dowiedzieć się o wszystkim, co się stało...

Westchnął.

- Ja ją znam, rozumiesz, Rozo?

Uśmiechnęła się w ciemność i chłód. On to znów powiedział. Wymówił jej imię w taki sposób, że Roza stała się kimś innym. Stawała się jedną z nich. Nie była już Rozą. Była *Reuz-q*.

- Margaret będzie się domagała opowiedzenia jej wszystkiego, co zaszło. Minuta po minucie. Wczepi się w ciebie i nie puści, dopóki nie opowiesz jej wszystkiego...

Umilkł na chwilę, zrobił przerwę, a jego spojrzenie omiotło trumnę z surowych desek, która ich rozdzielała.

- Będziesz musiała to zrobić. Sprowadzę cię choćby siłą, jeśli to się okaże konieczne. I zaprowadzę cię do niej. Przywiążę cię do krzesła, jeśli nie zechcesz zostać. I będziesz musiała jej opowiedzieć, jak to było. Wszystko, czego sama nie będzie pamiętała, opowiesz jej, aż w końcu w to uwierzy. Aż zacznie sądzić, że to jej własne wspomnienie.

W zimnej szpie zapadła ogromna cisza.

- Proszę cię o to, byś kłamała - podjął inżynier Warren. - Dla jej dobra. Dla dobra Daisy, proszę cię o to, byś opowiedziała największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek wyjdzie z twoich ust. Błagam cię o to, Rozo!

David Warren nigdy nie zrozumie, dlaczego Roza uśmiechała się z takim zatraceniem za każdym razem, gdy wypowiadał jej imię.

- Nie chcę być twoją służącą - oświadczyła drżącym głosem i przez moment patrzyli na siebie. Pomiędzy nieszczelnymi ścianami zrobiło się nagle duszno. Później żadne z nich miało się do tego nie przyznać, lecz

przez tę jedną małą sekundę rozumieli się nawzajem aż po dno swoich dusz.

- Przecież wcale nie o to cię proszę! *Forheaven's sake!*

- Dziś w nocy wrócę do siebie - oświadczyła Roza, a w każdej wypowiedzianej przez nią sylabie pobrzmiewała godność. - I przyjdę, gdy ona po mnie pośle. Ona, nie ty.

Większość pozostała niedopowiedziana, lecz Roza Samuelsdatter i David Warren i tak rozumieli się do głębi.

- Odprowadzę cię do domu - powiedział i podniósł lampę z podłogi.

Nagle dookoła zapanowała przenikliwa jasność. David uniósł lampę na wysokość własnej twarzy, zabarwił ją złocistym, migoczącym, żywym wieńcem światła.

Ale David widział tylko Rozę.

Miała na karku ciężki węzeł włosów. Davidowi nie mieściło się w głowie, jak ktokolwiek jest w stanie utrzymać taką obfitość włosów pod kontrolą jedynie za pomocą kilku szpilek. Powinien to zrozumieć, wszak utrzymywał się ze znajomości praw fizyki, lecz gdy chodziło o włosy Rozy, pozostawał nieświadom jak dziecko.

Roza była ruda, biała i czarna.

Czarną miała spódnicę i bluzkę. Jak większość pospólstwa eleganckie ubrania miała czarne. Ci ludzie pobierali się w czerni, w czerni chodzili do kościoła i chowano ich w tych samych czarnych najlepszych ubraniach.

Włosy miała jak ogień. W przypadku każdej innej rudowłosej osoby opis ten byłby w połowie nieprawdziwy, ale Roza miała włosy jak ogień. David Warren wiedział, że nigdy nie będzie mu dane oglądać podobnych i palce wprost go świerzbiały, by dotknąć tych jedwabistych nitek. Wiedział, że pewnego dnia to się spełni.

I tylko ta świadomość pozwalała mu w tej chwili panować nad dłońmi.

A nieuszkodzona część jej twarzy była piękna. Roza nie miała piegów jak większość innych osób o rudych włosach, które David znał. Roza miała skórę gładką i jasną jak śmietana. Jego palce wprost rwały się, by jej dotykać, lecz się powstrzymał, bo dawno już nabrał pewności, że nadejdą jeszcze inne okazje. Z takiego czy innego powodu czuł, że coś go wiąże z Rozą.

Okaleczony policzek wcale jej w jego oczach nie szpecił. David nie wiedział, jak to się dzieje, lecz jakby pozostawał ślepy na nierówną, wyraźnie spaloną skórę na lewym policzku.

W jego oczach nie była przez to wcale brzydsza. Stawała się jakby jeszcze bardziej delikatna. Zmieniała się w porcelanę.

David podszedł bardzo blisko. Wiedział, że jedynie za sprawą gorąca jej twarz mogła zmienić się w tę połowę, z którą Roza obnosiła się z taką godnością. Dlatego trzymał lampę na odległość wyciągniętej ręki, tak daleko od Rozy, jak tylko się dało. Spojrzeniem dotykał każdego jej kawałeczka. Stwarzał ją od nowa.

- Kto to zrobił? - spytał, palcem wskazującym wzdając po gruzłowym policzku. Wrażenie odebrane koniuszkami palców było niezwykle zmysłowe.

- Mój ojciec - odparła.

Nie przyszło jej do głowy, żeby skłamać. Każdemu, kto by spytał, Roza udzieliłaby takiej samej odpowiedzi. Nie czuła, że powinna osłaniać ojca. Jedynym powodem, dla którego tak niewiele osób znało prawdę, było to, że nikt nie pragnął się tego dowiedzieć. Nikt nie zadawał tego jednego konkretnego pytania.

David drżał, ale nie odrywał palca od jej skóry. Zatrzymał go przy szczęce.

On też był ojcem.

Był nim przez krótką chwilę, lecz i tak nie potrafił pojąć, jak ktokolwiek może okaleczyć rodzone dziecko.

- Byłem ojcem - rzekł ze zdumieniem i opuścił rękę, która dotykała policzka Rozy. - Byłem ojcem.

- Jesteś ojcem - poprawiła go Roza. - Jesteś ojcem dziecka, które nie ma sobie równych, Davidzie.

Wypowiedziała jego imię z norweskim akcentem, nie wysilała się, by mówić tak jak Margaret, bo po angielsku jej zdaniem nie brzmiało ono ładnie. W norweskim brzmieniu kryła się w tym imieniu magia, po angielsku wydawało się wręcz brzydkie.

- Jesteś ojcem Thomasa Malcolma i o tym nigdy nie wolno ci zapomnieć.

Roza zapamiętała cudzoziemskie imiona i wymówiła je właściwie. Była z siebie wręcz z tego powodu dumna, tymczasem on nawet nie zwrócił na to uwagi.

-Jakbym mógł? - spytał David, śmiejąc się gorzko. Śmiał się, zanosząc się kaszlem, aż lampa wypadła mu z ręki.

Chlusnął olej. Przez moment palił się jasnym płomieniem, wielkim, który na szczęście nie zrobił nic innego poza pochłonięciem całego powietrza, jakie znajdowało się w obrębie szkła lampy.

To było jak błyskawica. Krótko, prędko i oślepiająco. Potem minęło.

Została tylko ciemność.

Ręce Rozy odszukały lampę, lecz nie miała przy sobie krzesiwa, nie mogła więc jej ponownie zapalić. Po-brudziła olejem ręce, a być może również spódnice. Spódnice można uprać. David pochylił się równocześnie-

nie z Rozą. Ich dłonie się spotkały. Były gorętsze, niż gdyby w lampie wciąż palił się ogień. David pozwolił, żeby to Roza złapała za uchwyt lampy. Cofnął się odrobinę, lecz nie na tyle daleko, by przestać ją widzieć wyraźnie, a nie tylko ledwie dostrzegać.

Margaret być może nie przetrwa tej nocy.

Stracił dziecko.

Nie powinien mieć takich uczuć jak to, które ogarnęło go teraz.

- *I want to kiss you* - powiedział. Wyrwało mu się to mimowolnie. Cieszył się, że Roza nie rozumie.

- Co? - spytała Roza swoim jasnym głosem i David Warren bez mrugnięcia okiem przetłumaczył swoje słowa:

- Chcę cię pocałować.

Roza otworzyła drzwi i wpuściła do środka styczniową noc.

Na zewnątrz było dosyć jasno. Świecił księżyc, którego bladożółte światło ukośnie padało na ich głowy, a poza tym błyszczało kilka garści gwiazd, rozsianych z pozoru bezładnie po sklepieniu nieba. Gdyby ktoś zadarł głowę i przyjrzał im się uważniej, dostrzegłby wśród nich rysujące się obrazy i kształty. Odczułby być może pokusę, aby uwierzyć, że nie są wcale dziełem przypadku. Przez moment mogłoby się wydawać, że za większością rzeczy kryje się jakiś sens. Ta myśl mogła być uwodzicielska.

Pocieszająca.

On chciał pociechy.

Potrzebował pociechy...

Jego dłoń spoczęła na karku Rozy. A jej wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz, jak gdyby ktoś polał ją lodowatą wodą.

Lodowata woda przemieszana z ogniem.

Ona boi się gorąca...

- Roza - powiedział. Samym oddechem wymówił jej imię. Wymówił je tak, jak robił tylko on. *Reuz-a*.

David miał nigdy nie zrozumieć, dlaczego Roza jakby zapadła się w siebie, gdy wypowiedział jej imię. Nigdy nie zorientował się, że wypowiada je w sposób, który właściwie nie istnieje. Nigdy w życiu nie zrobił niczego niewłaściwego.

- Idę - oznajmiła Roza.

Włożyła mu lampę do rąk. Popchnęła go do tyłu tak, że aż zaplątał się we własne stopy. Ręką musiał uchwycić się ściany, drugą przytrzymując lampę pełną gorącego oleju, który parzył w dłoń. W drugą rękę nawbiął sobie drzazg.

Kiedy wreszcie stanął pewnie na nogach, Roza zniknęła. Nie mógł jej nawet dojrzeć. Roza Samuelsdatter miała prędkiego krok.

- Ona została z Margaret sama? - Caroline mówiła wysokim, przenikliwym głosem i ani trochę się nie obawiała, że ktoś inny może ją usłyszeć.

Nie przyszła do Warrenów w pojedynkę. Towarzyszył jej cały bukiet pań, a wszystkie one w tej chwili w identyczny sposób ściągnęły brwi.

David trochę się ich bał. Nie lubił nawet sytuacji, w których musiał stawiać czoło jednej z nich, a teraz ze zdenerwowania aż pot go oblewał, że musi dawać sobie radę z całą ich gromadką. Nawet przy najlepszej woli nie potrafił zrozumieć, że jego Margaret może coś z tymi kobietami łączyć.

Daisy była czarująca. Jak motyl. Godna pożądania, kusząca, aż mu się od niej kręciło w głowie. Właśnie dla-

tęgo ją poślubił. Pozostałe budziły w nim jedynie lęk.

- Szczerze mówiąc, Davidzie - podjęła Caroline, która nieraz zalotnie ocierała się o niego biodrami. Nic ją nie kosztowało poufałe ściszenie głosu. - Czy ty przypadkiem nie jesteś odrobinę naiwny? Mówisz, że ona została sama z Margaret? Ona? Ta Roza z Krety? Czy ty wiesz, co o Rozie z Krety mówią ludzie?

- Była jedyną osobą, do której Margaret miała zaufanie - odparł David z nadzieją, że Caroline, słysząc to, nareszcie zamilknie. Brzydziły go kobiety takie jak ona.

- Wszyscy wiedzą, co się mówi o Rozie z Krety - głos Caroline brzmiał teraz przenikliwie.

Pozostałe kobiety wymruczały coś na potwierdzenie.

- A co się właściwie mówi? - spytał David.

- Może dziecko wcale nie było martwe - powiedziała powoli Caroline. - Wszyscy przecież wiedzą, że Roza Samuelsdatter sama straciła dziecko! Może nie mogła znieść, że Margaret urodziła piękne maleństwo? Może przyłożyła rękę do tego, żeby umarło...

David nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Nie potrafił zrozumieć, jak taką nienawiść, takie uprzedzenia mogli żywić ludzie, których uważał za swoich. I prawie się ucieszył z tego, że Margaret jeszcze nie doszła do siebie. Cieszył się, że nie musi przeżywać takiego wstrząsu.

- Nasze dziecko urodziło się martwe - oświadczył David mocnym głosem. Odnalazł oczy Caroline i przytrzymał ją wzrokiem, chociaż chętnie by przed nim uciekła.

- Gdyby moje dziecko żyło, zostałyby ochrzczone. Mój syn zostanie pochowany w niepoświęconej ziemi. Myślisz, że bym na to pozwolił, gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości, że urodził się już nieżywy?

Caroline nie potrafiła odpowiedzieć.

12

Upłynęło więcej niż tydzień, zanim David sprowadził Rozę. Nagle znów stanął na schodach w Samuelsborg, twarz miał wymizerowaną i zmęczoną. Pojawiły się na niej linie, których Roza wcześniej u niego nie zapamiętała, lecz nie znała go na tyle dobrze, by móc powiedzieć, że są nowe.

- Ona o ciebie pyta - oznajmił krótko.

... myślałam o niej każdego dnia, niemal w każdej godzinie, kiedy nie spałam. Jedyne z plotek mogę się dowiedzieć, jak się czuje. I wiedziałam, że jest tak, jak być musi.

On nie mógł do mnie przyjść, żeby mi o tym powiedzieć. Jego miejsce jest przy niej. Okazał swoją dojrzałość i głębię swej miłości dla niej, czuwając przy niej, gdy go potrzebowała. Nie rozsiał nowych plotek.

- Ludzie o tobie gadają - mówi David, gdy idziemy nad fiordem.

Kroczymy oddaleni od siebie najbardziej jak tylko się da. Niewiele się pod tym względem zmieniło, ale to nienazwane wciąż istnieje między nami.

- Słyszałam, o czym gadają - mówię.

David zerka na mnie, nie obracając karkiem. Robi to, ponieważ obserwują nas różne oczy. Rozumiem, dlaczego przyszedł po mnie w najjaśniejszej godzinie dnia. Nie chce, by ktokolwiek mógł powiedzieć, że staramy

się ukryć bodaj odrobinę z tego, co jest między nami.

- Mogę jedynie przeproszać - mówi David, a ruchy ma sztywne.

- Nie ma za co.

- To kłamstwo - upiera się.

Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Zastanawiam się, z jakiego on świata pochodzi, lecz nie pytam o to. Tyle różnych kłamstw jest tam, gdzie ja się poruszam.

- Nie lubię, kiedy opowiada się kłamstwa dotyczące mnie i tego, co moje - mówi David.

Jest taki sztywny, gdy to mówi, iż rozumiem, że to dla niego nowość, i chociaż jest z pewnością o blisko dziesięć lat starszy ode mnie, to ja jestem z nas dwójga tą dorosłą. Czuję, że on nic nie wie o życiu.

- Te kłamstwa nie dotyczą ciebie - poprawiam go, zmęczona. - One są o mnie, a ja uważam, że nie ma się czym przejmować. Ja się nie przejmuję. Nie chcę, żeby ktokolwiek inny robił wokół tego wiele hałasu. Te plotki umrą same z siebie. Zawsze tak się dzieje...

On na szczęście nic nie odpowiada i nie plecie żadnych bzdur o tym, że ja go dotyczę. Nie mogłabym traktować go poważnie, gdyby powiedział coś takiego.

- I będziesz milczała o tym, o czym nie należy mówić?

Moje spojrzenie potwierdza, że to było niepotrzebne pytanie. David odwraca głowę i patrzy gdzieś w bok. A więc wiedział, jak jest, lecz mimo wszystko musiał spytać.

... to mi mówi coś na jego temat...

Idziemy dalej. W ciszy. Z dala od siebie. Boimy się zbyt blisko siebie stąpać.

Pokój wyglądał na zupełnie odmieniony. Roza nic nie mogła poradzić na to, że zaczęła się z ciekawo-

ścią rozglądać, gdy tylko przekroczyła próg sypialni.

Te ściany były świadkami tego, co i ona widziała. Być może ból potrafi na stałe utkwic w jakimś pomieszczeniu? Nie miała całkowitej pewności, lecz czuła w ustach ten sam smak co przed ponad tygodniem.

- Wejdz - zaprosiła ją Margaret.

Roza z wahaniem weszła do środka. Tym razem nie czuła się swobodnie. Poprzednio przynajmniej miała jakieś wytłumaczenie. Wtedy nikt nie wątpił, po co tu przysłała.

Teraz zaś Roza czuła, że nie tu jest jej miejsce.

- Siadaj! - poprosiła Margaret, poklepując brzeg łóżka w taki sposób, że Roza nie mogła już się wycofać. Musiała usiąść.

Margaret miała we włosach niebieskozieloną wstążkę. Policzki jej wychudły, lecz wyglądała... dostojnie. Wielkie oczy jakby wypełniały całą jej twarz. Roza nie była w stanie wytrzymać ich spojrzenia.

Margaret złapała ją za ręce i ufnie uścisnęła.

- Jakie zimne - powiedziała.

Patrzyła na dłonie Rozy, przyglądała im się w zdumieniu. Między brwiami, tuż u nasady nosa, pojawiła się jej zmarszczka.

- Twoje ręce - rzekła powoli. - Były... takie gorące...

Roza wstrzymała oddech.

- Na moim *back*. *David, what's „back” in Norwegian?*

- Plecy - odparł zachrypniętym głosem.

Wciąż stał przy drzwiach. Opierał się o futrynę. Najchętniej odszedłby, pozostawiając kobiety same, bo z jakiegoś powodu takie postępowanie wydawało mu się najszluszniejsze. Był jednak głupio przestraszony.

Pomimo zapewnień Rozy, że będzie milczała, wciąż nie zgasła w nim jeszcze isierka wątpliwości. David nie bardzo ufał ludziom.

A poza tym coś w nim pragnęło ujrzeć je razem.
Rożę i Margaret.

Były tak bardzo od siebie różne, że gdy to sobie uświadomił, aż dech mu zapało. Widział jednak, że te dwie kobiety łączy jakaś więź. Sądził, że istniała ona również wcześniej, przed dzieckiem. David był przekonany, że nie jest to coś, co jedynie sobie wmawia z uwagi na uczucia, jakie żywił dla Rozy. Nie było to wyłącznie usprawiedliwienie dla jego własnego zainteresowania.

- Miałaś gorące dłonie - powtórzyła Margaret z przekonaniem w każdym słowie. - To było dobre. Bardzo dobre!

Uśmiechnęła się nieśmiało, jakby na próbę, jak gdyby chciała się przekonać, czy Roza ją zrozumiała.

- Stałam się od tego silniejsza - dodała.

Roza mogła jedynie kiwnąć głową. Było jej wtedy zimno, lecz i ona czuła gorąco swoich dłoni. A więc jednak mimo wszystko jej prósy zostały wysłuchane.

... albo sama zdołała to uwolnić...

... może dokonała tego samodzielnie...

- Czy ty mogłaś zrobić tak, żeby on żył? - spytała Margaret z wahaniem, robiąc przerwę pomiędzy każdym słowem. Wciąż mocno ścisnęła Rożę za rękę.

Roza zerknęła przez ramię i napotkała dwie ciemne studnie. Oczy Davida Warrena. Zastygł w miejscu, tak bardzo się bał.

- Nie - odparła cicho, odpowiadając na uściski Margaret uściskiem własnych palców. - Nie, Margaret, tego nikt nie potrafi. On nie żył już wtedy, gdy się urodził.

Margaret Warren oparła się o poduszki. Jedną rękę Rozy zatrzymała w swoich dłoniach. Policzki jej drżały.

- Chciałabym... chciałabym zobaczyć mojego syna. *My baby bird...*

Roza przymknęła powieki. Czuła łzy cisnące się do oczu, lecz starała się nie płakać przy Margaret. Nie chciała denerwować jej jeszcze bardziej. Okazało się jednak, że tych łez mimo wszystko nie da się powstrzymać. Popłynęły cicho po policzkach Rozy, a ona na to pozwałała. Starowała się jak najmniej zwracać na nie uwagę.

- *You're crying?* - zdziwiła się Margaret. Chude palce starły łzy z policzków Rozy. Sama Angielka natomiast nie płakała.

Roza odetchnęła głęboko.

- Przepraszam - powiedziała krótko, z trudem usiłując pochwycić więcej powietrza. Młoda pani nie potrzebuje kolejnych trosk. David Warren nie sprowadził jej po to, żeby siedziała na łóżku jego żony i dławiła się płaczem.

- On był... ładny? - spytała Margaret, usiłując czytać w twarzy Rozy. Sprawiała wrażenie, jak gdyby nie krępowała jej już poparzona skóra z jednej strony. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle już jej nie zauważała. To przecież była część Rozy.

A Roza ze swej strony cieszyła się, że nie musi kłamać. Kiwnęła głową.

- *Tell me* - powiedziała Margaret.

Te słowa Roza przynajmniej zrozumiała. Nabrała tchu, szukając w głowie słów, które oddałyby prawdę, lecz jednocześnie zawierały to, co piękne i delikatne w tej tragicznej historii. Zerknęła na Davida, jakby szukając u niego pomocy, a Margaret również wyciągnęła rękę do męża.

- *You stay, dear* - poprosiła. - *You stay and tell me all I don't understand!*

David przez moment się wahał, lecz doskonale wiedział, że nie może odmówić żonie. Przez twarz przemknął mu przelotny uśmiech. Zajął miejsce przy wezłowi u łóżka u drugiego boku Margaret. Usadowił się tak, że mógł ją podtrzymywać, obejmować ją i być blisko.

... i pokazać Rozie, że naprawdę kocha Maggie...

Ich spojrzenia spotkały się ponad złocistą głową. Porozumieli się krótkimi uśmiechami.

- Będę tłumaczył to, czego ona nie zrozumie - wyjaśnił Rozie.

A ona kiwnęła głową. Siedzieli każde po swojej stronie Margaret i każde z nich trzymało ją za rękę. Otaaczało ją mnóstwo ciepła i oddania, ona zaś napawała się tą atmosferą.

- Był bardzo niezwykły - zaczęła Roza z wahaniem, a za te słowa otrzymała od Margaret pełen wdzięczności uśmiech. Angielka chłoneła wszystko, co tylko Roza mogła jej powiedzieć.

- Piękny - mówiła dalej Roza, bardzo starannie dobierając słowa. Gdyby jakieś słowo niepotrzebnie wyrwało jej się z ust, nie dałoby się go już cofnąć, przelknąć z powrotem.

- Pokochałam go - zapewniła szczerze i z ogromną powagą. - Chociaż nie żył, to i tak był twoim *baby bird*. A w moim sercu wezbrała dla niego czułość...

Wciąż mówiła z wielkim namysłem. W krótkich słowach opisała poród, lecz okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała. Margaret często jej przerywała, sama co nieco zapamiętała, pragnęła swoje wspomnienia spleść

z momentami zapamiętanymi przez Rozę. Tak, aby powstał z tego w końcu pełen obraz.

A potem Roza opisała dziecko. Niezwykłe, wyjątkowe dziecko, i zrobiła to, nie kłamiąc i nie przekazując całej prawdy.

- Chciałam zobaczyć mojego synka - powiedziała udręczonym głosem Margaret.

Roza z powagą pokręciła głową.

- To by ci tylko przysporzyło smutku - stwierdziła i kilkoma słowami zdołała przekonać Margaret, by uwierzyła w to, o czym David i lekarz zapewniali ją przez cały tydzień.

- Tak myślisz?

Roza kiwnęła głową.

- Wyglądał bardzo spokojnie - dodała po namyśle. - Ale ty nie powinnaś mieć w sercu takich wspomnień o nim. Co innego, gdyby urodził się żywy...

Roza nie wiedziała już, czy sama wierzy w to, co mówi. Ona potrafiłaby żyć ze wspomnieniem dziecka takiego jak to maleństwo, któremu nadano imiona Thomas Malcolm, lecz nie potrafiła przewidzieć, jaki obrót by to przybrało w wypadku Margaret. Angielka pod wieloma względami wydawała się taka krucha, lecz czasami potrafiła naprawdę zaskoczyć, okazując siłę i sprężystość, przypominające giętkość wierzbowej gałązki.

- Prawie już byłam matką - westchnęła Margaret, patrząc gdzieś daleko przed siebie poza wszystko, co ich otaczało. Wpatrywała się w coś, co tylko ona mogła zobaczyć. Uśmiechała się tak, że Roza poczuła jakiś ucisk w sercu. Przypomniał jej się tamten ból, który odczuwała po śmierci Synneve.

- Byłaś matką! - powiedziała z niezłomnym przekonaniem i bez zastanowienia uściskała Margaret. Przytuliła swój poparzony policzek do jej policzka, a gdy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła, było już za późno. Roza zeszytniała w pół ruchu, lecz Margaret wcale się nie cofnęła. Sprawiała wrażenie, jakby Roza nie budziła w niej odrazy...

- Przepraszam - rzuciła Roza prędko i usiadła, prostując plecy. Oddychała szybko, powtarzając sobie w duchu, że przecież nie jest jedną z nich. Ona miała wrócić do Krety i właśnie tym się od nich różniła.

- Dziękuję - padło z ust Margaret.

- Za jakiś czas to przestanie tak bardzo boleć - pocieszała Roza, wymawiając dobitnie każde słowo. Niemal jak gdyby ktoś zmuszał ją, by je wypowiedziała. Nie umiała jednak nazwać tego, co kazało jej przyjść z taką pociechą.

To była prawda.

Przestawało tak bardzo boleć.

- Nie zapomnisz o tym - ciągnęła Roza ściszym głosem. - Lecz da się z tym żyć. Przyzwyczaisz się. I ból się odmieni. Będzie bolało w inny sposób...

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- Chcę mieć dziecko! - oświadczyła Margaret Warren, wysuwając brodę w przód. Najwyraźniej myślała tak naprawdę. - Chcę mieć dziecko!

David pogładził ją po włosach, zmierzwił loki, a Roza spostrzegła, że on wciąż się boi. W przeciwieństwie do Margaret, wiedział dlaczego.

- *Hush*, Maggie - rzekł cicho, tuląc wargi do czoła żony. - Doktor mówił, że powinnaś poczekać. Nie był pewien, czy w ogóle powinnaś mieć więcej dzieci. Uwa-

żał, że przede wszystkim musisz odzyskać siły, a to może potrwać. Rok, mówił, na pewno nie krócej...

- Ty chcesz mieć syna - powiedziała Margaret z uporem. - Ja chcę być matką.

Roza westchnęła. Czuła się zakłopotana. Nie chciała być świadkiem kłótni na temat ich wspólnego życia. Nie chciała o niczym takim słuchać.

Usiłowała ostrożnie wstać, żeby stąd zniknąć niezauważona, taką przynajmniej miała nadzieję. Lecz Margaret natychmiast złapała ją za nadgarstek.

- Zostań, Rozo! - rzuciła władcym tonem.

Usiłowała wymówić jej imię z norweskim akcentem. Niezupełnie jej się to udało, lecz Roza odczuła jakąś dziecinną radość, że w ustach Margaret jej imię zabrzmiało inaczej, niż kiedy wypowiadał je David.

- Czy ona była ładna? Twoja *baby*? - spytała Margaret Warren, a jej zainteresowanie wydawało się najzupełniej szczere.

Roza z wielkim wahaniem usiadła.

- Tak - odparła, niepewna, dlaczego ta druga kobieta tak nieoczekiwanie wplotła w tę rozmowę Synneve. Bolało ją, kiedy inni ludzie mówili o jej córeczce.

Synneve była jej żalobą.

Jej bólem.

- Twoja matka musi być piękna - stwierdziła Margaret, nie spuszczać oczu z Rozy.

Roza się zaczerwieniła. Wykręcała kark tak mocno, jak tylko się dało, aby lewy policzek pozostawał jak najmniej widoczny dla Margaret. Nie chciała denerwować Angielki i za nic na świecie nie chciała jej wprawić w zakłopotanie. Nie mogła jednak pojąć, dlaczego ta druga kobieta mówi o jej rodzinie. Może była to

ucieczka Margaret od własnych przepojonych bólem myśli, lecz mimo to pytania nie miały żadnego sensu.

- Kto jest *dark*? Ciemny? - spytała Margaret. - Twoja matka czy twój ojciec?

Roza rozumiała jeszcze mniej.

- Moja matka miała ciemne włosy - odparła. - Ojciec jest jasny.

- Twoje włosy z miedzi - oświadczyła zadowolona Margaret. - Jedno ciemne, drugie jasne.

Roza zrozumiała, do czego zmierza Margaret, i przemilczała, że była jedynym rudowłosym dzieckiem w całej gromadce rodzeństwa. Nie powiedziała również nic o wszystkich tych rudowłosych kobietach, które w jej rodzinie żyły od pokoleń. Od pierwszej rudowłosej. Od matki Natalii, Idy.

- Piękne - oceniła Margaret, która delikatnie dotknęła włosów Rozy. Sprawiała wrażenie, jak gdyby długo się nad czymś zastanawiała. - Ja jestem blondynką - powiedziała, przytrzymując Rozę spojrzeniem. - A David ciemny...

Roza kiwnęła głową.

- Może twoje następne dziecko urodzi się z rudymi włosami - powiedziała z nadzieją, że wkrótce zaczną mówić o czym innym. - To by pasowało - dodała ze śmiechem. - Oni wydobywają miedź z wnętrza góry, a wy moglibyście mieć dziecko o miedzianych włosach. Może malutką dziewczynkę...

- ... a może syna... - uzupełniła Margaret, ściskając rękę Rozy. Przeniosła spojrzenie z Rozy na Davida. - To możliwe.

- Musisz myśleć o sobie, skarbie - powiedział David. - Pamiętaj jedynie o tym, żeby nabrać sił. Nie dręcz się myślą o kolejnym dziecku..

- Właśnie że tak! - nieoczekiwanie wykrzyknęła jej młoda żona. Policzki jej pały, a oczy błyszczały jak morze tuż przed burzą. - Będę miała dziecko, Davidzie! Chcę je mieć! Chcę być matką! To będzie twoje dziecko, Davidzie! Twój syn!

Obróciła się do Rozy i wykrztusiła bez tchu:

- To ty mi urodzisz to dziecko!

Rozie dech zaparło w piersiach. Wpatrywała się w Davida, nie w jego żonę. Wyglądał na równie zszokowanego, jak Roza.

- Ty nie wiesz, co mówisz, Margaret! - stwierdził, próbując uspokoić żonę. - Nie zdajesz sobie sprawy, jak bezsensowne bzdury pleciesz...

Wbił oczy w Rozę, jemu również płonęły policzki. Roza dokładnie widziała, jak rumieniec zza kołnierzyka wypełza mu na twarz.

- Proszę cię o wybaczenie, Rozo. Maggie naprawdę nie wie, co mówi. Najwyraźniej za dużo już tego dla niej. Widać nie panuje nad myślami.

Roza kiwnęła głową, chciała odejść, lecz Margaret wciąż przytrzymała ją za nadgarstek w żelaznym uścisku, o jaki Roza nigdy by jej nie posadziła.

- Ja to powiedziałam naprawdę. - Margaret była śmiertelnie poważna. - Każde moje słowo było prawdą.

Popatrzyła na Rozę. Jej wielkie zielone oczy usiłowały wyrzucić na nią nacisk.

- Proszę cię - powiedziała po prostu. - Sama nie mogę tego zrobić. Nie mogę.

Zdecydowanie pokręciła głową, a jej loki zatańczyły jak na silnym wietrze. Roza zrozumiała, że Margaret myśli o cierpieniach, jakie towarzyszyły niedawnemu porodowi, mogła je pojąć wyłącznie inna kobieta. Da-

vid nie zrozumiałaby tego w pełni, nawet gdyby przy tym był.

- Nie mogę - powtórzyła Margaret. - Ale ty możesz. Ty i mój David.

Inżynier Warren zadrżał.

- O coś takiego nie można prosić innego człowieka, Margaret - oświadczył bardzo zdecydowanie. Był ogromnie wzburzony i zakłopotany.

- Przecież chcesz mieć dziecko!

Oczywiście, że chciał, ale nie w taki sposób. Nie mówił o tym wprost, bo nie chciał również zranić Rozy. Balansował teraz jakby na ostrzu noża. Nie mógł pozostać w tym miejscu, w którym się obecnie znajdował, lecz przechylenie się na którąkolwiek ze stron było niemożliwe. Oznaczało upadek w przepaść.

- Ona może pomóc.

- Nikt nie zrobi nic podobnego - oświadczył David z mocą. - Nie pojmuję, skąd się wziął u ciebie ten pomysł, Margaret. Nie rozumiem, jak możesz o to prosić. Jak w ogóle możesz to zaproponować...

Davidowi wprost brakowało słów.

- Ona ci się podoba - powiedziała Margaret i w tej samej chwili z Davida jakby uszło powietrze. - Wiem o tym. Bo tak na nią patrzysz. Tak jak wtedy, gdy podoba ci się jakaś kobieta.

Roza spuściła głowę. Nie miała pewności, czy chce tego wysłuchiwać. Lecz w takim stwierdzeniu było coś kuszącego. Istniało nie tylko w jej myślach i fantazjach. Najwyraźniej wcale sobie nie wmówiła, że mu się podoba.

Margaret również to zauważyła.

- To absolutnie niemożliwe - oświadczył David.

- Owszem - zaśpiewała mu Margaret do ucha, a w tym

jednym krótkim słowie zawierała się cała jej nadzieja. Kryła się w nim kiełkująca radość życia. Coś, co przywróci Margaret sens istnienia.

- Potrzebujemy *maid* Roza się tu wprowadzi. Wszyscy wiedzą, że ona nasza *maid* Ty śpisz u niej, dopóki nie *zajdzie* w ciążę. Wszystkim powiemy, że ja będę miała dziecko. Wszyscy będą się cieszyć. Wszyscy będą wiedzieć. A ja powiem, że muszę wracać do domu, do Anglii, bo nie chcę rodzić dziecka tutaj. Boję się rodzić dziecko tutaj. I wszyscy *understand* Wszyscy powiedzą: jedź, jedź, a ja zabiorę moją *maid* Pojedziemy do miejsca, gdzie mnie nikt nie zna. A kiedy dziecko się urodzi, przyjedziemy z powrotem tutaj. Nikt nie będzie wiedział.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Jak możesz być tak okrutna? - spytał David, wstrząśnięty do głębi duszy.

- Nie za nic - dodała Margaret. - Zadbamy, żeby przywiozła coś z powrotem.

- Dlaczego prosisz właśnie mnie? - odezwała się Roza.

- Jesteś piękna. - Margaret Warren pogładziła ją po nieokaleczonym policzku. - Lubię cię. Jesteś silna. Ocaliłaś mi życie. Zajął się moim *baby bird*. Będziemy *sisters*. I podobasz się Davidowi. To musi być ktoś, kto mu się podoba.

Uśmiechnęła się lekko.

- A ja nie będę o ciebie zazdrosna. Jesteśmy *sisters*, Rozo. Rośniemy razem. *The daisy and the willow*.

- Margerytka i wierzbówka - powiedział David Warren, pokazując Rozie, iż wie, co znaczy jej imię.

- Nie mogę - oświadczyła Roza wreszcie. - Mam ojca, który sam nie da sobie rady.

Sądziła, że aby się wycofać z tej sytuacji, musi użyć

rzeczowych argumentów. Inaczej nie przekona Margaret.

- A ktoś inny nie może się nim zająć? - podsunęła Margaret, nie dostrzegając w tym żadnych trudności.

- Przecież ona ma swoje życie, Maggie! - David usiłował odwoływać się do uczuć żony. - Na miłość boską, Roza ma swój dom i męża!

- Mattias i ja nie jesteśmy razem - powiedziała Roza, choć właściwie wcale tego nie chciała.

- To jest możliwe - stwierdziła Margaret. Zamknęła oczy i z westchnieniem opadła na poduszki. - Chcę spać - oświadczyła.

- Zaczekaj! - David powiedział to do Rozy samym tylko ruchem warg, kiedy wyslizgiwała się z sypialni. Zadbał o otulenie żony kołdrą, o to, by leżała wygodnie i żeby poduszki, które ułożył jej pod plecami, miały odpowiednią wysokość.

Roza najchętniej wróciłaby do domu od razu, lecz coś ją wstrzymywało. Nie chciała myśleć o tym, że zatrzymuje ją ta króciutka, niema prośba męża Margaret.

Nadszedł tak cicho, że go nie usłyszała. Czerwone plamy na policzkach jeszcze nie ustąpiły. Oparł się o ścianę tuż koło Rozy. Ręce złożył na piersiach i nie mógł spojrzeć jej w oczy.

- Ja o tym nie wiedziałem - zapewnił. - Nie przyprowadziłbym cię tutaj, gdybym choć się domyślał, co ona planuje. Mogę jedynie jeszcze raz prosić cię o wybaczenie. Margaret nie jest sobą. Błagam, abyś o tym zapomniała. Prosząc cię o coś takiego, obraziła cię.

- Albo okazała łaskawość - powiedziała Roza cicho.

Spojrzenie Davida zawisło na jej wargach. Zwilżył usta językiem.

- Nie - zaprzeczył. - Nie.

- Nie - powtórzyła Roza i oderwała się od ściany.

Na zewnątrz było zimno. Tak zimno, że aż paliło w piersiach, gdy lekkim truchtem biegła z powrotem do Krety.

Tam gdzie było coś w rodzaju bezpieczeństwa...

- Nie - powtarzała w powietrze. - Nie!

13

Mattias siedzi na schodach, kiedy przychodzę do Samuelsborg. Wygląda dobrze, ale mu zimno. Nie widziałam go, odkąd blisko trzy miesiące temu zabrał wszystkie swoje rzeczy i odszedł stąd. Wtedy ledwie mógł chodzić.

Teraz podrywa się, gdy tylko mnie widzi, a ręce po męsku wsuwa do kieszeni kurtki. Porusza się tak lekko, rany mu się zagoiły.

- Wyglądasz mnie? - pytam i chłonę kwietniowe powietrze. - Pogorszyło ci się, Mattiasie Mattiassenie?

Mattias przekrzywia głowę i uśmiecha się do mnie. Śmieje się. Nie pamiętam, żeby jego śmiech tak dźwięczał, ale przynajmniej wygląda na zadowolonego. Przez ostatnie miesiące, kiedy mieszkaliśmy razem, rzadko się śmiał. Niewiele mieliśmy powodów do radości. Nie mieliśmy też sobie za wiele do powiedzenia, stwierdzam, gdy wracam pamięcią do tamtych czasów.

- Wiem, że przychodzisz co niedziela po południu - mówi i patrzy na mnie tak, że czuję jego spojrzenie wzdłuż całego kręgosłupa. Oczy mu się zwięzają, pełne wargi wysuwają się odrobinę w przód.

Ciarki od tego przechodzą...

- Pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli przyjdę się z tobą zobaczyć - mówi.

Obchodzi mnie naokoło. Słyszę jego kroki i głos za plecami, ale się nie odwracam. Nie mogę. Nie mogę so-

bie na to pozwolić, nie mogę mu oddać siebie tak tanio. A jego głos jest miękki jak aksamit.

- Dobrze wyglądasz - dodaje Mattias z uśmiechem, stając po mojej drugiej stronie. Jedna z jego ostrych brwi unosi się, pociągając za sobą szramę na policzku, która staje się przez to dłuższa i bielsza.

- W każdym razie nie głodujesz. Ale pewnie ty sama gotujesz, kochana. Sama więc decydujesz, co jesz!

Milczy przez chwilę.

- Jak to jest prowadzić dom, który nie należy do ciebie, Rozo? Jesteś służącą czy też przyjaciółką rodziny? Bardzo zaprzyjaźnioną przyjaciółką rodziny.

Nie odpowiadam na te zaczepki. Nie chcę się z nim kłócić. Właściwie w ogóle nie mam ochoty z nim rozmawiać. Unikałam go przez wszystkie te miesiące.

- A pani, jak słyszałem, miewa się znacznie lepiej? - ciągnie Mattias, wyrażając się tak, jak mówią w The House. Obcym norweskim, poruszającym się gdzieś na granicy pomiędzy angielskim a duńskim. Brzmi to tak, jakby czytał z książki.

- Widziałem, że codziennie ją przewietrasz. Zaczyna odzyskiwać rumieńce na policzkach. W Kopalni już się zastanawiają, czy przypadkiem nie spodziewa się dziecka. Ludzie zadają sobie pytanie, jakie remedia jej wierzysz, żeby tym razem urodziła zdrowe i żywe dziecko.

Nie odpowiadam mu.

- Za to pan inżynier wygląda jakby bladziej. Widać nieprzyjemnie być panem domu, w którym są aż dwie panie.

Zmuszam się do stania w miejscu. Mattias nie może o niczym wiedzieć. To niemożliwe. Nikt o tym nie wie. Przecież ściany nie potrafią mówić.

Po prostu przypadkiem trafił na właściwe słowa, chociaż sam sobie nie zdaje z tego sprawy. Nie zamierzam go informować, jak bliski jest prawdy.

Mattias by tego nie zrozumiał.

Stoję u stóp schodów i niemalże pozwalam mu tańczyć wokół siebie, podczas gdy on gada coś z kwaśną miną. Każde słowo jest jak lekkie ukłucie, a wszystko to bierze się stąd, iż wydaje mu się, że to on najlepiej wie, czemu mam poświęcić wszystkie swoje dni aż do końca życia.

- Oni mnie traktują jak człowieka! - mówię przez zęby. - Jestem jej przyjaciółką!

Mattias wzrusza ramionami i obrzuca mnie spojrzeniem, które mówi, że mi nie wierzy. Uważa, że sama nie wierzę w to, co mówię.

- I jego przyjaciółką także? - pyta Mattias. - Ludzie gadają, że należy spodziewać się przybycia jej brata jednym ze statków, który przypłynie z Kornwalii. To może się okazać interesujące, prawda, Rozo?

- Również o tym mówią w jadłodajni? - pytam. - Właśnie o takie rzeczy zakładacie się w baraku? Przesłali cię tutaj, żebyś się dowiedział, co jest prawdą? O ile się założyłeś, kochaneczku?

Nagle z hałasem otwierają się drzwi. Liisa krzyczy na nas z kuchni. Rękami ujęła się pod boki, a jej fartuch aż jaśnieje bielą. Widzę, że zaczyna tyć, ale do twarzy jej z tym.

- Zamknijcie gęby, oboje! - woła, a my oboje milkniemy.

Serce mocno wali mi z gniewu i trudno mi odzyskać spokojny oddech.

Liisa jest zła jak osa. Czujemy przed nią respekt. Na-

wet Mattias, prawie dwa razy wyższy niż ona, ma dość oleju w głowie, żeby trzymać głowę na kłódce, kiedy Liisa na niego spojrzy.

- Szykuję obiad - oznajmia moja bratowa i milknie na chwilę, żeby się upewnić, czy oboje jej słuchamy. - A przy niedzielnym obiedzie życzę sobie spokoju. Nie chcę żadnych nieprzyjaznych słów przy stole. Nie chcę jadowitych spojrzeń, złośliwych uwag, które zrobią przykrość komuś innemu tylko dlatego, że wy dwoje nie potraficie ze sobą normalnie rozmawiać. Nie chcę, żeby Samuel się rozchorował jedynie przez to, że nie potraficie usiąść razem przy jednym stole, nie skacząc sobie przy tym do gardeł.

- „Spokój” to dobre słowo - mówi Mattias i uśmiecha się tym swoim olśniewającym uśmiechem, od którego na ogół wszystkim kobietom miękną serca.

- Ja jestem szczęśliwą mężatką, Mattias - oświadcza mu na to z godnością Liisa i wcale nie łagodnie od tej jego męskiej sztuczki starszej chyba niż Adam w raj.

- Nie będziemy się kłócić - obiecuję. - Jak on nie powie nic złego, to ja też nie.

- To mnie rzeczywiście uspokoiło - stwierdza kwaśno moja bratowa.

- Mogę sobie pójść. Zamiast tego przyjdę jutro.

- Nie, to ja pójdę - oświadcza Mattias wielkodusznie.

- Żadne z was nigdzie nie pójdzie - protestuje Liisa. - Oboje jesteście naszymi gośćmi. Chciałabym, abyście oboje usiedli do stołu. Ole bardzo się na to cieszył. Samuel też wyglądał tego spotkania, a ja nie zamierzam pozwolić, żebyście odebrali mu tę radość.

- Będziemy grzeczni - mówię i zaczynam nabierać przekonania, że cała ta sytuacja jest śmieszna. W do-

datku jest chłodny kwiecień. Od stania w śniegowym błocie przemakają mi buty. Marznę w stopy, a nie chcę się przeziębić.

- Przecież wy nie możecie nawet na siebie spokojnie patrzeć - mówi Liisa i wychodzi aż na schody, żeby lepiej nas widzieć. Nie wygląda wcale mniej groźnie, kiedy staje na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach i przygląda nam się jeszcze bardziej natarczywie, niż zrobiłby to mój ojciec.

- Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim jedzenie będzie gotowe - mówi. - Idźcie sobie do stodoły i tam na siebie krzyczcie. Powiedzcie tam sobie wszystko, co macie sobie do powiedzenia, i zakończcie wreszcie te kłótnie!

Wymieniam}' z Mattiasem spojrzenia.

- Wymagam uśmiechów przy stole obiadowym - informuje z godnością moja bratowa. - Życzę sobie takich uśmiechów, które Ole może usłyszeć. On twierdził, że to się nie uda, a ja mu obiecałam, że wszystko pójdzie świetnie.

Znam Liisę za dobrze, żeby wiedzieć, że nie warto z nią dyskutować. Jak już coś sobie wbije do głowy, to musi tak być. Jednym z najlepszych tego dowodów jest fakt, że mój brat się z nią ożenił.

Ole wciąż wierzy, że to on zrobił pierwszy krok i zaczął się do niej zalecać. Nigdy nie pomieści mu się w głowie, że to ona go do tego nakłoniła. Właśnie w taki sposób działa Liisa.

Teraz chce połączyć mnie z Mattiasem. Wydaje jej się, że zdoła nas pogodzić. Wierzy, że być może uda jej się odtworzyć to, co właściwie nigdy nie istniało.

Liisa nigdy do końca nie zrozumiała, co łączyło mnie

z Mattiasem. Ale ona nosi w sobie mnóstwo nadziei i nie waha się, by spróbować jeszcze raz.

- W stodole jest ciepło - mówi. Te słowa, zdaje się, mają nas zachęcić. - Możesz się przekonać, czy on wciąż chodzi z tym twoim znakiem! - woła jeszcze i wraca do środka.

Słyszemy, że przekręca klucz w zamku.

Pięknie! Niewiele nam zostawia możliwości, skoro zamyka się przed nami aż do chwili, kiedy to jej będzie pasowało wpuścić nas do środka. Ja nie zamierzam stać pod oknem i przekonywać mego brata, żeby otworzył drzwi do domu, który kiedyś był moim domem. Który jest moim domem...

- Możemy stać tutaj - mówię.

- Powiedziałaś jej o tym? - pyta Mattias ze zdumieniem i rozkłada ręce. - Do diabła, Rozo! Nie możesz przecież rozpowiadać o tym wszystkim naokoło!

Wybieram drzwi do stodoły. Liisa ma rację, w środku panuje przytulne ciepło. Widzę, że nie brakuje jeszcze paszy. Bywały już zimy o wiele ostrzejsze niż ta. Przednówek nadchodził już w lutym, a czasami nawet wcześniej. Ale w tym roku zwierzęta w Samuelsborg nie musiały jeść wodorostów. Miło o tym pomyśleć.

On przychodzi za mną. I zamyka drzwi tak, że między nami zapada ciemność. Mnie wszystko jedno, bo jest tak ciasno, że musimy stać jedno koło drugiego, a cieszę się, że przynajmniej nie muszę oglądać jego gniewu.

Mattias jest taki piękny, gdy się złości.

Mattias jest niemal zawsze piękny.

- Powiedziałaś jej, że prawie mi odgryzłaś mój przyrząd? - pyta Mattias, łapiąc mnie za ramiona.

- Tak - odpowiadam i wyrywam mu się.

Odwracam się do niego plecami. Moje oczy przywykają aż za szybko do tego braku światła. Już mogę go dojrzeć w ciemności, a przecież wcale tego nie chcę. Mięknę od tego, a chcę się na niego gniewać. Nic mu do mnie. Nie będzie mi mówił, co mogę, a czego nie mogę.

Jestem swoja własna.

- Nie użyłam takich słów - łagodnieję, ale na nim nie robi to wrażenia.

- Ale powiedziałaś, co się stało!

- Ona jest żoną Olego - tłumaczę, wzruszając ramionami. - Jest jak siostra.

- Ole jest mi jak brat - oburza się Mattias - ale ja mu się do niczego nie przyznałem.

Uśmiecham się do niego krzywo, kwaśnym uśmiechem, który daje mu znać, iż doskonale wiem, dlaczego, jego zdaniem, mówienie o tym jest kłopotliwe.

- Mówiłem o tym twojemu ojcu - dodaje Mattias i wzdycha.

Potem wali zaciśniętą pięścią w ścianę, aż się boję, że deski popękają. Są dość cienkie - żeby zapewnić odpowiedni przewiew i żeby siano dobrze schło.

- Jakie to ma znaczenie? - pyta i sam sobie odpowiada: - Żadne.

Po chwili zadaje pytanie:

- Jak ci tam jest, Rozo?

Przełykam ślinę. Za nic na świecie nie mogę przyznać się Mattiasowi, jak mi tam jest.

On łapie mnie za barki od tyłu. Czuję jego oddech na uchu. Mattias oddycha powoli, panuje nad sobą, lecz uścisk jego dłoni stopniowo twardnieje i wiem, że on ze sobą walczy.

Tak samo jak ja...

- Tęsknię za tobą, Rozo - mówi zachrypniętym głosem. - Piekielnie za tobą tęsknię, kochana...

Słucham go i sprawia mi to przyjemność. Odchyłam kark w tył tak daleko, jak tylko mogę, nie łamiąc go przy tym, a wszystko po to, by pochwycić każde, nawet najkrótsze ze słów Mattiasa.

Żeby poczuć cały ten gęsty deszcz drobnych pocałunków. Żaden nie może się zmarnować. Są moje, moje, moje. I tak strasznie za tym tęskniłam.

Tęskniłam za nim...

Ale zaciskam wargi. Nie chcę o tym mówić. On nie może o tym wiedzieć. Nigdy, przenigdy nie wolno mu uznać, że jestem mu dana.

... nie należymy do siebie...

Mattias śle gorące oddechy w moje ucho, koniuszkiem języka pieści jego płatek. Przesuwa się po uchu, wślizguje do środka, rozbawiony, żartobliwy i gorący. A mnie od tego dotyku przechodzą ciarki wzdłuż kręgosłupa.

- Tęsknisz za mną? - pyta.

- Nie mam czasu o tobie myśleć - szepczę prędko, ciesząc się, że Mattias nie może zobaczyć mojej twarzy. Tak świetnie potrafi po mnie poznać, kiedy kłamię.

- No właśnie - mówi, lecz bardziej mnie nie naciska.

Wciąż mnie całuje. Przesuwa wargami po szyi, wyznacza wąską ścieżkę pocałunków od ucha aż po kołnierzyk bluzki.

Podnosi moje włosy i całuje mnie w kark. Dokładnie w tym miejscu, gdzie moja skóra jest tak bardzo wrażliwa. I robi to wręcz od niechcienia, w ten powolny sposób, który, jak wie, bardzo lubię.

Mogłabym krzyczeć, lecz tego nie robię. Mógłby wy-

rwać się spomiędzy moich warg jęć rozkoszy, lecz również nad nim panuję.

Niemal przyjemnie jest się powstrzymać. Zachować to w sobie. Odsunąć rozkosz w czasie aż do chwili, gdy sprawia niemal ból.

- Może jestem zazdrosny - mówi, a to jak na niego naprawdę wielkie wyznanie.

Policzek Mattiasa przytula się spokojnie do mojego, a jego ręce krzyżują się na mojej piersi. On mnie po prostu trzyma. Nie próbuje mnie pieścić. Nie ma żadnych wędrujących dłoni, do niczego mnie nie zmusza.

- Uważałem cię niemal za swoją, kochana. Miałem cię za żonę i wszystko było tak bardzo dobrze...

Kręcę głową. Nie chcę wierzyć, że on tak źle pamięta.

- To nieprawda - poprawia się. - Mieliśmy siebie i wcale się nie mieliśmy. I naprawdę bardzo niewiele było między nami naprawdę dobrego.

To brzmi znacznie bardziej prawdziwie.

- Pamiętam ból - przyznaje Mattias i trochę się śmieje. - Nie mówię wyłącznie o tym bólu, którym mnie naznaczyłaś, kobieto. Mówię o całym tym innym bólu, o wszystkim tym, co zrobiliśmy, żeby się nawzajem zranić. Właśnie to bolało. Kiedy się kocha, można zranić głęboko.

Wiedziałam, że on będzie tłumaczył to w taki sposób. Słyszę, jak mówi, że mnie kocha. Wiem, że być może kocha mnie wciąż, lecz również on wie, że to niczego nie zmieni. Donikąd nas to nie zaprowadzi.

Delikatnie rozluźnia swój uścisk. Dłonie zostawia otwarte, pieszczotliwe. Gładzą moje piersi, tworzą się z nich kopuły. Palce szukają sutków, aż te stwardnieją pod warstwami ubrania, aż dojrzeją pod dotykiem ko-

nieszeków jego palców. Śmieje mi się do ucha. Ten śmiech jest cichy, ciepły i żywy. Tak samo jak jego oddech na mojej skórze.

Jego ręce gładzą mnie po brzuchu. Wędrują przez fałdy spódnicy, pieszczą biodra. To takie uczucie, jak gdyby Mattias próbował stwierdzić, czy krajobraz wciąż pozostał ten sam. A ja wiem, że powinnam wbić mu łokieć w dołek. Powinnam wbić obcas w czubek jego buta i powstrzymać go.

Powinnam przynajmniej otworzyć usta i powiedzieć: „nie”.

- Ale trochę dobrego było, prawda, kochana? - pyta Mattias i śmieje się, kiedy na moment cała sztywnieje z niechęci.

Ten moment jest taki krótki...

... on to przewidział. Zna mnie tak dobrze...

- Trochę było cholernie dobrze, Rozo. I oboje o tym myślimy, prawda?

Otwieram usta, chcę powiedzieć, że nigdy nie myślę o jego ciele, o jego ciepłe i tej niemal niszczącej namiętności, jaką dzieliliśmy, lecz nie potrafię tak przed nim skłamać.

W każdym razie nie w chwili, kiedy podsuwa mi spódnicę do góry. Powolutku, jak gdyby wydawało mu się, że uda mu się to zrobić tak, bym się nie zorientowała.

- Sądzisz, że jestem sparaliżowana? - szepczę gorącym oddechem.

- Nie - odpowiada Mattias. - Liczę na to, że jesteś równie gorąca jak zwykle, kochana...

Prędko obraca mnie do siebie. Moje piersi napotyka ją jego twardą pierś. Czuję jego gorący zapach i wiem, że bardzo za nim tęskniłam.

Zapach gorącej skóry Mattiasa to najprzyjemniejszy ze wszystkich zapachów, jakie znam. Ale on nigdy o tym nie usłyszysz z moich ust. Zaciskałam zęby za każdym razem, gdy miałam ochotę mu o tym powiedzieć, i teraz też z pewnością się nie zdradzę.

Jego usta kładą się chciwie na moich. Nie da się odsunąć w czasie tego, co robimy.

Obejmuję go z całych sił, a jego uścisk jest równie mocny jak mój. Mattias całuje mnie, aż zaczyna mi brakować tchu, i obojgu nam kręci się w głowach, gdy z trudem łapiemy powietrze.

Mattias śmieje się do mnie, a ja chwytam zębami jego dolną wargę i ściskam, dopóki nie poczuję smaku krwi, a on śmieje się jeszcze głośniej.

Nasze pocałunki są takie mokre i gorące. Lepkie, lecz nie możemy się oderwać od swoich warg. Całujemy się, aż wargi nas bołą, a ja przez cały czas czuję smak jego krwi. Wiem, że on również go czuje. Na pewno wyglądamy okropnie. Wcale się tym nie przejmuję.

Mattias podnosi mi spódnice. Jego szczupłe palce gładzą mnie po biodrach, zaciskają się na nich. Mocne i twarde, lecz pieszczotliwe.

Jego oddech jest moim oddechem.

Rytm jego serca naśladuje bicie mojego. A może to moje serce przedrzeźnia jego? Rzadko się zdarza, by uderzyły nie w takt. Lecz ja wcale z tego powodu nie wmawiam sobie, że należymy do siebie. Nie wmawiam sobie, że mamy spełnić słodkie jak brązowy cukier marzenia Liisy.

Ponieważ sama jest ohydnie szczęśliwie zamężna z moim najukochańszym bratem, wydaje jej się, że musi stwarzać takie samo szczęście wszystkim innym.

Mattias i ja nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

Nigdy nie będziemy razem szczęśliwi...

On już rozpiął spodnie. Czuję, jak drży na moim brzuchu. Wsuwa się pod moje spódnice, przyciska do ud, do moich gorących pragnień... Obiema rękami łapie mnie za pośladki i podnosi do góry tak, bym mogła opasać łydkami jego biodra. Mattias ma takie wąskie, twarde biodra.

Wsuwa się we mnie jednym ruchem. Zamykam oczy i pozwalam mu się wypełnić. I wiem, że właśnie za tym tęskniłam już od chwili, gdy w styczniu rozstaliśmy się jako wrogowie.

To była długa wiosna.

Wsuwam palce w fałdy materiału jego kurtki na ramionach. Przytrzymuję go tak mocno, jak tylko mogę. Ciągnę go za włosy w tym samym rytmie, w jakim poruszają się jego biodra. Mattias wciąż ma długie włosy. Mógłby związać je sznurkiem na karku, gdyby zechciał. Ale wiem, że nikt nigdy nie zobaczy Mattiasa w takiej fryzurze. Za bardzo jest męski.

Całuje mnie w szyję, ścigając namiętność. Całuje mnie, a mnie kręci się w głowie, on tymczasem gna mnie wciąż dalej i dalej, nie pozwalając mi decydować, jak ma być.

Ale robi to właściwie...

Jest nieobliczalny. Jego pchnięcia są krótkie i prędkie, a zaraz potem powolne i niespieszne. Zaskakuje mnie. Śmieje się, gdy zauważa, że to mi dech zapiera i nie potrafię ukryć rozkoszy.

... śmieje się...

To ten jego śmiech towarzyszy mi dalej. To jego śmiech jak perełki, równie wyraźny i gorący jak kropel-

ki mojego potu. Jestem taka rozgrzana, że cała aż płynie. Zaciskam łydki i uda wokół niego. I czuję pod nimi wystające kości jego bioder. A w głowie mam tylko jedną jasną myśl. Wiem, że zostaną mi siniaki na łydkach.

Potem on znów się zatrzymuje. Czeką i po prostu tam jest, całym sobą. Czeką, aż niemal zacznę na niego krzyczeć. Gotowa już jestem puścić jego wargi i wydrapać mu oczy, jeśli dalej nic nie będzie robił.

Kołyszę lekko biodrami, lecz on mnie zatrzymuje. Trzyma mnie nieruchomo, a ja jęczę. Słyszę dźwięk własnego głosu, który miesza się z jego cichym śmiechem, lecz również on przechodzi w coś innego.

Mattias oddycha ciężko.

A potem jego ręce pozostawiają ślady...

Maluje swoje biodra na moich. Nie przestaje. To trwa, trwa i trwa...

Słyszę własny krzyk.

To krzyk czegoś w rodzaju radości.

Jemu z głębi gardła wyrывa się jęk...

Wycieramy się suchutkim sianem. Śmiejemy się razem, ale nie ma miejsca na zakłopotanie i zawstydzenie.

- Trochę z tego było dobre - przyznaję. W takiej chwili jak ta nie mogę się mu sprzeciwić akurat co do tej kwestii.

- Trochę z tego było bardzo dobre - zgadza się Mattias.

Szczupłymi, długimi palcami zdejmuję źdźbła siana z mojej kurtki, ze spódnicy, wyjmuję je z włosów. Na nowo wiąże wstążkę, którą miałam we włosach, i widzę, że uśmiecha się niemal przeproszająco.

- Dostyc już na siebie nawrzeszczeliśmy? - pyta z uśmiechem. - Jak myślisz, czy Liisa ma już obiad gotowy?

Wydaje mi się, że obiad gotowy był przez cały czas, i mówię o tym Mattiasowi, ale on stwierdza:

- To niemożliwe, żeby była aż tak diabelnie przebiegła.

Przy obiadowym stole Liisa wyciąga mi z włosów źdźbło wyschniętej trawy. Pamięta o tym, żeby skomentować to na głos, tak, aby mój brat, który jest ślepy, również mógł się o wszystkim dowiedzieć.

Mój ojciec patrzy zmrużonymi oczyma. To Mattias wniósł go do izby.

- Powiedzcie, czy nie jest miło? - pyta Liisa i patrzy na nas wszystkich tym swoim błyszczącym spojrzeniem, w którym tyle jest nadziei.

Wydaje mi się, że Mattias zmienia zdanie na temat przebiegłości mojej bratowej.

- Teraz kiedy wszyscy są w zgodzie z sobą i w ogóle! - mówi dalej Liisa i prawie puszcza do mnie oko. - Ładnie się zagoiło? - pyta szeptem. Wprost nie może się od tego powstrzymać.

- Pora jeść! - oświadcza mój ojciec. - Nie chcę słuchać takich grzesznych rozmów przy stole. A w każdym razie nie w niedzielę!

Mattias i ja wymieniamy spojrzenia. On ma ochotę się roześmiać, ale zachowuje powagę. Schyla głowę i składa ręce, kiedy mój ojciec zaczyna odmawiać modlitwę przed jedzeniem.

Ja też składam ręce.

Moje dłonie pachną Mattiasem.

Widzę, że skrzydełka nosa Liisy się poruszają, i wiem, że po zapachu poznaje, czym się zajmowaliśmy z Mattiasem. Widzę jej zadowolony uśmiech i zgaduję, na co ma teraz nadzieję.

Pomyli się.

Nic nie będzie tak, jak ona to sobie zakłada...

Ale i ja się uśmiecham, gdy odwracam się plecami do Samuelsborg. Niosę ze sobą zapach Mattiasa.

Margaret czekała na Rozę. Bił od niej jakiś niepokój i zniecierpliwienie, kiedy chodziła od okna do okna, wyglądając w stronę krańca fiordu, gdy wodziła spojrzeniem wzdłuż drogi aż do chwili, gdy wreszcie dostrzegła Rozę.

Dopiero wtedy usiadła w swoim fotelu i sięgnęła po odłożoną wcześniej książkę.

David podniósł oczy znad swojej lektury. Wiedział, że nie może nic żonie powiedzieć. Na rozsądek nie było tu już miejsca. Gdy tylko próbował naciskać Margaret bodaj odrobinę, unosiła w górę brwi i słabła bardziej niż kobiety, którymi tak gardził i z których wyśmiewał się w domu, w Anglii.

Nie rozumiał, jak jego zdrowa, świeża i rozsądna Margaret tak bardzo mogła się zmienić.

- Ona ma rodzinę - stwierdził spokojnie, nie patrząc na żonę. - Bez względu na to, co sobie myślisz, nie możesz jej zabronić spotykać się z nimi.

- Oczywiście, że może ich odwiedzać - odparła Maggie. - Wcale się nie martwię.

David z rezygnacją zamknął oczy. Nietrudno było zrozumieć, czego Margaret się lęka. Wzrokiem drapieżnego ptaka śledziła każdy krok Rozy. Tak było, odkąd Roza zamieszkała z nimi.

Od tego szarego zimnego poranka w końcu stycznia,

kiedy to Roza nagle stanęła na schodach ich domu z węzełkiem ubrań w rękach i głęboką powagą w niebieskich oczach.

„Mogę to zrobić dla niej” - oświadczyła i, mijając Davida, weszła do środka.

Ten krok przypieczętował ich los.

- Roza dotrzymuje słowa - powiedział David, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej obojętnie.

Żył na ostrzu noża i to doprowadzało go niemal do szaleństwa. Nie pojmował, dlaczego do tego dopuścił. Nie rozumiał, dlaczego dalej to ciągnął. Dlaczego to zaakceptował, a nawet czerpał z tego przyjemność.

Twierdził, że to dla dobra Margaret, lecz diabliki w jego głowie szeptały, że w równym stopniu robi to dla samego siebie. To była rozkosz.

Odczuwał pociąg do niej, do Rozy, już od momentu, kiedy przekroczyła próg jego domu. Uosabiała wszelkie pokusy, to, co groźne i nieznane, a on pragnął tego, pragnął aż do bólu i był z siebie dumny, że nigdy nie próbował jej zdobyć.

A przecież nadarzały się okazje, lecz on zdołał oprzeć się pokusom, odrzucić je.

Teraz codziennie mógł kosztować smaku zakazanego owocu. Miało to trwać aż do chwili, gdy Roza będzie spodziewać się dziecka. Dotychczas się im nie powiodło.

Z każdym upływającym dniem Margaret ogarniał coraz większy niepokój. Za każdym razem, gdy Roza wychodziła z domu, Margaret czekała, że Roza wróci i powie, iż nie chce już dłużej w tym uczestniczyć. Była niezłomnie przekonana, że Roza się wycofa, a osobą, która nakłoni ją do zmiany zdania, był w oczach Margaret zawsze Mattias.

- Jestem pewna, że spotyka się z nim, kiedy idzie do

domu. Kiedy tam siedzi. - Margaret powiedziała to ze znajomą już zmarszczką zatroskania na czole. - Rozmawiałeś z nią na ten temat, Davidzie? Mówiłeś jej, że nie może obcować z żadnym innym mężczyzną, dopóki jest tutaj? Dopóki próbujemy...

David westchnął. Nie chciał o tym mówić. Wysiłki, które podjęli, już i tak same w sobie były złe. Nie muszą jeszcze dodatkowo ich omawiać.

- Roza o tym wie - powiedział tylko. - Roza miała więcej mężczyzn niż ty partnerów do tańca, moja kochana. Jeśli już ktoś w ogóle wie, o co w tym wszystkim chodzi, to z całą pewnością Roza!

- Nie musisz być wulgarny - odparła Margaret poirytowana.

David domyślał się, skąd u niej takie podenerwowanie.

- Nasza umowa powinna być może na pewien czas pójść w zawieszenie - stwierdził z namysłem, pozwalając, aby to, co tak naprawdę kryło się za jego słowami, zawisło między nimi w powietrzu.

- A to dlaczego? - spytała ostro Margaret.

- Z powodu Maxwella - odparł David. - Twojego brata. Pamiętasz go? To ten, który ma przyjechać. Będzie tu mieszkał. A w tym domu dźwięki bardzo się niosą. Maxwell nie jest głupi.

- Maxwell nie będzie miał żadnych obiekcji - stwierdziła Margaret, kompletnie zaskakując Davida. Lekko przy tym uniosła brwi. - On jest moim bratem, Davidzie! Nikt nie rozumie mnie tak dobrze jak on. Uważam, że uzna nasz układ za rozsądny.

David złodowaciał.

- Nie możesz mu o tym powiedzieć!

- Oczywiście, że mu powiem - odparła jego żona beztrąsko.

Usłyszała kroki Rozy przed domem i podniosła się z uśmiechem. Przelotnie pogładziła Davida po ciemnych włosach. W tej pieśczoce było wiele czułości. Margaret pocałowała męża w czoło, podsunęła dłoń do ust i przesłała mu w powietrzu pocałunek, a potem poszła do ich wspólnej sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Jej twarz wyrażała ogromną nadzieję.

David odłożył książkę. Odchylił głowę na oparcie fotela i oparł się na nim. Było twarde, lecz jemu to nie przeszkadzało.

Czuł się taki pusty.

Roza zamknęła wejściowe drzwi na klucz. David słyszał jej kroki. Znał je teraz równie dobrze jak kroki Margaret. Niekiedy mylił je ze sobą, a ten fakt przerażał go bardziej, niż chciał się do tego przyznać.

To była jedna z tych rzeczy, o których nie wspominał Margaret. Nie był pewien, jak żona to przyjmie. Nie mówił też o tym z Rozą. Przerażało go jeszcze coś innego, a mianowicie to, że tak łatwo mu się z nią rozmawiało. Potrafił opowiedzieć jej takie rzeczy, na których zrozumienie Margaret nigdy nie chciałaby poświęcić czasu.

Roza była taka inna.

Kiedy weszła do salonu, na policzkach miała rumieńce. Margaret zaciągnęła wszystkie zasłony, były grube i nie dało się przez nie dojrzeć nic z zewnątrz. Margaret upewniła się, czy jest tak naprawdę. Niczego nie zostawiła przypadkowi.

- Wszyscy u ciebie w domu zdrowi? - spytał David. Roza kiwnęła głową.

Tego wieczoru była jakaś odmieniona. David nie bar-

dzo potrafił uchwycić, w czym rzecz, lecz to coś otaczało ją niczym welon.

- Biegłaś?

- Nie, a dlaczego pytasz? - zdziwiła się Roza i nagle wzmogła się w niej czujność.

- Bo masz twarz jak kwiat - stwierdził David z namysłem. - Jak róża.

- Jak wierzbowka - poprawiła go cierpko. Bo flirt między nimi nie stanowił części umowy. To był wkład z jego strony, który Rozie wcale się nie podobał.

- Jak prawdziwa róża - powtórzył z uporem, nie spuszczając z niej oczu.

Roza uśmiechnęła się ostrożnie, a myśli Davida również powędrowały do Mattiasa. Nie chciał wymieniać imienia tego drugiego mężczyzny. Mogłoby to źle wypaść. Mogłoby wyglądać na to, że jest zazdrosny.

A przecież tak właśnie było.

Lecz nikt nie może się o tym dowiedzieć. Zwłaszcza Roza. A z całą pewnością Margaret. To uczucie było tak niemądre, że nie miało prawa istnieć.

- Daisy już się położyła - oznajmił.

To był dla nich znak i pierś Rozy uniosła się jakby w westchnieniu. Jakby nie miała na to ochoty. Jak gdyby nie znajdowała żadnej radości w tym, co miało nastąpić.

- Ogarnęła ją panika - powiedział David cicho, zastanawiając się w duchu, czy przypadkiem nie zdradza Margaret, mówiąc Rozie o czymś, co, ściśle rzecz biorąc, dotyczyło wyłącznie jego i Maggie. - Maxwell może tu przybyć w każdej chwili. Wydaje mi się, że ona wcześniej chciałaby mieć pewność. Twierdzi, że jej brat nie będzie miał nic przeciwko temu...

David umilkł.

Jego milczenie było bardzo wymowne.

- Ty jesteś temu przeciwny - stwierdziła Roza z przekonaniem i wyciągnęła wstążkę z włosów.

David kiwnął głową.

- W jego oczach może to wyglądać na coś bardzo brudnego - powiedział z przygnębieniem, podnosząc się z fotela.

Wyciągnął do Rozy rękę i w milczeniu przeprowadził ją przez dom do pokoiku, który jej przydzielili. Położony był na poddaszu, nad kuchnią, i został specjalnie wybrany tak, by żadne dźwięki stąd nie docierały do sypialni jego i Margaret.

David nie byłby w stanie brać udziału w tej grze noc po nocy, gdyby Margaret słyszała każdy dźwięk. I tak źle już było pozwalać się jej całować na dobranoc i odprowadzać Rozę na górę po schodach. Potem boso biegła z powrotem do sypialni, którą dzieliła z nim.

Czasami leżała, nie śpiąc, z szeroko otwartymi oczami w oczekiwaniu, że on powie jej, jak było. Nie pytała wprost, lecz czuła, że ledwie się wstrzymuje. Ponieważ jednak nie pytała, on o niczym nie mówił.

Roza zapaliła lampę, lecz przykręciła płomień. Najbardziej chciałaby, żeby w pokoju panowała nieprzenikniona ciemność, David jednak wolał mieć tę odrobinę światła i musiała się na to zgodzić.

Minęło kilka wieczorów, zanim osiągnęli porozumienie, jak się to ma odbywać. Później już postępowali według wzoru, bez żadnych odchyień.

... tak było bezpiecznie...

David rozpinął koszulę i ściągał spodnie. Rozbierając się, stał odwrócony do niej plecami. Na samym początku kilka razy zdejmował z niej ubranie. Ręce mu drża-

ły i trzęsły się, a w głowie kręciło się ze wstydu i pożądania. Z trudem pozbywał się własnego ubrania, aż ona musiała mu pomagać. Niemalże po przyjacielsku.

To nie pasowało do tego, na co się zdecydowali. Teraz rozbierali się sami i dopiero już będąc nadzy, obracali się do siebie.

Nie dotykali się, zanim nie wsunęli się pod podwójną warstwę wełnianych koców. Szorstka wełna gryzła, lecz grzała, a David już się przekonał, że Roza łatwo marźnie. Potrzeba jej było wiele ciepła.

Zamierzał sprawić dla niej kołdrę z puchu, lecz w końcu odrzucił ten pomysł jako niemądry. Puchowe kołdry mieli on i Margaret.

Musiał starać się utrzymywać te granice, jakie istniały między nimi, musiał wyraźnie widzieć różnice między tymi dwiema kobietami. Nie powinny mu się nigdy pomylić. Nawet kiedy zamknął oczy. Nawet we śnie powinien umieć je rozróżnić i oddzielić.

Jego dłonie gładziły gładką skórę. Roza z początku wydawała się chłodna w dotyku. Przemarzła w powrotnej drodze. Tutejsza wiosna przypominała zimę. Śnieg wciąż jeszcze leżał po kolana. W powietrzu czuło się chłód.

Przycisnął ją do siebie, przez chwilę leżał nieruchomo, trzymając Rozę w ramionach. Było to przyjemne uczucie. Tak przyjemne, że David musiał szeroko otworzyć oczy.

Bał się, że przypadkiem wypowie imię Margaret. Bał się, że pomyśli, iż to żonę obejmuje. Kiedy zaś wracał do małżeńskiego łóżka, bał się, że zdradzi się imieniem Rozy. Że wobec jednej z nich okaże chłód...

Margaret od czasu porodu wciąż jeszcze nie chciała się z nim kochać.

Doktor po przyjacielsku szepnął Davidowi do ucha, że teraz nie powinno już nic stać na przeszkodzie ich małżeńskiemu pożyciu.

Rozmawiając z nim jak mężczyzna z mężczyzną, doktor mruknął, że Davidowi te tygodnie najpewniej musiały się dłużyć. Gdyby wiedział, jak jest naprawdę!

David odsunął od siebie wszelkie myśli o Margaret. To mogłoby potrwać całą noc, jeśli zacznie błądzić po tych ścieżkach, a ani jemu, ani Rozie nie przyjdzie z tego nic dobrego.

Dłonią pieścił piersi Rozy, ich pączki nabrzmiały. Uśmiechnął się, obwiodł je językiem. Lubił to. Lubił obsypywać pieściami te pełne piersi, dotykać ich wargami. Lubił je kąsać, skubać i ssać.

Od tego wzbierało w nim pożądanie. Krew krążyła szybciej w żyłach.

A ona lubiła, kiedy ją kąsał. Kiedy okazywał wobec niej twardość. Pojękiwała wtedy, lecz z uśmiechem. Nigdy nie widział jej oczu, gdy ją brał. Roza kochała się zawsze z zamkniętymi oczami. Prosił, by je otworzyła, lecz ona za każdym razem kręciła głową i odmawiała.

Teraz David przestał ją już o to prosić.

Tym razem nie musiał poświęcać aż tak wiele czasu na pieścizoty. Roza rozsunęła uda, gdy tylko poczuła jego twardość na miękkim brzuchu.

Przekręciła się na plecy i otworzyła przed nim, a on wszedł w nią i trzymając ją za ramiona, poczuł spełnienie w jej gorącym wnętrzu.

Roza miała na wargach leciutki uśmieszek, a ciemne rzęsy układały się na policzkach jak wachlarze. Oczu jej David nie widział, lecz miał na to nadzieję za każdym razem, dlatego sam nie zamykał oczu. Wypeł-

nil ją i leżał w niej aż do chwili, gdy oboje się rozluźnili.

Przekręcił się potem na plecy i wsunął rękę pod kark Rozy. Ona uniosła nogi i oparła je o ścianę, tak, aby jego soki nie wyciekły z niej i się nie zmarnowały.

David ją obserwował.

- Może tym razem się udało - powiedział.

- Tak, może dzisiaj - odparła.

- Ale tego nie dowiemy się już jutro - prawie westchnął.

- Nie - przyznała. - Jutro również będziesz musiał stanąć do boju, Davidzie.

Roześmiał się niemal bezgłośnie. To niepodobne do żadnej innej sytuacji. Pastor natychmiast zastukałby do drzwi, gdyby komukolwiek bodaj zaświtało w głowie, co też dzieje się w ich domu za zamkniętymi drzwiami w każdą bez wyjątku noc.

David usiłował wyobrazić sobie, co powiedzieliby znajomi, gdyby się dowiedzieli. Jego własna rodzina. A przede wszystkim rodzina Margaret...

Bez względu na to, co Margaret mówiła na temat swojego brata, to David był i tak przekonany, że Moira, niezwykle surowo trzymająca się zasad matka Margaret, nie byłaby zachwycona jego gorącymi próbami zostania ojcem.

Moira nigdy by nie uwierzyła, że ten pomysł zrodził się w głowie Margaret. Uznałaby całą tę sytuację za powód do bardzo pospiesznego rozwodu, bez względu na to, co miałyby do powiedzenia na ten temat Kościół i wszyscy jej znajomi.

- Czy nie jest możliwe, że już zaszłaś w ciążę? - spytał cicho, dwoma palcami wodząc po łuku czoła i grzbiecie nosa Rozy aż do warg.

Roza leciutko pocałowała koniuszki jego palców. Po między nimi było wiele czułości, chociaż żadne z nich nie przyznałoby się, że mieszają w to swoje uczucia.

- Dałabym się namówić do rezygnacji.

- Margaret ogromnie by się rozczarowała - odparł David zmęczonym głosem. - Margaret pragnie tego dziecka.

Rozie zmarzły stopy, lecz nie schowała ich pod koce. Wciąż opierała się nimi o ścianę, bo rzeczywiście było tak, jak mówił David: Margaret gorąco pragnęła tego dziecka.

- Zawsze zastanawiałam się, jakie to uczucie - powiedziała Roza cicho z cieniem uśmiechu - być kochaną, i to tak mocno.

- To szaleństwo - przyznał David, obejmując ją mocniej.

Wtulił policzek w jej włosy, wspominając czas, kiedy musiał poprzestać na pytaniu, jak bardzo mogą być miękkie.

- Żałuję, że nie mogę spać tu z tobą - powiedział cicho, zamykając powieki.

David miał ciało rozleniwione, takie leżenie było wręcz przyjemne, chociaż łóżko przeznaczone było dla jednej osoby i przez to żałośnie ciasne dla nich obojga. Był śpiący i nie miał ochoty schodzić z poddasza, wracać do Margaret.

- Nie będziesz tu spał! - sprzeciwiła się Roza ostro i mocno go szturchnęła.

David wyraźnie ze wstydem poderwał się i naciągnął ubranie. Znów stanął odwrócony do niej plecami. Poufałość w chwilach takich jak ta okazywała się bardzo krucha. Pękała za każdym razem. David przed wyj-

ścieniem zgasił jeszcze lampę i cicho zamknął za sobą drzwi. Nie życzył Rozie dobrej nocy.

Prowadzimy szaleńczą grę. Nie wiem, dlaczego się na to zgodziłam. David powtarza się aż do znudzenia. Twierdzi, że to dla dobra Margaret, zresztą nie do końca kłamie.

Nie mógłby jednak tego robić, gdybym chociaż trochę go nie pociągała. I ja bym nie mogła, gdyby on nie pociągał mnie. To ciężkie napięcie, jakie panowało między nami, uczyniło z Davida taką pokusę, że po prostu musiałam się przekonać, co ona w sobie zawiera.

... teraz już wiem...

... teraz mogłabym się bez tego obyć...

Nie wierzyłam, że ona będzie w stanie to znosić. Sądziłam, że się wycofa. Jest przecież delikatną angielską różą, chociaż imię ma od margerytki.

Wydaje mi się, że nie jest nawet zazdrosna.

Uśmiecha się do mnie, kiedy idzie spać wieczorem. Szykuje wszystko tak, by on wyciągnął do mnie ramiona.

Wydaje mi się, że Jens by się z tego śmiał. Rozbawiłaby go taka historia. Wiele myślę o Jensie, skazując się na zatracenie w tym domu. O Mattiasie nie mogę tutaj myśleć.

Mattias, gdyby wiedział, zabrałby mnie stąd siłą.

Następnego dnia rano Margaret była rozpromieniona. Nie spiesząc się, łała chleb, nim wsunęła go do ust.

- Śnił mi się dzisiejszej nocy Thomas Malcolm - oświadczyła z uśmiechem.

Zarówno Rozie, jak i Davidowi jedzenie utknęło w gardle. Wymienili pospieszne spojrzenia. David odychał ciężko.

- Przyszedł do mnie jako mały aniołek - ciągnęła Margaret, nie zauważwszy ich reakcji. - Wyglądał dokładnie tak, jak mi opowiadałaś, Rozo. Był maleńki, ciemnowłosy i śliczny. Miał kędziory swojego ojca i był piękny aż po najdrobniejszy szczegół, aż po najmniejszy paluszek...

Roza przełknęła ślinę.

- Mój *baby bird* powiedział mi, że już niedługo będzie miał siostrzyczkę...

Serce Rozy zmieniło się w lód, ale się nie poruszyła. Rozpromieniona Margaret dalej przekazywała im wszystko, co powiedział jej anioł pod postacią jej zmarłego dziecka.

- Wydaje mi się, że ziarno zostało zasiane - oświadczyła Margaret.

David westchnął z ulgą.

- Ale musimy mieć pewność - dodała jego żona. - Jesteśmy już blisko, bliźniutko, o, tak! - Prawie przyłożyła palec wskazujący do kciuka.

Ponad ramionami Davida widziała fiord. Jej oczy wypatrzyły żagiel. Poderwała się uszczęśliwiona, z radością wykrzykując imię brata.

- Teraz wszystko będzie dobrze! - śpiewała wprost i tańczyła wokół krzesła, aż w końcu wybiegła z pokoju. - Maxwell z całą pewnością przypłynie tym statkiem!

Roza i David siedzieli każde po swojej stronie stołu, pozostawieni samym sobie.

- Córka nie byłaby wcale najgłupszą rzeczą - stwierdził David z uśmiechem.

- To nie będzie córka! - zaprotestowała gorąco Roza. - Powinieneś się o to modlić, Davidzie, jeśli jesteś w stanie. Modlić się o to, żeby to nie była córka!

- Nie rozumiem...

- Tak - odparła Roza twardo. - Ty tego nie rozumiesz, Davidzie. I nigdy tego nie zrozumiesz. Ale ja wolę być matką wiązki zwiędłych pączków, takich jak twój nieszczęsny syn, niż jednej jedynej córki. Ty i ja będziemy mieć syna, Davidzie. Syna!